

1015

„AVANTI“

LISTY Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

NAPISAŁA LINA BOEGLI.

PRZEŁOŻYŁA MARYA ŚWIDERSKA.



903



BIBLIOTEKA
Instytutu Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. 903

LWÓW 1908

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO

WARSZAWA E. WENDE I SKA.



Boegli
Awanti
~~903~~

91



910.4(100)(044)



18738

SPIS RZECZY.

1892—1902.

Rok.		Str.
1892.	1 list 2 lipca Kraków. Projekt podróży	1
	2 " 12 lipca Kraków. Przygotowania. Wyjazd	4
	3 " 14 lipca Tryest. Niepokój. Wahanie. »Naprzód«	7
	4 list 16 lipca Na statku. Morze Adryatyckie.	9
	5 " 20 lipca Statek »Ballarot«. Morze Śródziemne. Przeprawa w Brindisi. Towarzystwo na statku. Odwaga i ruchliwość Anglików	11
	6 list 23 lipca Na statku »Ballarot«. Czerwone Morze. Straszny klimat. Hygiena. Port-Said.	14
	7 list 26 lipca Aden. Skwar piekielny. Mali nurkowie. Zmniejsza się towarzystwo	16
	8 list 2 sierpnia Colombo w Cejlonie. Morska przeprawa. »Królowa wysp«. Dwa Colombo. Egzotyczne rośliny i owoce. Żebractwo wstrętne	18
	9 list 18 sierpnia Adelaida w Połudn. Australii. Języki. Kwarantanna. Kłopoty. Piękna Australia Południowa, jak ogród. Uprawa. Klimat. Niemcy wszędzie. Adelaida piękne, wzorowe, młode miasto	21
	10 list 20 sierpnia Melbourne. Wspaniałe miasto pół-millionowe. Ulice przepyszne. Polska rodzina. Siedmudziesięcioletnia para	25
	11 list 24 sierpnia Sydney. Przepiękny port. Pożegnanie ze statkiem. Tani pensjonat. Wyprawa za pracą. Dwa kostyумы. Osamotnienie. Odważnie naprzód! Cło	27
	12 list 7 września w Sydney. Okropne dwa tygodnie pogoni za pracą. Zwycięstwo. Szkoły Sydneyjskie i pensye. Arystokracja. Soboty wolne	29
	13 list 9 listopada w Sydney. Urodziny ks. Walji. Rozbawienie Australczyków. Ogrody, kwiaty, majówki. Port ożywiony. Kryzys finansowy w S. Strajki. Robotnik australijski. Próźniactwo, pijaństwo, zebranie. Małe fabryki. Fajka. Brudy uliczne	34
	14 list w Sydney. Boże Narodzenie latem. Wyrzu-	

	cają mię na rekreacye. Złe warunki dla nauczycielek. Widoki moje na przyszłość. Koncerty organowe	37
1893.	15 list 16 maja w Sydney. Arcyksiążę Ferdynand d'Este. Przyjęcie wspaniałe. Moja flaga. Sędzia w stroju galowym	41
	16 list 14 lipca Melbourne (w Wiktoryi). W gościnie w Polaków. Koleje. Urzędy cłowe co krok. Nienawiść między koloniami. Współzawodnictwo między Sydney i Melbourne. Gmachy. Wspaniała Biblioteka w Melbourne. Ruch gorączkowy	43
	17 list 16 sierpnia w Sydney. Nieprzyjemności w szkole. Przełożona	46
	18 list 28 września Hazelbrook. »Błękitne góry«. Droga. Krajobrazy. Wodospady. Roślinność ciekawa. Przygoda z kwiatami, węzami i młodzieńcem	52
	19 list 2 listopada w Sydney. Rozstanie z przełożoną. Adwokat. Nowa posada	57
1894.	20 list 24 stycznia Lake Cowal. Podróż. Miasteczka australskie. Śmiało na koń! Miraże. Nocleg. Uczta: ogon kangura. Selekcye	61
	21 list 1 lutego Billabong. (Nowa Połudn. Walja). Na wsi. Życie towarzyskie w domowym kółku. »Herne« angielski. Elegancya. W gościnie. Squatterzy. Właściciele ziemscy. Pastwiska. Ogromne trzody. Strzyżenie owiec. Kłeski: susza i króliki. Węże. Brak wody. Robotnicy. Zdrowotność. Pusty cementarz	68
	22 list 7 marca w Sydney. Ulice lekarzy i dentyistów. Brak i drożyzna usługi. Owoce, jarzyny. Chińczycy. Ubranie. Życie niedrogie. Domki osobne	75
	23 list 20 lipca w Sydney. Historia Australji od XVI wieku. Cook. XVIII wiek. Kolonizacya. Ludźerstwo. Minister Sydney. Miasto S. 1788 r. Kolonie karne. Srogie prawa. Złoto w 1851. Gorączka złota	79
	24 list 12 października w Sydney. W szkole: praca, życie towarzyskie, rauty, bale. Dezinwotura panienek	84
1895.	25 list 8 stycznia Graginn. Na Północy. Nowa Anglja. Rzeka Darling. Farmery. Mój Chińczyk w Gr. Gościnność. Groch trujący. Węże tygrysowate. Olbrzymia strzyża owiec. Krajowcy. Mój królewicz. Queensland. Dzicy	87
	26 list 25 stycznia West Maitland. Nieznośny dyliżans. Wylewy. Awanturniczy nocleg. Dobrzy ludzie	94
	27 list 4 sierpnia Astolat (w Sydney). Praca usilna	

	a przyjemna. Moje uczennice. »Śmiejący się jakas«.	
	Zła zima. Susza	99
1896.	28 list 20 stycznia Hobart (w Tasmanji). Najpołudniowsza z wysp Południowej półkuli. Van Diemen. Kolonia karna	102
	29 list 1 sierpnia Astolat (Sydney). Świętyn egzamin. Kobiety w Australji. O prawo wyborcze	105
	30 list 15 grudnia Astolat. Na wyjeździe. Smutno.	107
	31 list 26 grudnia Auckland (w Now. Zelandji). Piękna kraina Maorysów. Okropna żegluga. Przygoda z bagażem i mieszkaniem	108
	32 list 29 grudnia Auckland. Szowinizm Nowo-Zelandczyków. Równouprawnienie kobiet. Wygaście wulkany. Gąsienica roślinna	111
1897.	33 list 2 stycznia. New Plymouth (Taranaki). Straszna noc noworoczna na morzu. Smutna przystań. Chińczyk pokojówką	114
	34 list 14 stycznia Colyton (w Now. Zelandji). Miły zakątek. Sielanka w Colyton. Kwestya służących. Maorysi. Lasy	116
	35 list 20 stycznia Gejzer Hotel (w N. Zeland.). Gejzery. Wioska Maorysów. Gotowanie obiadów. Ludożerstwo. Stary wódz. Uroczystość u Maorysów. Powitania. Cudne widowisko	119
	36 list 23 stycznia Na statku »Alameda«. Świętyn wyjazd z Auckland. Luncheon. Narzeczeni. Żegluga do Honolulu	123
	37 list 24 stycznia Na statku »Alam.«. Dwie niedziele. Teozofisci. Do szkoły misyjnej	125
	38 list 7 lutego Papauta (na wyspie Upolu). Samoński archipelag. Wyspa egzotyczna. Ani śladu Europy. Szkoła misyjna dla samouczek. Królowna Fa'amu. Białe szaty. Rozkoszny klimat. Komunizm. Uprzejmość i piękność krajowców. Kawa u konsula. Trzy protektoraty. Biedny król Maleatoa.	129
	39 list 13 lutego Malua (Samoński archip.). Gościna w Misyi angielskiej. Malua Oxfordem samońskim. Seminaria. Piękny język. Serdeczność samończyków. Napój Kaawa. Raut kaawowy u króla. Podwójne wesele. Uczta. Przemowy. Kokos	136
	40 list 24 lutego Apja (w Samoa). Willa Stevensona. Pożegnanie z Papautą. Dary. Pieśni. Królowna Fa'amu. Ryzykowna żegluga	143

Rok.	Str.
1897. 41 list 28 lutego Statek »Zealandja« (oc. Spokojny). Przejście równika. Chrzest niespodziany. Mark Twain w morzu. Sześć par nowozaślubionych. Tetryk	147
42 list 6 marca Honolulu (archip. Sandwich czyli Hawaj). Raj Pacyfiku. Przecudny port. »Diamond head«. Orkiestra hawajska. Cywilizacya. Rasa malajska. Oświata. Amerykanizm	149
43 list 26 marca w Honolulu. Dom misyjny. Z dyplomaty misyonarz. Szkoła chińska. Życie towarzyskie w H. Spotkanie z rodaczką	153
44 list 11 kwietnia w Honolulu. Trzy świątynie. Chińskie kazanie. Śpiewy. Usługa chińska	155
45 list 24 maja w Honolulu. Poszukiwanie kolonii polskiej. Stosunki robotnicze. Drożyzna. Szkoły. Przechadzki. Świeżość i zieleń wszędzie.	158
46 list 5 lipca w Honolulu. Święto wolności amerykańskiej w Honolulu. Wyspy i archipelagi Oceanji. Cook. Dynastye hawajskie. Dziedziczka tronu, Kajulani.	161
47 list 20 sierpnia Wyspa Maui. Największy z wulkanów (Haleakala). »Pałac słońca«. Hawajski »król cukrowy«. Wycieczka na wulkan: wstawiam się. O »Framie«	165
48 list 2 października w Honolulu. Profesorka gimnazjum męskiego. Prelegentka	168
49 list 28 grudnia w Honolulu. Mnóstwo zajęcia. Moi uczniowie z różnych ras i narodów. Kawaler japoński	171
1898. 50 list 15 marca w Honolulu. Okropna pogoda. Burze straszliwe na Oahu. Rozczarowanie. Przebrana królewna	174
51 list 4 czerwca w Honolulu. Pochód 10.000. Oczekiwanie. Powitanie ochotników. »Błękitni chłopcy«	176
52 list 22 czerwca Honolulu. Wyjazd. Aneksya. Żal krajowców	176
53 list 30 czerwca San Francisco. (Kalifornja). Burzliwa żegluga. »Złota Brama«. Kwieciste przyjęcie w hotelu. Listy. Biuro nauczycielskie	180
54 list 12 lipca w San Francisco. Wycieczka w góry. Posada. Miasto San Francisco. Uprzejmości. Emancypowane dzieci. Mała dama	185
55 list 20 lipca. Klimat w San Francisco. Zimno. Zwiedzanie miasta. Tramwaje	189

Rok		Str.
1898.	56 list 30 sierpnia w San Francisco. Szkoła »Ham- lin«. Komfort. Zapał wojenny	192
	57 list 3 października w San Francisco. Klimat Kalifornji. Przenośne domy. Teozofia	194
	58 list 8 listopada w San Francisco. Wybory. Krzywda kobiet	198
1899.	59 list 3 stycznia El Verano (w Kalifornji). Wycieczka do El Verano. Przygody. Wjazd tryum- falny. Szwajcarzy	199
	60 list 31 maja Napa (w Kalifornji) Świetne za- kończenie roku szkolnego. Wyjazd z Kalifornji.	203
	61 list 4 czerwca do Salt-lake City (Utah) Slee- pingi amerykańskie	206
	62 list 23 czerwca w Salt-lake City U Mormo- nów. Śliczne położenie. Społeczeństwo mormońskie. Łazienki nadzwyczajne. Jezioro słone (Martwe). Nazwa Jeruzalem	209
	63 list 27 czerwca Denver (Colorado). »Królowa równin«. Pastwiska: »ranches«, »cowboys«. Gburowa- tość	217
	64 list 30 czerwca Omaha (w Nebrasce). Stepy. »Stolica Prerji«. Przygoda w wagonie: moja rodzinka. Przebudzenie	219
	65 list 30 lipca Chicago (w Illinois). Ogromne miasto. Ruch szalony. Mnóstwo cudzoziemców. Wspia- niałość i nędza. Obrzydliwa rzeka. Wielkie odległości. Przybycie do miasta	224
	66 list 21 sierpnia Boston (w Massachusetts). Piękne, malownicze miasto. Historyczne wspomnienia. Inteligencja. Wytworność	229
	67 list 14 września Concord (w Massach.). Ko- leбка swobody amerykańskiej. Emerson i Thoreau. Wspomnienia literackie. »Małe kobiety«	231
	68 list 28 września Ogontz School (w Pensyl- wanji). Awanturyczne przeprawy. Nocne przybycie. Głód	234
	69 list 22 grudnia w Ogontz School. Pałac nie szkoła. Wychowanie na amerykańskiej pensyi. Zbytek. Musztra i fechtunek. Sąsiedztwo Filadelfji	239
1900.	70 list 16 kwietnia Washington. Stolica Ameryki. Wykwintne miasto. Prezydenci Stanów Zjednoczonych. Poczta. »Biały Dom«. Murzyni	242
	71 list 8 czerwca w Ogontz-School. Zamknięcie	

Rok.		Str.
	roku szkolnego. Popis wspaniały. Wtóżbiarstwo w Fi- lańdelfji	246
1900.	72 list 1 lipca New York. Męczące, ogromne, nie- złajome miasto. Paryż amerykański. Elegancya. Strojne żony. Emigranci	248
	73 list 22 lipca Niagara. Wodospad. Zeszpecona okolica	251
	74 list 18 września Naples. Małe miasteczko amery- kańskie. Życie domowe. Brak usługi. Dzielne gosposie. Wzorowe małżeństwo. Wstręt do napojów wysokoko- wych.	253
1901.	75 list 29 maja w Ogontz-School. Bogate panny w Ameryce. Klub dla ubogich dziewcząt. Hojni oj- cowie. Praktyczność	257
	76 list 7 czerwca Rouses Point. Żegluga po Hud- sonie wspaniałym. Albany stolica Washingtonu.	261
	77 list 15 czerwca Montreal (w Kanadzie). Dwie Kanady. Miasto. Chrześcijański związek. Kaza- nie Szwajcara	263
	78 list 25 czerwca Quebec (w Kanadzie). Stalkiem do Kwebeku. Amerykański Gibraltar. Starożytne mia- sto. Pole bitwy w Abraham. Rzeka św. Wawrzyńca. Krajobraz. Wsie kanadyjskie. Anglik panem wszędzie.	267
	79 list 2 lipca Rochester (w Stanie N. York). Pod strażą policyi. Żegluga po rzece św. Wawrzyńca. »Tysiąc wysp«. Cudny zakątek	271
	80 list 19 września Waterloo (w Stanie N. York). Dzień żałoby. Pogrzeb Mac Kinleya. Następca jego. Banalne nazwy	274
1902.	81 list 1 stycznia Salisbury (w Półn. Karolinie). Ostatni rok wędrówki. Zimno straszne na Południu. Brak komfortu. Zniesienie niewolnictwa. Demoralizacya murzynów	277
	82 list 20 maja w Ogontz School. Wigilia wy- jazdu. Smutno odjeżdżać. Chrzcziny yachtu. Księżę Henryk pruski i czołobitność republikanów dla Księcia.	282
	83 list 11 czerwca Na statku »Belgenland« (oc. Atlantycki). Stary statek. Zielone wzgórza Irlandji. Spotkanie w Londynie	284
	84 list 14 lipca Kraków. Powrót w dziesiątą rocz- nicę. Zakończenie	285

PRZEDMOWA TŁUMACZKI.



kładam w ręce czytelników książkę, która zarówno jak jej autorka obiegła już świat dookoła, w rozmaitych językach czytana z wielkim upodobaniem przez młodych i starszych. Szereg listów z podróży dziesięć lat trwającej, listów, kreślonych ręką energicznej i wykształconej kobiety złożył się na tę książkę, która najprzód wydana w Ameryce po angielsku, («Forward»), później po niemiecku w Szwajcarji, a następnie na francuski, holenderski i inne języki przełożona, obiega Europę. U nas poleconą została przez Radę Szkolną Krajową, jako lektura wzorowa dla młodzieży, co nie przeszkadza, że i dla starszych ma urok niezwykły, płynący z charakteru i umysłu młodej autorki, dzielnej, wytrwałej, przejętej ufnością do ludzi, i patrzącej bystro na świat, który idzie zdobywać pracą własną. Środki bowiem, z którymi się puszcza w podróż są nader szczupłe tak, że opłaciwszy bilet okrętowy do Australji, musi na utrzymanie i koszta dalszej podróży zarabiać pracą nauczycielską. Nieznana nikomu na drugiej półkuli, dzielna ta Szwajcarka gruntownem wykształceniem, rzadkością charakteru i zapałem w nauczaniu, potrafiła zdobyć sobie

nie tylko byt dostatni, ale ogólny szacunek i sympatyę. Z naszej strony potęguje się uczucie to dla autorki, która Polskę uważając za drugą swoją ojczyznę, nietylko życzliwe o niej chowa wspomnienie, ale daje poznać obcym w odległych antypodach dzieje nasze i literaturę w odczytach, które po drodze tu i ówdzie wygłasza. Wyruszywszy z Krakowa dnia 12 lipca 1892 *) roku, odbywa drogę przez Tryest, morze Czerwone, Melbourne, Nową Zelandję, wyspy Sandwichskie, Samoa, San Francisco, Utah, Chicago, New York, wreszcie Irlandję i w dziesięć lat później zjawia się znów na dworcu krakowskim, witana z radością przez dawnych swych polskich przyjaciół, żwawa i dzielna jak zawsze.

Swoje przygody, walki i sukcesa opisuje w sposób nader pociągający w tych autentycznych listach z podróży naokoło świata. Wszędzie jednak, gdzie przebywa, stara się poznać kraj, przyjaźni się z mieszkańcami tegoż i umie wyśledzić wszystko, co jest w niem ciekawego i zajmującego. Z subtelną spostrzegawczością a gorącym sercem umie wszędzie wynaleźć dobrą i piękną stronę i mimo niektórych rozczarowań lub przykrości zachowuje wiarę w ludzi i życzliwość dla nich.

*) Datę pierwszego listu sprostować należy na 7 lipca 1892 r. nie jak w książce mylnie wydrukowano 1902.

Listy jej są raczej zwięzłe, ale z taką świeżością i naturalnością pisane, że w każdym jakiś nowy rys uderza i zaciekawia. Rzadko się spotyka książkę, któraby od początku do końca tak pociągała i przywiązywała do siebie, jak te listy z podróży.

»Szczególny zaś urok wiejący z tej książki, czytam w jednej z recenzyj o niej, zawdzięczamy dzielnej, sympatycznej i serdecznej osobistości, która się nam mimowolnie poznać daje i w toku opowiadania nas do siebie przykuwa. Człowiek, który dokonywa rzeczy trudnej do uwierzenia, a swoje losy i niezwykłe czyny z taką prostotą i naturalnością opowiada, jak gdyby o najzwyklejszych zdarzeniach życia codziennego, — to zjawisko niepospolite. A prostota to bez żadnej pozy, wypływa z poczciwego, życiem nie skrzywionego serca. Alboż to nie jest nadzwyczajnością, gdy młoda, nie-doświadczona i uboga dziewczyna postanawia świat objechać wkoło, i to sama, bez opieki lub protekcji, mając w ręku tylko dyplom nauczycielski. I wykonywa zamiar swój spokojnie, odważnie, mimo trudności jakie napotyka w sobie i otoczeniu swem. Ale wszędzie znajduje Lina Boegli dobrych ludzi i zdobywszy sobie pracę i zaszczytne stanowiska w rozmaitych szkołach i prywatnych domach Australji, Oceanji i Ameryki, zwiedziwszy mnóstwo cie-

kawych miejscowości, po latach dziesięciu wraca do przybranej ojczyzny swej Polski«.

»Historja ta dziesięciu lat z życia kobiety mogłaby służyć za potwierdzenie teoryi Szillera o istocie szlachetnej kobiety, która mimo-woli, instynktowo chwyta się tego, co dobre i piękne, i nietknięta rozlicznemi niebezpieczeństwami, idzie prawą drogą i trafia do celu; gdyby L. Boegli, oprócz zdrowego instynktu i bajecznej prawie wiary w ludzi nie posiadała również bajecznej energii i świadomości raz wytkniętego celu. Ale dzielna Szwajcareczka o wiele więcej niż sama sądzi, przejęta wdzięcznością dla losu i Opatrzności, potrafiła małą bez siły rączką sterować i kierować życiem swem i przygodami«.

»Nie należy zapominać, że z książki tej stanowiącej wiązkę listów »do przyjaciółki«, można zaczerpnąć mnóstwo zajmujących wiadomości etnograficznych i społecznych, bo nic nie ujdzie oka bystro patrzącej, a pozbawionej blagi i egoizmu podróżniczki, która maluje rzeczy i ludzi poprostu, bez przesady, tak jak je widzi i poznaje«.

»Najbardziej zajmującemi książkami, pisze inny recenzent, nie są te, w których zawodowi pisarze każą nam podziwiać nadzwyczajnych ludzi, poczętych w ich bujnej fantazyi i towarzyszyć tymże przez szereg umiejętnie dobranych i biegle ustopniowanych wydarzeń, ale

raczej takie, w których żywi ludzie opowiadają nam o sobie i swych przygodach. Opowiadanie takie świeżością swą i prawdą czyni na nas takie wrażenie, jak spotkanie się z żywym a dzielnym i mądrym podróżnikiem. Takim jest właśnie »Avanti« (»Naprzód«) Liny Boegli, która w swej książkowej szacie zachowuje dużo poufności i wdzięku przyjacielskiej gawędy i listów prywatnych, z których powstała.

»Panna B. jest wykształconą Szwajcarką. Nie posiadając rodziny, uczuwała w sobie ową ciekawość i niepokój, charakteryzujący czasy obecne i... płęć niewieścią. W ciągu lat dziesięciu postanawia świat objechać, ale powoli i badając ściśle zwiedzane kraje i poznawanych ludzi. Jedzie bez pieniędzy prawie, ale z dyplomem nauczycielki, a broń to równie skuteczna dla wyrabiania sobie karyery, jak owe średniowieczne miecze rycerzy i bohaterów dawnych. Zwiedzając obce kraje, uczy dzieci za pieniądze, a studjuje rodziców dla własnej korzyści i przyjemności. Gdy się jej co uprzykrzy, chowa miecz do pochwy, czyli dyplom do kufierka i jedzie szukać nowych pól działalności, nowych zdobyczy«.

»Oto jej program, którego się wiernie trzymała przez lat dziesięć, choć często uczuwała taką tęsknotę za ojczyzną, że tylko silna wola wstrzymywała ją od powrotu do Europy. Prze-

żyła złe i dobre chwile, zyskała dużo miłych znajomości i kilku dobrych przyjaciół, zwiedziła wiele z najciekawszych miejscowości świata, rozszerzył się jej pogląd na życie przez ciągłe ocieranie się o ludzi rozmaitych ras i klas, a gdzie mogła tylko, przychodziła z pomocą tym, którzy jej potrzebowali. Nie chwali się tem sama w swej książce, ale już po przeczytaniu kilku listów do przyjaciółki, poznajemy dobrą, poczciwą, optymistyczną naturę autorki. Czytając te pełne szczerości i wdzięku wynurzenia duszy kobiecej, ma się ochotę co chwila cytować pojedyncze zdania i ustępy całe nacechowane świeżością i bystrością spostrzegania a sercem poczciwem«.

Czytając podaną tu wiązanek listów młodej podróżniczki, przekonacie się czytelnicy i czytelniczki, że pochwały, jakich jej nie szczędzono w różnych krajach świata, nie są wcale przesadne, o czem też świadczy przyjemność, z jaką dokonywała przekładu

Wrzesień, 1907 r.

Tłumaczka
M. S.



roga moja Elżuniu. Nie sądzę oszalała, chociaż Ci oznajmię jeden z najosobliwszych pomysłów, jakie kiedykolwiek kobieta istota na świecie wysnuła. Słuchaj i podziwiał! Oto mam zamiar objechać świat w około — sama i, rzecz można, »bez pieniędzy«! Pamiętasz może, iż przed dwoma, zaledwie, laty, pisałam do Ciebie z Antwerpii: »Gdyby mi darowano wszystkie skarby Peru z warunkiem, bym po nie sama pojechała, — podziękowałabym za skarby, aby tylko nie być zmuszoną raz jeszcze puścić się na morze«. — Tak, ja to pisałam, nie przeczę, i tak wówczas myślałam, ale, widocznie, człowiek się zmienia, zwłaszcza człowiek rodzaju żeńskiego i to, czegobym wówczas nie była uczyniła za wszystkie skarby świata, — dziś czynię z własnej, nieprzymuszonej woli.

Kto mi ten szalony pomysł poddał? gotowaś spytać. Otóż z nikim o tym przedmiocie nie rozmawiałam, i dziś jeszcze przy obiedzie oburzyłabym się na podobną propozycją, a jednak dzisiaj także o czwartej godzinie, uczyniłam już była pierwszy krok na tej awanturycznej drodze, gdyż napisałam do Kompani okrętowej.

Opowiem ci, jak się to stało. Dzisiaj zostałam sama w domu, a ponieważ to niedziela, chciałam sobie pozwolić na małą poobiednią drzemkę; zaledwie jednak ułożyłam się wygodnie na sofie, powstał mi w głowie jakby rój myśli wirujących tak, że wkrótce odpadła zupełnie ochota do snu. Ileż to rzeczy przemyśleć można w ciągu krótkich pięciu minut! Ale myśli te nie były wesołe, doprowadziły bowiem do przekonania, że życie bywa często jałowe i bezbarwne. Dla mężczyzny to jeszcze co innego, — może on bowiem narażać się na rozmaite przygody urozmaicające życie, podczas gdy dla nas kobiet zakreślono ciasne, bądź co bądź, granice, o które potrącamy co chwila, gdy tylko śmielszy lot rozwinąć zapagniemy. Tak, wygodniej być mężczyzną! Cobym ja też czyniła, gdybym była chłopcem? Zapewne, podróżowałabym, by poznać świat i ludzi. Na podróż trzeba pieniędzy, a ja mogłabym być ubogim człowiekiem. I cóż z tego? Silny i swobodny mężczyzna potrafi bez pieniędzy świat objechać: tysiące biednych chłopaków, Niemców, wędrowało po świecie; czytałam o Anglikach, bogatych bardzo, którzy dla żartu, dla sportu, wyruszali w podróż bez pieniędzy, zarabiając na życie jako tragarze na lądzie a posługacze na statkach, po restauracjach. Czy im się udało, nie pisano w gazetach, ale przypu-

szczam, że tak, bo Anglikowi każde przedsięwzięcie się udaje. A czemużby ubogi Szwajcar nie mógł zrobić na seryo tego, co bogaty Anglik zrobił na żart? A dzielna Szwajcarka? Ja, naprzykład, czemużbym czegoś podobnego spróbować nie miała? Na tragarza lub chłopca okrętowego nie przydałabym się, coprawda, ale posiadam około 1400 franków: to wystarczyłoby na kosztą podróży morskiej; na lądzie zaś, gdzie tylko znajdują się ludzie, potrafię na chleb zapracować: jako nauczycielka, jeśli się uda, jeśli zaś nie, to jako pokojówka.

Takie było moje rozumowanie, a im dłużej nad tem się zastanawiałam, tem prościej i łatwiejszą wydała mi się cała ta sprawa. Tak, na seryo, spróbuję objechać świat, piękny szeroki świat! I z pomiędzy milionów ludzi, łatwiej mogę to uczynić ja, niż kto inny, bo jestem sama — nikomu niepotrzebna, nie mam rodziców ukochanych, którzyby się o mnie troszczyli; gdybym wpadła w biedę, niktby przezemnie nie cierpiał, gdybym umarła, niktby przez to nie zubożał. Naprzód więc! odważnie. Im prędzej tem lepiej! Doszedłszy do tego punktu, zeskoczyłam żwawo z mojej otomany i zabrałam się do działania: napisałam więc do Towarzystwa Orientalnej żeglugi w Londynie, aby się dowiedzieć o cenie podróży i natychmiast posłałam list na pocztę, żeby sobie nie

zostawić czasu do namysłu. Niestety, u mnie namysł sprowadza zwykle tchórzostwo, kiedy więc chcę naprawdę czegoś dokonać, muszę działać bez namysłu. Dotąd jeszcze sama jestem w domu; oprócz służących, niema tu nikogo i ty pierwsza dowiadujesz się o moim »szalonym« zamiarze. Jeżeli masz ochotę odradzać, nie fatyguj się na próżno, bo to do niczego nie posłuży: zdecydowana jestem iść za swoim popędem. — Bywaj zdrowa!

2 list.

Kraków, 12 lipca 1892 r.



ufer mój spakowany, a ja sama gotowa do podróży. Dziś wieczór pośpiesznie do Wiednia pociągiem wyjeżdżam z kochanego starego Krakowa i to w nadziei, że go powitam znowu za lat dziesięć. Postanowiłam bowiem dziesięć lat poświęcić mej podróży, ażeby dobrze móżdź poznać ludzi i kraje obce. — Raz tylko w życiu objeżdża się świat dookoła, trzeba więc uczynić to jak można najporządniej i najgruntowniej. A że dla mnie najlepiej jest, gdy sobie cel stanowczy postawię, więc naznaczam nawet dzień powrotu i postanawiam, zanotuj to sobie: od dziś za lat dziesięć, to jest 12 lipca 1902 r. postaram się, o ile to będzie może-

bne, znaleźć się na Dworcu krakowskim, skąd właśnie podróż mą rozpoczynam. — To jest cel i data, do której przez lat dziesięć zdążać będę.

W przyszłą niedzielę przybywa do Brindisi angielsko-australski parowiec »Ballarot«, którym płynąć zamierzam; trzeba więc dziś wyjechać, aby w porę na miejscu stanąć. Widzisz, że nie zaspiałam gruszek w popiele. Jakem tylko otrzymała odpowiedź z Londynu i obrachowała koszta podróży, zamówiłam sobie kajutę na pierwszym na daleki Wschód szybującym parostatku. Za 1000 franków mam bilet, drugiej klasy ma się rozumieć, z Brindisi do Sidney w Australji. Pozostałe 400 franków wystarczą na konieczne sprawunki i podróż stąd do Brindisi. Gdy się już znajdę na statku, nie wiele mi zostanie gotówki, tak, że dość ubogo rozpocznę życie na nieznanym lądzie. To się wydaje dosyć ryzykowne i nierozsądne może. Zapytasz, czemu nie zostawiam sobie jakiej futeczki do powrotu, gdyby się nie wiodło? Właśnie tego nie chcę; obawiam się tej specjalnie szwajcarskiej choroby — tęsknoty »za krajem«, a także własnej słabości, tak iż umyślnie odcinam sobie odwrót. Dlatego też nie jadę wprost do Ameryki, bo stamtąd łatwiej byłoby zawrócić. Z Australji to co innego: pomyśl ile czasu musiałabym pracować, by sobie zaoszczę-

dzić znów 1400 franków? Tymczasem zahartowałoby się serce moje.

Widzisz więc, że chociaż to się inaczej wydaje, jednak ja bardzo konsekwentnie przystępuję do dzieła. Metoda raczej spartańska: Zwyciężyć lub zginąć!

Za twój miły list i przyjacielskie, zawarte w nim napomnienia dziękuję serdecznie. Nie doprowadziły do niczego, co prawda, ale dowiodły mi, że się swoją szczerą przyjaciółką interesujesz; i to pociecha. Chciałabym żebyś wiedziała, jakie wrażenie sprawił mój projekt na przyjaciółach moich krakowskich. Z początku niedowierzanie, trochę naśmiewania się nawet. Ale gdy nadeszła karta okrętowa za tysiąc franków, dopieroż się wszystko poruszyło! Nie tylko znajomi i przyjaciele, ale obce zupełnie osoby przychodziły perswadować mi. W ostatnim tygodniu usłyszałam więcej opowiadań o strasznych przygodach, rozbiciach itp., niż dotąd przez całe moje życie. Jednak nie udało się nikomu odstraszyć mię i odwieść od przedsięwzięcia, i sama się dziwuję własnej odwadze. Jednego żałuję, że mi nie wystarczyło pieniędzy na wycieczkę do Szwajcaryi, do grobu Ojca, by sobie jego błogosławieństwo wymodlić na tę podróż. Ale dusze nie znają granic, więc i tak może duch Ojca zechce mi towarzyszyć w dalekiej wędrówce.



ierwszy mój popas. Przybyłam tu dziś raniutko, a że parowiec mający mię zabrać do Brindisi jutro dopiero odpływa, musiałam się zatrzymać w hotelu. Jak to nieprzyjemnie! Nigdy jeszcze sama nie mieszkałam w hotelu. I jaki wybrać? Oglądałam z miną zakłopotaną napisy na czapkach hotelowych portierów, uszeregowanych na Dworcu, gdy oczy moje padły na przedostatni już: »Pod dobrym Pasterzem«, i na ten się zdecydowałam, bo sama nazwa wydała mi się uspokajającą. Czy się okazał złym, czy dobrym? nie umiałabym powiedzieć, tak bowiem byłam przez dzień cały przygnębiona i smutna, że nie widziałam, co się w koło mnie dzieje. Ach! gdyby czerwone pluszowe meble z mego numeru mówić mogły, ileżby naopowiadały sąsiadom swoim i sąsiadkom o paniencie samotnej, która przez kilka godzin bez przerwy płakała rzewnie i łkała nawet! Szczęściem meble są nieme zazwyczaj i nikt, oprócz mnie, nie dowiedział się, że owa, tak przed dwoma dniami dzielna i odważna podróżniczka zamieniła się w tchórza i była już prawie zdecydowana wracać. Wiesz, Elżuniu, teraz dopiero, gdym się znalazła sama zupełnie w tym obcym, niezna-

jomym hotelu, pojęłam, na co się narażam. Ostatnie dni dziesięć w Krakowie przeszło w takim chaosie, że i myśleć nie było czasu. Każdy chciał mię pożegnać, naturalnie przypuszczając, że to po raz ostatni, bo gdzieżbym mogła z takiej podróży powrócić? A ciągle te wizyty, herbatki, podwieczorki obalały mię zupełnie. Tu dopiero, gdym się rozpatrzyła i zastanowiła w samotności, ukazało mi się moje ryzykowne przedsięwzięcie w innem zupełnie świetle. Chcąc się cokolwiek otrząsnąć z swojej desperacyi, postanowiłam pójść do Biur Lloydu aby się czegoś dowiedzieć o swoim jutrzejszym statku. Urzędnik, do którego się zwróciłam, nie odpowiedział odrazu, lecz wyszedł z biura, zostawiając mię samą. W czasie jego nieobecności stałam przy oknie spoglądając na rojącą się od ludzi ulicę, na morze i las masztów okrętowych w porcie, i nagle tak mi się zrobiło straszno przed wielkim nieznanym światem, żem postanowiła... zawrócić z drogi. Jeszcze mi wystarczy franków na powrót do Szwajcaryi. Do Krakowa już ani myśleć. Jakieżby to był wstyd i upokorzenie! Ale w Szwajcaryi nikt jeszcze nie wiedział o szalonym przedsięwzięciu mojem. Wracajmy, wracajmy! W tem słowo »Naprzód« wpada mi do ucha i staję zdziwiona naprzeciw urzędnika, który cicho powrócił tymcza-

sem i stał przedemną mówiąc uprzejmie: »Parowiec, którym Szanowna Pani jutro odpłynie nazywa się »Naprzód« (»Avanti«). Elżuniu! w tej chwili pierzchły³ moje obawy i niepokoje, wróciła dawna odwaga: już mnie nie przestrasza ogromne morze, ani obce twarze ludzkie, bo mi się wydaje, że chyba sam Bóg rozkazuje mi iść naprzód. Zdaje mi się, że już się niczego bać nie będę. Hasłem mojem odtąd »Naprzód!«

4 list.

Na statku »Avanti« (»Naprzód«) morze Adryatyckie 16 lipca 1892 r.



d wczoraj z południa żeglujemy najspokojniej po ślicznym, lazurowym, wygładzonym, jak zwierciadło Adryatyku. I czemuż go się tak bałam? Dziś mogłabym dzień cały marzyć wpatrzona w błękitne fale, gdyby nie pewien wysoki, chudy, kratkowany Anglik, który z Karlsbadu jedzie do Egiptu, a że nikt tu prócz mnie po angielsku nie mówi, więc się trzyma ustawicznie w mojem sąsiedztwie. Przy stole nawet zdobył sobie miejsce przy mnie, bo inni pasażerowie po włosku

tylko rozmawiają. Mamy jowialnego kapitana, który nam najweselsze historyjki opowiada, a kiedy wszyscy się zanosimy od śmiechu, Anglik skubie mię za rękaw i pyta: »Z czego się śmieją?« Muszę więc tłómaczyć, ale łatwo sobie wyobrazisz, że włoski dowcip kapitana w przekładzie na angielszczyznę traci wiele na swej świeżości i ostrości, tak że syn Albionu nie musi mieć świetnego pojęcia o kontynentalnym humorze.

Dziś wieczór mamy przybyć do Brindisi. A że ja jedna tylko tu wysiadam, nie będziemy nawet wjeżdżać do portu. Nie warto czasu tracić dla tak małej jak ja, osóбки, mówi pan kapitan: »Spuszczą Panią i jej kufer na linie do czółna, i jazda!«

»Czy tylko będą czółna pod ręką?« spytałam. »O będą, jakie Pani zechce: rybackie, przemytnicze, ba, nawet korsarskie, do wyboru.«

Perspektywa ta mnie nie zachwyca, ale nie jestem pewna czy kapitan mówi na seryo. — W każdym razie udaję, że mi to obojętne, a nawet, że się znam na spuszczeniach po sznurze i łodziach korsarskich.

5 list.

Na statku »Ballarot« morze Śródziemne 20 lipca 1892 r.



uż jestem na statku mającym mię dowieźć na miejsce przeznaczenia. Pięć tygodni płynąć będę, nie myśląc o przesiadaniu się lub wylądowaniu, i to pociecha.

»Ballarot« był już w porcie, gdyśmy ostatniej soboty do Brindisi przybyli, tak że nie potrzebowałam zajeżdżać do hotelu. »Naprzód« stanął rzeczywiście na otwartym morzu, ale na sznurze spuszczać się nie potrzebowałam, bo przystawiono do boku statku wążkie a chwiejne schodki czy raczej drabinkę, po której zesłam ostrożnie do łodzi. Czy to była przemytnicza, czy korsarska, nie umiem powiedzieć, ale wiedziałam, że w biały dzień, w obec tylu ludzi, nic mi się złego nie stanie.

»Ballarot«, który o całą dobę wyprzedził termin swego przybycia, nie był jeszcze wjechał do portu, tak, że przeprawa z jednego statku do drugiego niewiele mi zabrała czasu. Tu jednak musiałam znów się wdrapywać po chwiejnej drabinie i to, niestety w obec mnóstwa widzów; cała bowiem załoga Ballarotu i pasażerowie tegoż wylegli na pokład, obserwując przez lunety, binokle, lornety teatralne itp.

Łódź wiozącą małą osobkę z ogromnym kufrem. Gdy mi przyszło włączyć na drabinkę, wszyscy wychylali się przez poręcz, aby skorzystać z tak ciekawego widoku. Nie powiem, żeby było przyjemnie w tak mizerny sposób wstępować do towarzystwa, na którem pragnęłoby się uczynić jak najkorzystniejsze wrażenie, ale cóż robić? musiało się znieść to, jak i wiele innych rzeczy.

»Ballarot« to kolos w porównaniu z »Naprzodem«. Trzeci dzień już jestem na statku, a jeszcze błędę czasami. Sama załoga składa się z 180 ludzi. Co do pasażerów, jest nas ze sto w drugiej klasie; w pierwszej 20, a z tuzin może w trzeciej. Statek mógłby cztery razy tyle zabrać, a jest ich tak mało dlatego, że w tej porze ludzie boją się upałów na Czerwonym Morzu, i wolą kilka tygodni poczekać albo też objechać przylądek Dobrej Nadziei. Mnie to dogadza, bo mamy dużo miejsca. I cieszę się, że nie usłuchała moich przyjaciół krakowskich, doradzających pierwszą klasę; nie dlatego tylko, że tamta dwa razy droższa (2000 franków przeszło z Europy do Australji), ale że druga jest o wiele więcej przyjemna i zajmująca. Towarzystwo nasze, składa się przeważnie z angielskich oficerów, inżynierów, lekarzy i innych urzędników udających się do Indji. Kobiet nas niewiele na statku: kilka żon urzę-

dników lub oficerów i z półtuzina zaręczonych, które jadą do swych narzeczonych, oczekujących na nie w Australji. Jak ci Anglicy są pełni zimnej krwi: kula ziemiska nie ma dla nich zbyt wielkich odległości, a z Anglji do Chin lub Australji jadą sobie z taką łatwością, jak naprzykład my Szwajcarowie z jednego kantonu do drugiego w odwiedzinach. Przy moim stole siadają dwie damy: jedna jest młoda, i jedzie odwiedzić swych krewnych w Nowej Zelandyi i na wyspach Fidżi; druga stara Szkotka 70-letnia odwiedziła właśnie córkę zamężną w New-Yorku, a teraz śpieszy do synów w Melbourne osiadłych. Czy gdzieindziej, jak w Brytyjskiem państwie znalazłaby się taka do podróży chętna Babunia? Jeszcze bardziej podziwiam starszą damę, która, mimo siódmego krzyżyka, zdecydowała się przed kilku miesiącami oddać rękę pewnemu australskiemu koloniście i teraz właśnie jedzie ze świeżo poślubionym małżonkiem do jego siedziby za morzami.

6 list.

Na statku »Ballarot« Czerwone Morze
23 lipca 1892 r.



d dwóch dni płyniemy owem strasliwym Czerwonym Morzem. Francuz, zdaje mi się Oskar Commettant, w książce swojej: »Au pays des Kangourous« mówi, że rzadko kiedy statek przepłynie Morze Czerwone bez wypadku śmierci. U nas dotąd nikt jeszcze nie umarł, i zaczynam wierzyć, że klimatyczne niebezpieczeństwa morza tego są mocno przesadzone. Prawda, że niektóre damy mdleją po kilka razy na dzień, a niektórzy panowie wyglądają, jakby ich każdej chwili apopleksya trafić miała, ale zauważywszy dyetę tych osób, nie można się dziwić ich niedomaganiu. Ileż oni pochłaniają whisky, czyli poprostu mówiąc, wódki! W Grenlandyi albo Japonii byłoby tego za dużo, a cóż dopiero w zwrotnikowych krajach. Sąsiad mój obiadowy z lewej strony, młodziutki oficer angielski z Indji przy każdej uczcie, z wyjątkiem pierwszego śniadania, połyka ogromny kufel z odrobiną wody sodowej a mnóstwem wódki. Co wypija w antraktach, tego nie widzę ma się rozumieć, ale sędzę, że się zakrapia obficie, więc naturalnie wygląda sino-czerwony na twarzy, oblewa się potem, i przeklina przez dzień

cały okropny klimat tutejszy. Niestety, nie jest on wyjątkiem: wszyscy piją dużo bardzo, chociaż pijanego zupełnie nie spotkałam tu jeszcze. Co się tyczy mdlejących pań, te wprawdzie nie łykają spirytualii, o ile wiem, ale na przykład moja vis-à-vis, jedna z australijskich narzeczonych wypija przy jedzeniu mnóstwo mrożonej wody, a lodów zjada po trzy porcye. I cóż dziwnego, że potem choruje? Co do mnie, czuję się zupełnie zdrową i rzeźwą, ale od wyjazdu z Brindisi nie piłam nic oprócz gorącej wody, co mnie wcale nie podnieca; przytem nie grozi niebezpieczeństwo wypicia za wiele tego smakowitego trunku. Zresztą na morzu Czerwonym nie uczuwa się upału tak mocno, jak w kanale Suezkim, tu bowiem parowiec mknie szybko a w kanale może się tylko zwolna poruszać, żeby nie uszkodzić brzegów. Dwadzieścia cztery godziny sunęliśmy przez kanał, a jakąż to niemiłą, jednostajną, nudną żegluga. Po obu stronach nic, tylko obszerne, piaszczyste równiny. W Port-Said, u wejścia do kanału staliśmy kilka godzin dla nabrania węgla, ale że to już było ku wieczorowi i miasto uchodzi za jedno z najgorszych w świecie, kapitan poradził nam kobietom, abyśmy się na ląd nie puszczwały.



ostawiliśmy już wreszcie za sobą skwary Czerwonego morza i teraz, pomimo, że się zbliżamy do równika, chłodniej będzie, bo wieje silny monsun z Indji; wkrótce zaś będziemy już na Południowej półkuli, gdzie jest obecnie zima. Aden leży poza cieśniną Bab-el-Mandeb, już na wybrzeżu morza Arabskiego i ma być najgorętszym miastem na świecie, ale dziś je ochładza monsun dobroczynny. Sąsiad mój (z lewej strony) opowiadał dziś następującą anegdotę Niedawno umarł tu angielski żołnierz. Aden bowiem jest jedną z posiadłości Anglii, która tu załogę utrzymuje; otóż w nocy po pogrzebie swym, wrócił on do towarzyszy błagając o kołdrę wełnianą, twierdził bowiem że, przyzwyczajonemu do adeńskich upałów, zimno jest w piekle, dokąd się dostał. Mnie się wydaje, że sam pobyt w Adenie jest już dostateczną karą dla najgorszego grzesznika. Miejscowości brzydszej i smutniejszej nie spotkałam, a nawet nie przypuszczałam by istnieć mogła gdziekolwiek z wyjątkiem Dantejskiego piekła. Jałowa, czerwona brunatna skała: na szczycie twierdza angielska, u stóp, między skałą a morzem wciśniętych kilkanaście nędz-

nych lepierek i to jest miasto Aden. Deszcz tu pada raz na trzy lata, i to nie zawsze. Cóż więc dziwnego, że zupełny brak roślinności. Możesz sobie wyobrazić, że mieszkańcy tej rozkosznej krainy nie wyglądają kwitnąco, ani wesoło. Chude, ogorzałe, wysuszone postacie o dużych, czarnych, smutnych oczach zdają się pytać: Cóżżeśmy zrobili, że nas skazano na pobyt w Adenie? Jedyne weselsze oblicza mają nurkowie uprawiający specjalnie adeniński przemysł. Zaledwie statek wpłynie do portu, roi się w około od mnóstwa nagich chłopaków wrzeszczących w niebogłoso: »Have a dive? Have a dive?« co ma znaczyć: »Czy dać nurka?« — Gdy pokażesz takiemu chłopcu monetę, byle srebrną, i rzucisz ją w morze, w tejże chwili ciska się z pokładu albo i z maszty głową na dół w wodę, znika na kilka sekund i wkrótce wynurza się, niosąc w zębach pieniążek, który, naturalnie, staje się, jego własnością. Te nurkowskie figle muszą być dość popłatne, gdy pomyślimy, ileto statków przepływa tędy w drodze do Australji, Japonji, Chin lub Indji, a każdy prawie z pasażerów zostawi parę szylingów w zębach młodych sztukmistrzów. Spytałam jednego 14 czy 15-letniego chłopca, ile też dziś zarobił, otworzył dłoń i naliczyłam 18 szylingów, a przedstawienie nie trwało nawet godziny. Większa część pasażerów opu-



ściła nas tutaj, udając się wprost parowcem do Bombaju. W ich liczbie mój sąsiad, amator wódki, ale nie powiem, bym nad tem ubolewała.

8 list.

Colombo w Cejlonie 2 sierpnia 1892 r.



rólową wysp nazywają Cejlon. Czy nią jestem zachwycona? spytasz? Zapewne; jakże nie być zachwyconą, gdy się od dwóch tygodni, tj. od Tryestu nie widziało nic zielonego; a przez cały tydzień okropnie cierpiało od fal Arabskiego morza. — Żegluga z Aden do Colombo była wielce niespokojna. Ogromny »Ballarot« stał się piłką w ręku rozjuszonego Neptuna: cały statek skrzypiał i trzeszczał, jakby miał się na kawałki rozsypać, ja zaś byłam co chwila, nie powiem w śmiertelnej trwodze, ale zupełnie na śmierć przygotowana. Żeśmy wyszli ztamtąd z życiem, chociaż bez masztów, to dziw, ale nie dziw, że człowiek z taką radością wita ląd stały. Sądzę, że i Aden w tych okolicznościach wydałby się piękny, a cóż dopiero Colombo wspaniałe wśród barw jaskrawych i zwrotnikowej roślinności. Tylko, że ja nie jestem jeszcze przyzwyczajona do tych egzotycznych piękności i otwarcie wyznaję, że wolałabym naszą

rozłożystą sosnę szwajcarską, albo dąb potężny od tutejszych niebotycznych palm. Gdzież tu cienia szukać nam biednym śmiertelnikom, gdy te konary i liście gdzieś aż do słońca wystają a całą ogromną aż do nich przestrzeń zajmuje gładki, nagi pień. Czuję, że to bardzo prozaicznie wygląda, co ja mówię, ale cóż robić? prozaiczną na świat przyszedłam i taką, zapewne, do końca zostanę. Lubię, żeby mi było przytulnie i wygodnie, a w Colombo tak nie jest: za wiele tu skwaru, węży i żebraków. — Wprawdzie dwa są Colombo: angielskie o pięknych willach z mieszkańcami biało ubranymi i tam mi się podoba; ale miasto tubylców nad wyraz brudne jest i nędzne. Poszłam dziś rano z kilkoma towarzyszami na targ z wielkim koszem na ręku — tu bowiem uchodzi, coby nie uszło w naszym Bernie lub Krakowie — i przechadzałam się spokojnie po ulicach Colombo, zakupując rozmaite nieznanne mi owoce. Dopókiśmy chodzili po angielskiej części miasta, udawało się to jeszcze, mimo wielkiej liczby żebraków, ale w mieście Syngalezów myśleliśmy, że już po nas.

Zaroiło się żebractwem wokoło nas: szarpali za suknie, zrywali nam broszki i łańcuszki, nawet rzucali kamieniami, gdyśmy nic nie dali lub nic już do dania nie mieli. A żebrzą po angielsku, wszyscy jednakowo: »Me no father,

me no mother« (ani ojca, ani matki!)» Tacy nawet, co sami raczej na pradziadków wygląda- dali, powtarzali żałośnie: »Ani ojca, ani matki!« Jeszcze gorzej byłoby ze mną na targu, gdybym nie była posłuchała, w Brindisi jeszcze, rady naszego poczciwego kapitana, który mnie uwa- żał za młodszą i głupszą niż jestem w istocie, i zalecił oddać pieniądze do przechowania na- szemu kasyerowi. Wyprosiłam sobie od niego zrana kilka szylingów; ale chociaż kupiłam zale- dwie kilka owoców i to za tanie pieniądze, wyszłam z targu bez grosza. Pieniądze wydzie- rali nam poprostu z ręki. Lazzaroni neapoli- tański, to anioł w porównaniu z miłymi Synga- lezami! Wszystko to może być bardzo ponętne i ciekawe dla malarza, ale ja, przyznam się, że wolę u nas, niż w tym t. zw. raju ziemskim.

Co do owoców, także miałam rozczarowa- nie: z tych soczystych, wspaniałych fruktów, jeden tylko ananas dogodził memu europej- skiemu podniebieniu: inne były albo za słodkie, albo miały dziwny jakiś wstrętny posmak. — I znów muszę wyznać, że nad te ogromne, złociste płody egzotycznej strefy, przekładam nasze rumiane, soczyste, wonne jabłko.

9 list.

Adelaida w Południowej Australji
18 sierpnia 1892 r.



czoraj o 5ej rano obudziło mnie mocne stukanie do drzwiczek kajuty i wołanie naszego szafarza (steward): »Niech panie wstają i przyjdą języki pokazać!« Posłuszna, jak zwykle, przepisom, wyskoczyłam żwawo z łóżka i zaczęłam się ubierać, nie pojmując jednak o co szło zacnemu Barnesowi. Mogłaby mnie, co prawda, objaśnić towarzyszka sypialni Miss S., ale tej niepodobna było rozbudzić. Gdy wreszcie oczy przetarła i ziewnęła parę razy, spytałam ją, co znaczy ten rozkaz pokazania natychmiast języka? — »To znaczy, że się zbliżamy do miasta Adelaidy i komisya zdrowotna musi sprawdzić, czyśmy zdrowi«. — »A jeżeliśmy niezdrowi, to co będzie?« »Well, chorzy zostaną dwa lub trzy tygodnie w kwarantannie na statku« — i to rzekłszy, obróciła się na bok i zaczęła chrapać w najlepsze, nie przezuwając nawet jak śmiertelną w mem sercu obudziła trwogę. Pamiętałam dobrze, że w kursbuchu Towarzystwa Żeglugi stoi napisano: »Jeżeli pasażer pozostaje w kwarantannie, musi łożyć sam na swoje utrzymanie«. A wiedziałam przecież, że nie jestem wcale zdrową dzisiaj

i język mój niezbyt ładnie wygląda. Nie darmo ocean Indyjski miotał nami gorzej jeszcze niż Arabski, a w dodatku zaszkodziło mi Colombo. Chcąc jak najwięcej zobaczyć, biegałam przez dzień cały, jak szalona, zapomniawszy parasol otworzyć w tem palącym indyjskiem słońcu, i, naturalnie dostałam lekkiego udaru słonecznego, tak że ostatnie dwa tygodnie dręczył mnie ciągły ból głowy i brak apetytu. Cóż się ze mną stanie, jeśli zostanę w kwarantannie? Mam zaledwie pięć funtów szterlingów, a gdy te się wyczerpną, zostanę bez grosza na nowym lądzie, o pięć tygodni drogi od mojej ojczyzny, sama, nieznajoma. Byłabym sobie oszczędziła wiele niepokoju, gdybym się rozmówiła z sąsiadką, ale wstyd mi było obcej osobie przyznawać się do swoich kłopotów finansowych. A nużby jej przyszło na myśl urządzić składkę na mnie? Milczałam więc, dopóki nas nie wezwano na pokład do inspekcji. Gdybym nie była tak strapiona, wybuchłabym śmiechem na widok, który się oczom moim przedstawił. Oto stał cały szereg ludzi z wywieszonymi językami! Pasażerowie uszykowali się z przeciwnej strony i tam zajęłam miejsce drżąc na całym ciele pomiędzy dwiema paniami, z których jedna była bardzo wysoka, a druga bardzo szeroka. Nadchodzi lekarz — ogląda pierwszą, drugą, trzecią osobę, ale

o język nie pyta. Ej, ze mną będzie inaczej, bo wiem, że wyglądam, jak trup. Zbliży się sędzia, a moje serce stuka coraz mocniej. Obejrzał pannę B. po prawicy mojej, Miss M. z lewej strony, na mnie tylko pobieżnie okiem rzucił i poszedł. Już miałam odetchnąć głęboko, ale nagle mój doktor zmienił zdanie: zawraca, zatrzymuje się przedemną, mdlejącą już prawie z przerażenia i... odchodzi z uśmiechem na szerokiej twarzy. Ocalonam, Bogu dzięki!

Gdy później opowiadałam przebytą trwogę lekarzowi okrętowemu, wybuchnął niepohamowanym śmiechem i zawołał: »Cóż za dziecko z pani! Czyż nie wiecie, że kwarantanna tyczy się tylko chorób zaraźliwych?« Wczoraj popołudniu między godziną 3 a 4 wstąpiłam po raz pierwszy na ląd australijski. Cudny dzień był: łagodny i słoneczny. A jednak teraz zima tutaj, zima południowo - włoska z mnóstwem róż kwitnących na werandach i balkonach. Czyś ty sobie Australję piękną wyobrażała? Ja nie, sama nazwa wywoływała smutne obrazy pustych piaszczystych przestrzeni. Jakaż to miła niespodzianka znaleźć tu wspaniałą roślinność, kwiecia mnóstwo. Jak daleko oko sięga, wszystko wygląda, jak prześliczny ogród. A stolica Południowej Australji — Adelaide, cóż to za wspaniałe miasto! Budowle okazałe, rozległe parki i ulice jak bulwary szerokie. Przytem wszystko

jest czyste, świeże. Nie zobaczysz tych cyrkułów nędznych, zabrudzonych, jakie w naszych wielkich miastach spotykamy. Tu, w dzielnicy robotniczej wszędzie małe schludne domki z ogródkami, kwiatów pełno, wszędzie kręcą się ludzie biali, wymyści i uczesani. Co za różnica z Colombo!

Adelaida to jeszcze młode zupełnie miasto, jak wszystkie australskie; założone w 1837 r. Ale to prawdziwie wzorowe miasto, nie tylko z porządku i czystości, ale i pod względem instytucji publicznych; ma nawet i uniwersytet. Mieszkańcy to przeważnie Anglicy i Niemcy.

Południowa Australja ciągnąca się od Południowego do Indyjskiego oceanu jest kolonią, która wydaje głównie wino i zboże. Cała okolica od morza do pasma gór dzielącego ją od piaszczystych pustyń Środkowej Australji, — jest pięknie uprawna. Farmerzy w znacznej części Niemcy; są nawet wsie wyłącznie przez Niemców zamieszkałe i po niemiecku nazwane, np. Blumberg, Rosenthal, Hohendorf itp. Wino tu się wybornie udaje, ale ponieważ Australczycy, jak i wielu innych ludzi, więcej cenią obce, niż swoje, więc i to wino idzie najprzód do Francji, aby wrócić ztamtąd, jako drogo płacone Bordeaux. Ludzkość z antypodów dziwnie w tem podobna do europejskiej.



eżeli przed kilku dniami przypatrywałam się z otwartemi usty nieznannej stolicy, to dziś osłupiałam na widok Melbourne! Nie jest ono piękniejsze od Adelaidy, a nawet jej nie dorównywa, ale zdumiona jestem, że tu w antypodach znajduję nowe a tak ogromne i takim gorączkowem życiem pulsujące miasto. Melbourne ma pół miliona ludności, a istnieje zaledwie pół wieku. Ależbo tu wyrastają miasta z ziemi odrazu, jak grzyby po deszczu. Melbourne jest dumny ze swych wspaniałych budynków i szerokich ulic. W Sydney, jak mi mówiono, pytają cudzoziemca: »Jakże się Panu podoba nasz port?« — w Melbourne zaś: »Widzieliście też państwo nasze ulice?«

Ponieważ się spodziewam kiedyś na dłużej tu powrócić, nie będę dziś opisywała australskiej metropolii. Miałabym, zresztą, sposobność pozostania tutaj, poznałam bowiem nader sympatyczną rodzinę polskiego pochodzenia, u której dziś byłam na obiedzie, a radzili mi, żebym się tu osiedliła jako nauczycielka języków. Przytem moja 70-letnia para małżonków wylądowała tu i zapraszali mnie do swego domu. —

Podziękowałam za jedno i za drugie, wołam bowiem być niezależną w swojej walce o byt.

Prawie wszyscy pasażerowie wylądowali tutaj: zostało nas ze cztery damy i z tuzin panów. Smutno mi się robi, gdy pomyślę, że za dwa dni ja także pożegnać będę musiała »Ballarota«, który jest dla mnie częścią Europy. Dopóki jestem na statku, czuję się niby w domu, pod czyjąś opieką. Nie masz pojęcia, jak się można przywiązać do takiego statku i jaką się uczuwa ufność do poczciwego, mądrego i dzielnego, jak nasz kapitan Ashdown, człowieka. Jakże często i chętnie przysłuchiwałam się w nocy nawoływaniom straży na pokładzie: »All is well!« (Wszystko dobrze). Choćby ciemno i wietrzno było na dworze, uspokojałam się na to wołanie i zasypiałam w mojej kajutce. Tak, teraz nie jestem jeszcze sama; dopiero gdy wyląduję na dobre, uczuję się samotną i opuszczoną. Ale nie chcę się poddawać smutkowi; dotychczas wszystko dobrze szło; czemużby i nadal tak być nie miało? Tylko odważnie naprzód!



Uż więc jestem u kresu podróży, rozpoczętej 12 lipca! Wczoraj, o czwartej popołudniu wpłynął Ballarot do największego w świecie portu; o szóstej zaś pożegnałam moją pływającą ojczyznę. Mieszkam u pewnej rodziny, której adres dała mi jedna z moich angielskich znajomych. Szczęście to dla mnie, że nie była zmuszona w hotelu się zatrzymać, bo wtedy wyczerpałby się szybko mój zapasik. Tu płacę tylko jeden funt szterling (około 10 rb. a 12 złr.) tygodniowo za mieszkanie i utrzymanie, co ma być bardzo tanio, jak na Sydney; dla kogoś jednak, posiadającego tylko pięć funtów naogół, to jeszcze za dużo, bo przecież są i inne nadetatowe wydatki. Wszak pomimo największej oszczędności kapitałik mój wystarczy zaledwie na trzy tygodnie. Ale spodziewam się przed tym terminem znaleźć zajęcie. Zrobiłam już przygotowania, mianowicie: kupiłam sobie kilka gazet, przewodnik i plan Sydneyu i z tem spodziewam się zdobyć, co mi potrzeba. Z gazet wypisuję adresy szkół prywatnych, do publicznych bowiem, nie mogę się udawać, nie posiadając australskich dyplomów, — potem na planie wyszukuję moje szkoły, żeby na próżno nie tracić

czasu i pieniędzy. Jutro ubiorę się porządnie i elegancko (»Jak cię widzą, tak cię piszą« — przecież!), włożę dyplom nauczycielski do kieszeni i jazda — do rozmaitych przełożonych pensyi w Sydney, żeby im ofiarować swoje usługi. Jeżeli przez dwa tygodnie nic nie znajdę jako nauczycielka, ubieram się w skromny, czarny kostiumek i podaję się, jako pokojówka, na usługi gosposiom sydnejskim. Ciekawa rzecz, który z dwu kostyumów zwycięży? Mam nadzieję, że pierwszy. Ale jeśli nic nie znajdę, cóż wtedy?

O tem wolę jednak nie myśleć: »Śmiałym los sprzyja«; »Nad sierotą Opatrzność czuwa«!... Chociaż bywam czasami tchórzowata, tu mi nie można zarzucić braku odwagi w ogóle: występuję dzielnie do walki, chcę zdobyć sobie piękne miasto Sydney. Żem smutna i stęskniona, to prawda, ale czyż może być inaczej, jeśli się zostawi na drugiej półkuli wszystko, co się znało i kochało na świecie. Nie mam żywej duszy znajomej w tem ogromnem mieście, bo nawet towarzysze moi z »Ballarotu« wylądowali pierwej, albo też popłynęli dalej do Nowej Zelandyi czy też do innych jakich wysp. Smutno mi okropnie, ale zwalczam to, jak mogę.

Nie spodziewaj się, żebym ci teraz opowiadała o Sydney lub o jego mieszkańcach: miasta nie znam prawie, a z ludźmi nie ze-

tknęłam się jeszcze; nikt mię nawet nie spytał: »Jak się Pani port nasz podoba?« Ludzie, u których mieszkam, sami niedawno z Anglii przybyli i wcale się nie zachwycają Australją, doznawszy jakichś niepowodzeń. Jedyne Sydneyńczyk, z którym rozmawiałam, byłto urzędnik cłowy. Grzeczny był i uprzejmy, nie żądał nawet, bym kufer swój otworzyłam, tylko spytał, czy nic nie mam do oclenia. »A cóż podlega cłom?« zapytałam. »Srebro, złoto, takie rzeczy«. Złoto! nie mogłam się wstrzymać od śmiechu, bo skądżeby biedna Szwajcarka przywoziła złoto do kraju kopalń i skarbów rozmaitych. »Po złoto właśnie przyjeżdżam, ale z sobą go nie przywożę« odrzekłam. Teraz urzędnik się rozśmiał, powiedział »all right« i tak się zakończyła pierwsza moja rozmowa w Sydney.

12 list.

Sydney, 7 września 1892 r.



wycięstwo! — Nie wiem czy Wellington po bitwie pod Waterloo z większą dumą zawiadamiał Anglię o swem zwycięstwie, niż ja ciebie dziś o swoim. Mam miejsce! i to, jako nauczycielka. Zwyciężyłam, ale walka ciężką była i nie chciałabym jej drugi raz przechodzić. Elżu-

niu, czy możesz sobie wyobrazić, co to jest chodzenie od drzwi do drzwi przez dwa tygodnie w poszukiwaniu pracy, i wszędzie, ale to wszędzie odmowna odpowiedź. A potem znaleźć się samej na ulicy w obcym kraju, zupełnie samej, i nigdzie nie widzieć znajomej twarzy, nie usłyszeć życzliwego pozdrowienia, nie mieć domu, ani serca przyjaznego, nie mieć z kim podzielić swego utrapienia i być samiuteńką, obcą, ubogą! Nie, nie możesz sobie tego wyobrazić, bo to trzeba przeżyć, aby pojąć straszne uczucie opuszczenia. Nigdy nie doznam innego uczucia krom litości dla tych nieszczęsnych sióstr moich, które w walce o byt potykają się i upadają. Wiele się nauczyłam rozumieć i przebaczać przez te dwa tygodnie, a jednak to, co ja przeszłam, niczem jest w porównaniu z tem, co tysiące innych znosić muszą; bo ja przecież nie doświadczyłam nigdy głodu ani chłodu; nigdy — prócz jednego wyjątku, nie byłam traktowaną inaczej, jak osoba z dobrego towarzystwa, nie patrzyłam na cierpienia żadnej ukochanej istoty; nie chorowałam wcale.

Pozwól, bym Ci dokładniej opisała swoją kampanię. Otóż chodziłam od szkoły do szkoły, jak to sobie byłam postanowiła, przedstawiałam się paniom przełożonym i prosiłam by mi dały zajęcie. Po większej części odpowiadały bardzo uprzejmie, zapewniając, że z takim dyplomem

znajdę zajęcie, że chociaż w Sydney roiło się od biednych cudzoziemców rzucających się z desperacyi do nauczania swego rodzowego języka, to jednak prawdziwych nauczycieli było mało. Niestety jednak, tam, gdzie ja trafiałam, posiadano już dobór nauczycieli, i musiałam poprzestać na grzecznych słowach. Po większej części pensye prywatne w Sydney są bardzo nieliczne; mają po kilkanaście uczennic i przełożona sama wszystkiego uczy. W dodatku, tu, jak i w Anglji, nie potrzeba zdawać egzaminu aby otrzymać pozwolenie na otwarcie szkoły, a że tu, jak i gdzieindziej, zawód nauczycielki uważany jest za najstosowniejszy dla kobiety, biorą się więc do nauczania osoby nie bardzo do tego przysposobione. Płaci się niewiele na takiej pensyi, ale też i nauczyć się wiele nie można. W Anglii tylko i w angielskich koloniach mają istnieć takie szkoły; w innych krajach bowiem, nie uważa się za wstyd posyłanie dzieci do publicznych szkół. Anglicy jednak wolą dziecko swe posłać na pensyę prywatną, gdzie nauka nizko stoi, byle tylko nie pobierało nauki razem z plebejuszami. — Takie słabostki mają jeszcze oświeceni Anglicy!

Codziennie tedy, z wyjątkiem niedziel udawałam się na moją wędrówkę a zawsze z tem samem powodzeniem, czy raczej niepowodzeniem. Boże, jakże smutna i przygnębiona wra-

całam zwykle do domu. Chodziłam najczęściej pieszo, dla oszczędności, a rzecz dziwna, w tem pięknem mieście z wyjątkiem Botanicznego ogrodu i Jubileuszowego Parku, położonych, zresztą, za miastem, niema ani jednego ogródka, gdzieby porządna osoba spocząć mogła. Jest coprawda w środku samego miasta Hyde-Park i Gminny Park, ale te zdają się być przeznaczone wyłącznie dla włóczęgów. — Nie tylko wszystkie ławki zajęte przez pijanych mężczyzn lub kobiety, ale na trawnikach rozkładają się gromady pijaków: niepodobna usiąść gdziekolwiek. A jednak znalazłam sobie miejsce wypoczynku. Pomiędzy miastem a Darlingtonem, gdzie mieszkam, wznosi się kościół katolicki, najczęściej otwarty. Tam chroniłam się na kilka minut przynajmniej, wracając do domu, nie tylko dla wypoczynku, ale by się pomodlić o pomoc Bożą i wytrwanie. Szkoda, że nasze protestanckie świątynie nie stoją otworem tak, jak katolickie, dla smutnych i nieszczęśliwych.

Ale wracając do moich wędrówek: dziś najgorsza i najlepsza spotkała mnie przygoda. Popołudniu zwiedziłam aż pięć szkół: wszędzie, jak zwykle, przyjęto mnie grzecznie; w przedostatniej tylko, nie wiem, czy przełożona była w złym humorze, czy wogóle jest grubianką, dość, że odprawiła mię ode drzwi w niegrzeczny sposób, nie prosząc nawet, bym

weszła. Gdybyś wiedziała co czułam, znalazłszy się na ulicy; o mało żem się nie rozpląkała. Nie chciało mi się już dziś próbować w następującej szkole, wolałam wrócić do domu, ale nie! nie poddałam się i postanowiłam gorzki kielich do dna spełnić. Wkrótce trafiłam do szkoły i zgrabna pokojóweczka wprowadziła mnie do salonu, gdzie młoda jeszcze, elegancko ubrana dama nalewała sobie właśnie filiżankę herbaty. Zaprosiła mię uprzejmie, bym usiadła, i przysunęła nalaną filiżankę. Zaczęłam opowiadać, po co przyszłam i podałam jej swój dyplom; odczytała uważnie, spojrzała na mnie i wyrzekła: »Szczególna rzecz! W przeszłym tygodniu odjechała moja nauczycielka francuskiego, a chociaż za dni kilka szkoła się zaczyna po feryach wiosennych, ja jeszcze nie robiłam kroków o wyszukanie innej, tak byłam pewną, że się ktoś sam znajdzie«. I przyjęła mnie natychmiast. Codziennie z wyjątkiem soboty — w sobotę wszystkie australskie szkoły mają wolne, miałam uczyć francuskiego od 9 do 12; zato dostawałam utrzymanie z mieszkaniem i 1 funta szterlinga tygodniowo. Popołudnie mam wolne na dawanie lekcyi, jeślibym jakie znalazła. Nie są to świetne warunki, zwłaszcza w krainie złota, ale uszczęśliwiona jestem, bom już spokojna na jakiś czas i w dodatku mam przeświadczenie, żem zwyciężyła.



dzisiaj urodziny księcia Walii, więc święto w australskich koloniach. W Anglii nie świętują go, ale Australczycy to tacy świąt amatorowie, że gotowiby obchodzić urodziny wszystkich kuzynów i kuzynek domu królewskiego. Nie wiem, czy gdziekolwiek umieją lepiej się bawić na wolnym powietrzu niż w Sydney. Wiecznie jakieś wyścigi konne lub łodziami, piłki nożne, krokiety, krikiety, pikniki! Temu się jednak nie dziwię, bo któżby nie lubił się bawić w tak pięknej, jak tutejsza, okolicy. Wszystko się do człowieka uśmiecha: słońce, powietrze, morze, drzewa, kwiaty; wszędzie jest prześlicznie. Sydney cudnie jest położony, po części na zielonych wzgórzach otaczających ten wspaniały port. A mieszkańcy z Anglii przywieźli sobie zamiłowanie do obszernych wygodnych domów i pięknych ogrodów. Tu w antypodach nie widać prawie domu, któryby nie stał w ogrodzie, a bogatsi mają prawdziwe parki wokoło swych pałacików, tak że miasto liczące około pół miliona mieszkańców, wygląda, jak ogromny ogród raczej niż jak zwykłe miasto. Zamiast urządzić five o' clock'i i jours fixes'y między czterema ścianami, panie australskie przyjmują swych gości

w ogrodzie lub cienistej altanie. Nasza szkoła posiada także wspaniały ogród obniżający się aż ku morzu. Z werandy widzimy wszystkie okręty wypływające lub wpływające do portu, a obce statki wojenne niedaleko ztąd stoją. Niemieckich jest dużo, tak że wieczorami wsłuchuję się w rozmaite znane mi melodie. Robią one na mnie takie mniej więcej wrażenie, jak róg alpejski na straż szwajcarską w Sztrasburgu; nie sądzę bowiem, żebym się już tak zupełnie zżyła z Sydneyem. Mimo wszelkich tutejszych piękności, tęsknię jeszcze, i bardzo! bo »wszędzie dobrze, a w domu najlepiej!«

Teraz potrączę jeszcze o ciemne strony życia Sydneyskiego. Jeśli mówiłam, że koloniści mają szczególny dar bawienia się, to nie znaczy, aby i smutku nigdy nie zaznali; a teraz właśnie mają powody do strapienia, gdyż pod względem finansowym jest to najgorszy rok od czasu istnienia kolonii. Minęły szczęśliwe czasy, kiedy kobiety używały banknotów na papiloty, a mężczyźni dziesięciofuntówkami fajki zapalali. Ciągłe słychać tylko o bankructwach. Gdy dwóch mężczyzn z sobą rozmawia, z pewnością narzekają na złe czasy. Co chwila bank jakiś zawieszają wypłaty; rząd nawet musi się oszczędzać i wymówiono miejsca setkom urzędników. — Można sobie wyobrazić, ile ztąd nędzy wynikło i to jest jedna z przyczyn namnożenia się

szkótek prywatnych w Sydney. Jeśli mężowie zarobić nie mogą, to żony i córki oglądają się za kawałkiem chleba. A w dodatku robotnicy strajk urządzają, żądając 12 szylingów za ośm godzin pracy. Zresztą mają słuszość, bo tam, gdzie niema zmian klimatu, ośm godzin pracy przez rok cały wystarczy. Wogóle jednak robotnik australski nie sprawia dobrego wrażenia. Europejscy współbracia powinni by go się wyprzeć, gdyby zobaczyli te tłumy obdartych włóczęgów z krzykiem i wrzaskiem zaczepiających na ulicy żądaniem jałmużny każdego, kto nie jest w łachmanach. A zobaczyć ich przy robocie, co za leniuchy! Pałą ustawicznie i co pół godziny robotę przerywają, żeby sobie fajkę nałożyć, co przy ich marudztwie trwa blisko kwadrans. W dodatku są zuchwali i grubiańscy a prześladują bez litości tych, co z zagranicy przybywają do roboty, której oni spełniać nie chcą. Rozkładają się po ogrodach publicznych, a żony i dzieci na zebranie wysyłają; kiedy zaś niedawno rząd ogłosił, iż potrzeba kilkuset robotników do robót przy drodze, zameldowało się sześciu. Cóż więc dziwnego, że Australia mało ma fabryk? Tu niema czarnych, ani żółtych ludzi, żeby wyręczać białych w ciężkiej pracy, bo krajowcy australscy kryją się przed cywilizacją w lasach niedostępnych, gdzie

żyją z łowiectwa. Wszystko, co się tu widzi, po sklepach, przychodzi z Europy lub Ameryki; nawet wełnę australską posyłają do Anglii, z kąd wraca na sukno przerobiona. Od kiedy tu jestem, widziałam tylko dwie fabryki i to cygar, gdzie przeważnie kobiety i dzieci pracują. Australczycy są namiętnymi palaczami, ale ćmią tylko fajki. Panów w cylindrach, ubranych według ostatniej londyńskiej mody spotyka się na ulicy ze szkaradną, wielką fajką w ustach. Jak tu ulice wyglądają, nie wyobrazisz sobie. Dużo podróżowałam, ale tak obrzydliwych, brudnych chodników, jak w Sydney i Melburn, nigdzie nie widziałam. Komisya sanitarna miałaby tam dużo do czynienia.

14 list.

Sydney, Boże Narodzenie 1892 r.



Boże Narodzenie przy temperaturze 36° C. w cieniu nie może mnie natchnąć stosownym do chwili nastrojem. Nawet choinki przez okna widziane zostawiają mnie obojętną; nie są to bowiem choinki — sosny tu nie rosną, a śnieg, na gałązkach jest udany z waty. Biedne dzieci australskie znają tylko watowy śnieg! Wyobrazam sobie ich zdumienie, gdyby, przeniesione we śnie do Północnej Europy w zimie, obu-

dziły się i ujrzały biały świat w około siebie. Mamy obecnie wakacje, długie letnie wakacje, które dwa miesiące potrwiają. Jak tylko ostatnia pensyonarka odjechała, musiałyśmy i my nauczycielki wyjeżdżać. To niebardzo gościnnie ze strony przełożonej, która mnie upewniła, że wszystkie tak robią, aby uniknąć kosztów żywienia przez święta. Widzę więc, że Australia jest jeszcze mniej wygodna dla nauczycielek, niż myślałam. Rok szkolny dzieli się tu na kwartały dziesięcioletniowe, poprzedzielane rekreacyami, których tym sposobem przypada aż 12 tygodni na rok. Płacę dostaje się tylko za tygodnie szkolne. Jeśli więc nauczycielka nie ma domu rodzinnego w pobliżu, jak, na przykład, ja, musi przez te 12 tygodni opłacić sobie utrzymanie. Ponieważ, między Anglikami szczególnie, musi uważać na pozory, nie dostanie przyzwoitego utrzymania taniej, jak za funta szterlinga na tydzień, prócz oprania itp. Jeżeli średnio nauczycielka pobiera, jak ja, 40 funtów na rok, możesz wyliczyć, ile jej z tego zostanie przy końcu takiego roku. Niektóre mają więcej, ale to chyba w kilku większych zakładach. Żadna z nauczycielek, które spotkałam w czasie mego czteromiesięcznego tu pobytu, nie pobierała więcej, jak 60 funtów w ciągu roku za olbrzymią pracę i nauczanie w rozmaitych przedmiotach. Tak zwanym guwernantkom nie lepiej

się dzieje. Codziennie spotyka się anonsy: »Żądane: Kilka nauczycielek domowych, które oprócz przedmiotów w języku angielskim, wykładać mogą muzykę, malarstwo, francuski, niemiecki, łaciński język. Honorarium roczne 25 do 40 funtów«. Wprawdzie nauczycielki domowe nie potrzebują wyjeżdżać na wakacje i lepiej są żywione niż na pensjach, ale w każdym razie gorzkoby się rozczarowała nauczycielka przybywająca z Europy w nadziei zrobienia majątku w tym kraju złotodajnym. Kucharka, pokojówka a zwłaszcza ładna kucharka ma widoki powodzenia, lecz nauczycielkom radziłabym w domu pozostać.

Zapytasz pewno: »A jakże ta Lina potrafi kiedykolwiek z Australii wyjechać, jeżeli zarabia tyle tylko, ile zjeść może, ubrawszy się jako tako?« I rzeczywiście, gdyby tak szło nadal, nie przekroczyłabym, prawdopodobnie, granic Południowej Australii; ale, zdaje mi się, że pomyślna gwiazda zaczyna mi przyświecać. Dawne moje wędrówki od drzwi do drzwi przynoszą pewne rezultaty. Niektóre z przedłożonych, którym się przedstawiłam, pisały do mej terażniejszej pryncypałki Miss H. dowiadując się o mnie i dwie z nich zamówiły mnie, tak, że na przyszły rok szkolny będę miała zajęte popołudnia. Jedna z tych szkół, największa w Sydney, bo licząca setki studentek, ofia-

ruje mi 40 funtów rocznie, tak że zliczywszy razem wszystko, mieć będę ogromną sumę 100 funtów rocznie. Patrząc więc w przyszłość z lepszą nadzieją, a nawet wstydzę się cokolwiek że mnie niedawno przybyłej, idzie tak świetnie, podczas gdy mnóstwo Angielek, Niemek i Francuzek klepią tu biedę od wielu lat już. »Jakże Pani sobie poradziła, żeby takie osiągnąć wyniki?« pytają mnie. »Czy miałaś Pani protekcyę w szerszych kołach?« »Nie, nikogo tu nie znałam i nikt mnie nie protegował; chodziłam tylko od domu do domu z swoim towarem« — odpowiadam. »Ach, tegobym nie potrafiła« — mówi jedna z nich: »to strasznie upokarzające!« Taka jednak jest moja metoda: uczciwa, zdaje mi się, i skuteczna, jak się okazało. Żołnierz śród bitwy nie myśli o oszczędzaniu swego munduru, tylko o zwycięstwie; tak samo z walką o byt, grymasić nie pora.

Teraz przez wakacye mieszkam znów u swoich dawnych gospodarzy i bawię się doskonale mimo szczupłości mojej portmonetki. W czasie najgorętszych godzin dnia ukrywam się z książką w jednej z tych cienistych zatok, w które obfituje port Sydnejski; gdy się zrobi chłodniej, chodzę pieszo po mieście, aby je lepiej poznać. Raz na tydzień pozwalam sobie pójść na koncert organowy w ratuszu. Wstęp kosztuje 6 pensów (tj. 72 halerzy) a przyjemno-

ści ma się przynajmniej za tyleż franków, bo organy Sydnejskie sławne w świecie całym a organista to prawdziwy artysta, pan Wiegand, Belgijczyk. Muzykę w Sydneyu uprawiają głównie Francuzi, podczas gdy w Melbourne niemiecka muzyka ma przewagę. Pani Charbonnet - Kellerman, Monsieur Poussard i p. Henryk Kowalski są to gwiazdy na widnokręgu Sydnejskim.

15 list.

Sydney, 16 maja 1893 r.



czoraj przybył tu arcyksiążę Ferdynand d'Este, następca tronu Autryacki, który także odbywa podróż naokoło świata. Gazety tutejsze głoszą, że wysłano go w podróż, aby przeszkodzić mezaliansowi. Czy podróż jest dobrym środkiem przeciw miłości, nie wiem? Aleksander Dumas pisze, że odległość tem jest dla miłości, czem wiatr dla ognia: jeśli płomień jest wielki, to go wiatr rozdmucha w pożar; jeśli mały, to go zgasi zupełnie. »Cesarzowa Elżbieta« przepłynęła blisko naszego domu. Ja wywiesiłam flagę austriacką, którą sobie sporządziłam ze starej sukni czarnej i kawałka żółtej jedwabnej materyi. Spodziewam się, że jego Cesarska Wysokość oceniła to należycie.

Gazety Sydnejskie ogromnie się zajęły przybyciem arcyksięcia i kwestyą, jak ma być przyjmowany. Królowa Wiktorya przysłała rozporządzenie, aby gubernator przyjął gościa w całej paradzie, tj. wyszedł aż do portu na jego spotkanie w paradnym uniformie. Tymczasem Nowa-Południowa Walia pozbawioną jest obecnie gubernatora: lord Jersey, który się podał do dymisyi, już odjechał, następcą zaś jego kołysze się zapewne na falach oceanu Indyjskiego, ale przed dwoma tygodniami nie ujrzymy go tu, zapewne. Zastępca chwilowy, wyższy Radca Sądu Sir Fryderyk Darley, którego paradną szatą jest długa czarna toga i biała peruka, jaką nosić zwykli angielscy sędziowie, — ma się rozumieć w sali sądowej. Jak ten strój wyglądał w porcie na świeżem powietrzu, i jakie zrobił wrażenie na arcyksięciu, nieprzygotowanym zapewne na tak sądownicze przyjęcie, — można sobie wyobrazić. Pewna jestem, że więcej ludzi poszło dla ujrzenia Radcy sądowego, niż Arcyksięcia gościa. Córka Sir Fryderyka, która jest moją uczennicą, mówiła wczoraj ze łzami: »Niech Pani sobie przedstawi, jak mój Papa śmiesznie będzie wyglądał w tej nieznośnej todze i ogromnej peruce w porcie, przed zgromadzonym tłumem!« W każdym razie straszna chwila już przeszła i teraz Arcyksiążę obiaduje u Pana Radcy,

któremu może przy stole przynajmniej wolno zdjąć wspaniałą perukę.

16 list-

Melbourne, Wiktorya 14 lipca 1893 r.



d 4-ch tygodni jestem w Melbourne w gościnie u moich polskich przyjaciół, Wojnarowskich. Wiesz sama, jak po życiu pensyjnym ceni się rodzinne, więc się domyślisz, że mi tu dobrze. Przybyłam z Sydney koleją, nie tylko dlatego, że się jedzie krócej niż morzem (tylko 18 godzin), ale głównie dla zapoznania się z kolejami australskimi. Miłą było dla mnie niespodzianką dowiedzieć się, że zarówno nauczyciele, jak i uczniowie mają bilety za pół ceny na większą przestrzeń, a koleje są tu upaństwowione. Ale zapewne chcą oszczędzić na paliwie to, co tracą na pieniądzach, pociągi bowiem, mimo płaskości gruntu, posuwają się z niemożliwą powolnością. Opowiadają tu (wprawdzie anegdotka nie tutejszego pochodzenia), że jakiś poczciwy konduktor ujrzawszy babinę z ciężarem na plecach idącą po drodze, zatrzymał pociąg i zaproponował jej by wsiadła. »Dziękuję pięknie panu«, odrzekła starszuszka, »to już innym razem, bo dziś mi się śpieszy!«

Co jeszcze czyni nieprzyjemną podróż z jednej kolonii do drugiej, nawet ludziom o czystym sumieniu, to są urzędy cłowe. Czy uwierzycie, że koloniści australscy należący do jednego narodu, mówiący tym samym językiem, najczęściej zbratani i spokrewnieni z sobą, muszą cło płacić za podarki, które sobie nawzajem przywożą. Czy to nie śmieszne? Jakże zabawną byłaby podróż po Szwajcaryi, gdyby w każdym z jej 22 kantonów istniał urząd celny! Zdaje się, że toby radykalnie cudzoziemców i turystów odstraszyło.

Nie, jedności niema między współrodakami australskimi! W Sydney mieszka stary, zacny mąż stanu — Sir Henry Parkes, zwany australskim Gladstonem. Zadaniem życia jego było utworzenie federacyi australskiej; ale, zdaje się, że daleko do tego, raczej rozdzielić się woleliby mieszkańcy tutejsi. Zwłaszcza stan Wiktorya i New-South-Wales (Nowa Południowa Walia) wrogo są dla siebie usposobione, a Melbourne i Sydney to niby Montecchi i Capuletti w antypodach. Jeżeli się chce mieć przyjaciół w jednym z tych miast, nie trzeba nic dobrego mówić na drugie. Niegdyś obie te kolonie były zjednoczone: rozdzieliły się w r. 1851, i odtąd nienawidzą się. Komiczna zazdrość istnieje między nimi; i tak: Sydney dumne jest z tego, że starsze o parę dziesiątków lat,

Melbourne zaś pyszni się tem, że nigdy nie było miejscem deportacji dla zbrodniarzy. Jak tylko Sydney wzniesie budynek publiczny, — Melburn musi mieć taki sam tylko większy i wspanialszy; jednego tylko nie pojmuję, dlaczego się nie postarało o piękniejszy Dworzec, bo przecież to się najpierw w oczy rzuca, a woksal melburnski jest najbrzydszy i najmniej wygodniejszy ze wszystkich, jakie znam. Co do gmachów i ulic Melburn o wiele przewyższa Sydney, nie dorównywując mu za to co do piękności położenia. Przedewszystkiem, Melburn jest odsunięty od morza a przystań jego Port Philip odległa o kilka mil angielskich od miasta; powtóre płaszczyna tu taka, że nuży swą jednostajnością. Mówią, że tu życie przyjemniejsze, bardziej ożywione, na szerszą skalę niż w Sydney. Tego przez krótki czas zbadać nie mogłam, zauważyłam jednak, że ludzie tutejsi są nader przedsiębiorczego ducha, taki tu ruch panuje. Melburn wygląda tak, jak sobie wyobrażam miasto amerykańskie, podczas gdy Sydney na angielskie raczej patrzy. Co jest prawdziwie amerykańsko-demokratyczne w Melburn, to wspaniała Czytelnia, gdzie można czytać bezpłatnie wszelkie książki, począwszy od modernistycznej nowelki do najpoważniejszych, klasycznych dzieł. Nie podobne to do naszych bibliotek, gdzie można się abonować

na książki; nie, jest to wielka hala otwarta dzień cały, gdzie wchodzi się i wychodzi według upodobania, czyta się albo przygląda bez kontroli. Naturalnie, trzeba dać do zapisu książki, które się z sobą zabiera, ale na miejscu czytać można choćby cały dzień nie pytając nikogo o wybór książek. Zapytywałam, czy książki często giną? »Bardzo rzadko« — odpowiada mi. Przez kilka godzin codziennie grywa tam muzyka, a mimo wolnego wstępu czuwa kilku oficjalistów. Pijaka, sądzę, nie wpuszczono by tam; zresztą panuje zupełna swoboda demokratyczna. Otóż, co mi się najwięcej w Melburnie podoba, bardziej, niż jego ulice i pałace, to jego Czytelnia!

17 list.

Sydney, 16 sierpnia.



racając niedawno z Melburn, zastałam tu, ku wielkiej mojej radości, listy z Europy i twój między innymi. Gdybyś wiedziała, jaka to radość dla mnie, dzień pocztowy; pisywałabyś częściej. Raz na tydzień żyję w całej pełni i tak się cieszę, że teraz już nie tak, jak dawniej, kiedy raz tylko na miesiąc przychodziła poczta. Zarzucasz mi, że ci nie opisuję życia swego w szkole. Czyż się nie domyślasz, że,

gdyby było przyjemnem, opowiadałabym Ci o niem długo i szeroko. Ale tak nie jest, niestety; że zaś jestem tego przekonania, iż się tem łatwiej znosi nieprzyjemne rzeczy, im mniej się o nich myśli i mówi, więc milczałam. Jeśli jednak, tak jesteś ciekawa, opiszę ci moje życie codzienne.

Zaczynam od naszej przełożonej. W ogóle nie lubię mówić o osobach, o których niewiele dobrego jest do powiedzenia, ale w życiu nauczycielki przełożona gra tak wielką rolę, że niepodobna dać obrazu tego życia, nie wysunąwszy jej na pierwszy plan. Miss H. jest Angielką, a doznawszy strat materyalnych w ojczyźnie, przybyła przed dwoma laty do Australii, aby tu zrobić majątek. Wiele ma warunków na przełożoną pensyi, zwłaszcza co do powierzchowności, bo od stóp do głowy wygląda na wielką panią, a to Anglikom wielce imponuje. Młodą jest jeszcze, około 35 lat; nieładna, ale tak ma przyjemny wyraz twarzy i tak wytworne obejście, że w towarzystwie jest zachwycająca. Albo przez całe życie obracała się w najlepszem towarzystwie, albo też jest najzręczniejszą i najchytrzejszą awanturnicą, która potrafi ludziom oczy zamydlić. — Wierzę raczej w pierwsze. Gdyby była awanturnicą z zawodu, postępowałaby praktyczniej, a tak, jak jest nie sądzę, by dużo dostała uczen-

nic w przyszłości. O szkołę swą mało się troszczy: do klasy wchodzi wtedy tylko, gdy trzeba komu zrobić wymówkę; przy stole widzimy ją rzadziej jeszcze, bo śniadanie pije w łóżku, lunch za domem najczęściej, obiad zaś spożywa sama, niby Jej Królewska Mość. Jednym słowem odgrywa rolę wielkiej damy i myśli, że tym sposobem zaimponuje Australczykom. Do pewnego stopnia udało się jej to, bo mamy panienki z najpierwszych domów tutejszych; ale sędzę, że się pensya długo nie utrzyma; kierunek zbyt jest fantastyczny i kapryśny, a pożywienie bardzo liche. Pierwsze śniadanie dla uczennic i nauczycielek o 8 rano składa się z herbaty, bułki i masła; tego ostatniego nie dają wcale czasami. Np. jedna z naszych pensyonarek dostała garnek miodu, który przyniosła z sobą do jadalnej sali dla poczęstowania koleżanek; otóż nazajutrz nie przysłano już masła bo: pani Przełożona kazała powiedzieć, że panienki mają miód do chleba. O 1-ej jemy obiad bez zupy: dają nam pieczone, jarzynę i pudding jakiś; smaczne to i obfite, ale podwieczorku nie dostajemy. Pani sama pije herbatę w salonie, a jeśli się gniewa na jedną z nauczycielek, to zaprasza drugą; jeśli zaś na obie się gniewa lub na żadną, to pije sama. O szóstej dają nam wieczerzę, składającą się zawsze z herbaty, zimnego mięsa

i chleba z masłem. Mięso, to najczęściej baranina, a do tego ani sałaty, ani żadnej przyprawy, zaostarzającej apetyt. Wysiedziawszy się dzień cały przy lekcjach, nie ma się takiego zdrowego apetytu, jaki daje ruch na świeżem powietrzu, praca w polu lub ogrodzie, więc połykanie zimnej, ckliwej baraniny nie nęci i przyznam Ci się, że wstaję częstokroć głodna od stołu. W dodatku trzeba się śpieszyć z kolacją, bo mają nakrywać stół dla Pani, spożywającej cały, wykwintny obiad z owocami, deserem itp. My mamy przyjemność widzieć to przygotowane na bufecie i wachać smakowite potrawy smażone i pieczone w kuchni. O 9-ej idą panienki do łóżka, o 10-ej zaś gaz wszędzie gaszą; kto dłużej potrzebuje światła, musi się o nie sam postarać. Ja tego nie potrzebuję, wolę bowiem wcześniej się położyć, żeby nie odczuwać głodu.

Zapytasz, pewno, jak to mogą wytrzymać pensyonarki i czemu rodzice nie protestują. Otóż mieszkają zwykle daleko ztąd, przytem może należą do tej rozsądnej grupy ludzi, która nie przykładą największej wagi do jedzenia. Nie sądzę jednak, aby którakolwiek z uczennic naszych wróciła na rok przyszły.

W dodatku muszę Ci się przyznać, że od Bożego Narodzenia nie dostałam swojej pensyi i prawdopodobnie nie dostanę jej nigdy. Dla-

czego to znoszą cierpliwie, zapytasz. Czuję się zupełnie zgnębioną czasami i nie mam siły upominać się o swoją należność. Do wakacyi przyszłych wytrzymam jeszcze, wtedy zmienię miejsce, ale mam nadzieję, że wszystkie dziesięć lat mego dobrowolnego wygnania nie będą tak przykre, jak pierwszy z nich. — Czasami uczuwam bolesną tęsknotę pomimo ciężkiej pracy czas mi zabierającej i gdyby mnie kto był namówił do tej podróży, pewno czyniłabym mu czy jej gorzkie wyrzuty, ale tak, jak jest, do siebie tylko mogę mieć pretensję, więc cicho siedzę i czasem tylko z Molierem powtarzam: »Tu l'as voulu, Georges Dandin!«

18 list.

Hazelbrook, w Błękitnych górach
28 września 1893 r.



znowu rekreacye! Gotowaś pomyśleć, że my tu ciągle świętujemy, a ja dawniej się uskarżałam na zbytek świąt, ale teraz cieszę się z każdej chwili, kiedy się wymknąć można z dusznej atmosfery szkolnej.

Tym razem uciekłam w Błękitne góry i zachwycona nimi jestem. W Sydney panują straszliwe upały, chociaż to dopiero wiosna; tutaj przyjemny chłód. Nie wiem czy Sydney

mógłby istnieć bez gór Błękitnych, bo to jedyne miejsce schronienia dla nieszczęsnych Sydnejczyków od upału i moskitów. Bogatsi odpływają na lato do Tasmanii lub Nowej Zelandyi, ale dla ludzi o średnich funduszach, lub dla takich, którzy oddalać się zbyt nie mogą, góry te są idealnem letniskiem o 3 godziny drogi koleją. Góry zasiane są willami a utrzymanie, rzecz dziwna, tańsze, chociaż wszystko tu przywozić trzeba. Mnóstwo jest także pensyonatów, w których za funta lepsze się ma utrzymanie niż w Sydney za tęż cenę. Szczęśliwym przypadkiem trafiłam tu na porządną bardzo osobę, panią Diethelm, Włoszkę, zaślubioną ze Szwajcarem. Szkoda, że pan D. bawi w Queenslandzie, bo nie mogę poznać rodaka, a dotąd ani jednego tu nie spotkałam. Trudno się o nich dopytać, bo nie mamy języka osobnego: tych, którzy po francusku mówią, zaliczają Anglicy do Francuzów, a niemieckich Szwajcarów uważają za prawdziwych Niemców. Zaledwie przypadek nastrocza mi znajomość z współrodakami moimi.

Ale wracam do przedmiotu tj. do gór Błękitnych. Mówiłam dopiero co, że zachwycona niemi, a jednak w dzień przybycia mego doznałam rozczarowania. I tego samego doznałby każdy, ktoby na nie spojrział z okien wagonu. Australczycy, bowiem, mniej są przemyślni od

moich współrodaków Szwajcarów i nie umieją tak urządzać swych kolei żelaznych, aby turysta mógł, siedząc w coupé, z daleka już podziwiać piękności kraju. Tutaj widzi się, jadąc, tylko jednostajne, o niebieskawym, cieniu nie dającym liściu, lasy eukaliptusowe, mnóstwo pyłu i piasku, tu i ówdzie wioskę, składającą się z samych domków letnich, na szczycie najwyższym, przeszło 1000 metrów nad poziomem morza, prawdziwe, ale nic charakterystycznego nie przedstawiające miasto Katoombo, metropolię Gór Błękitnych. Dopiero, gdy pociąg zjedzie na drugi stok góry i zacznie się spuszczać zygzakowatym torem po karkołomnej drodze, warto wyjrzeć z okienka. Piękności gór Błękitnych, jak zręczne kokietki kryją się przed okiem zwykłego podróżnika, zdala od stacji kolei; ale nie pożałuje, kto opuściwszy swój pociąg, zwróci się w głąb wzgórza. — Wspanialszych wodospadów jak Leura, Wentworth i Katoomba nie spotyka się nawet w Szwajcaryi; nie tyle jednak imponuje masa wód, co głębia niesłychana przepaści i dzikość ogromna otoczenia. W drobne pyłki rozbita woda spada po skale paprocią i mchem obrosłej na tysiące stóp w głąb i niknie bez śladu w dziewiczym borze eukalyptusów i paproci drzewnych, gdzie nigdy stopa ludzka nie powstała; cały bowiem wąwóz ujęty w olbrzymie

stromie skały bez wyjścia. Dreszcz mię przejmuję, ile razy spojrzę w tę zieloną niezmierną głębinię i tak mię wstrząsa, że jestem chora prawie: tracę apetyt, zrywam się we śnie, bo mi się wydaje, że wpadam w przepaść, a jednak z rana znów biegnę do wodospadu, taki nieprzeparty urok rzucają na mnie piękności przyrody. Gdybym nie odjechała ztąd wkrótce, spotkałby mnie, sądzę, los tego żeglarsza, którego Loreley zwabiła w śmiertelne tonie.

Nie tylko wodospady zachwycają w tych górach; szczęśliwym byłby botanik, badający tu dziką florę. Nie spotyka się chyba nigdzie takiej obfitości najcudniejszych barw i kształtów kwiecia, bez woni jednak, jak większość australskich kwiatów. Układam zielnik z tutejszych roślin, chociaż się nie znam na botanice i wspaniały zbiór już zdobyłam, mimo napotykaných trudności. Mianowicie dla ochrony roślinności przed wandalizmem mieszkańców, rząd zabrania srogo zbierania dzikich kwiatów i podobno najmniejsza za to grzywna wynosi 3 funty szterlingi. Ja jednak, nic o tym zakazie nie wiedząc, zrywałam co dzień kwiaty, po jednym z każdego gatunku, aż dnia jednego przy wodospadzie Wentworthskim ukazał się nagle przedemną groźny człowiek bez tużurka i przemówił: »Pani się narażasz na wielką

karę, zbierając te kwiaty«. — »Jako? Przecież to dzikie kwiaty!« »Tak, ale Pani powinna wiedzieć, że tu zakazanem jest zrywanie polnych czy nie polnych kwiatów«. — »Nie, tego nie wiedziałam, i skądże wiedzieć, jeśli mi nikt o tem nie mówił«. — »Czy Pani nie umie czytać?« — rzekł szorstko ów człowiek, wskazując laską na drzewo gumowe z przybitą na niem tabliczką. »Umieć czytać a nawet pisać, ale któż mógłby wobec takiego widoku« i wskazałam ręką przepiękną dolinę przed nami: »przyglądać się starym, brzydkim drzewom gumowym!« — Surowa mina znikła z twarzy jego, odwrócił się jak gdyby dla skrycia uśmiechu, i zawołał tylko: »No, tym razem udało się pani, ale proszę, by się to nie powtarzało«. Kwiaty mi pozostawił i wyznaczyłam im poczystne miejsce w swoim albumie, ale nie mogę powiedzieć, by mnie nauczyło doświadczenie i dziś właśnie znalazłam się znów w kłopotliwym położeniu. W lesie Hazelbrook znajdują się prześliczne rośliny, które koniecznie mieć chciałam; prawda, że teraz co krok czytałam zakaz zrywania ich, ale kogoż zakaz powstrzyma na upragnionej drodze? I ja postanowiłam w chytry sposób zdobyć owe kwiaty. Dziś wybrałam się do lasu ze sporą książką i jak tylko ujrzałam nieznan mi kwiat, wkładałam go starannie między kartki. Pochodziwszy tak czas jakiś, usiadłam

na pniu i zaczęłam przeglądać swoje skarby; wtem spostrzegam z daleka jakiegoś pana, który zmierza prosto ku mnie. Spuściłam głowę na dół i zatopiona w czytaniu, udawałam, że się nie troszczę ani o rośliny ani o ludzi; jednak pan ów zbliżał się ciągle i wreszcie stanąwszy tuż przy mnie, wyrzekł uchylając kapelusza: »Przepraszam panią, że jej przerywam czytanie, ale chciałem ostrzedz panią, że takie pnie bywają ulubionem legowiskiem węzów«. Krzyknęłam i zerwawszy się z miejsca, o mało nie wpadłam w objęcia owego jegomości, który zaczął mię uspokajać, i tak idąc przez las wpadliśmy niezna- cznie w zajmującą rozmowę. Gdy jednak zapy- tał, co czytam, musiałam spojrzeć na tytuł swojej książki i przyznać się, że wcale nie dla czytania zabrałam ją do lasu. Pokazałam mu przytem zdobyte kwiaty, opowiedziałam przy- godę w Wentworth i zapytałam naiwnie o radę, w jaki sposób przenieśćbym mogła drewniane gruszki (owoc ten bowiem w Australji jest zdrewniały i jeść się nie daje) oraz Waratak, narodowy kwiat N. Południowej Walji, które są za duże, by je można w książce ukryć. Śmiejąc się odpowiedział, że nie jest biegły w kradzieży kwiatów, odwrócił rozmowę, i zaczął wypy- tywać, czy mi się tu podoba, jak długo zabawię, skąd przybywam itp. Dowiedziawszy się, że jestem Szwajcarką, mówił z uniesieniem o na-

szym ustroju politycznym i zadawał mi mnóstwo pytań, na które nie bardzo umiałam odpowiedzieć, polityka bowiem jest jedną z moich słabych stron. Odprowadziwszy mię w stronę mego pensjonatu, pożegnał się i odszedł. Właśnie podawano do stołu i wszyscy zaczęli wypytywać, gdzie się tak długo sama błąkałam. Wytłomaczyłam im, że wcale nie sama chodziłam, lecz w towarzystwie nader eleganckiego młodzieńca, który mi życie uratował. — Obsypano mię pytaniami, kto był ten pan, jak się nazywa, co on powiedział, co ja, itp. — O nazwisko tego, który mi życie uratował, nie pytałam nawet, odrzekłam im i nic więcej powiedzieć nie chciałam mimo wszelkich przesładowań, żarcików, i t. p.; patrzyłam tylko w okno milcząc z miną zagadkową, jak sfinks. — Nagle spostrzegam w furtce ogrodowej kogoś z ogromnym bukietem Warataków i drewnianych gruszczynek. »Oto jest mój wybawca!« zawołałam, a wszystkich oczy zwróciły się ku oknu. — »Ach, to właściciel Hazelbrook« powiedziała pani Diethelm. — Właściciel! a ja przed nim właśnie chwaliłam się, że tak zręcznie kwiaty z jego lasu wykradam! Cóż za głuptas ze mnie! Posłyszeliśmy, jak pan ów mówił do chłopca, który mu furtkę otwierał: »Proszę bukiet ten z ukłonem moim oddać obcej pani, która tu mieszka«. — Wybiegłam, aby mu

podziękować, ale od razu język mi skołowaciał. Wyjąkałam słów kilka z podziękowaniem, ale niczem był szkarłat Warataków wobec barwy moich policzków. — Potem zamknęłam się w swoim pokoiku z wielkiego zawstyżenia.

19 list.

Sydney, 2 listopada 1893 r.



Wydaje mi się, że całe wieki już do Ciebie nie pisałam, a tymczasem list mój przed czterema tygodniami z gór Błękitnych wysłany, jeszcze nawet rąk twych nie doszedł. Tyle zmian zajść może w ciągu jednego miesiąca! Wyobraź sobie, żem się rozstała z panną H. i to zupełnie niespodzianie. Musiałam wrócić do Sydney na kilka dni przed otwarciem jej pensyi, gdyż inne szkoły wcześniej rozpoczynały naukę, i zatrzymałam się w dawnym swoim mieszkaniu, bo tam nie przyjętoby mnie ani na godzinę przed otwarciem kursów. Nazajutrz po przyjeździe otrzymuję liścik od p. H. z wiadomością, że na następny kwartał nie będzie miała stałych pensyonarek (czemu się nie dziwię) więc i domowych nauczycielek nie potrzebuje. »Gdyby to jednak Pani dogadzało« pisze dalej z włościwą sobie wspaniałomyślnością »mogę ofia-

rować stół i stancję za trzy godziny lekcyi dziennie«.

Nie wahałam się ani chwili z odrzuceniem tej świetnej propozycyi, chociaż zawód z jej strony pokrzyżował plany moje i wyrachowania. Miałam nadzieję do końca roku zaoszczędzić sobie tyle, że będę miała za co wyjechać do innej miejscowości; ale teraz, zmuszona wydać na utrzymanie to, co mi przyniosą lekcyje godzinowe, zostanę na Boże Narodzenie równie uboga, jak byłam przeszłego roku. — Teraz niepodobna znaleźć stałego miejsca, kiedy wszyscy już się zabezpieczyli na następny kwartał, i na to właśnie rachowała panna H. sądząc, że urobi mię w swych zręcznych paluszkach, jak figurkę woskową i nagnie do swych projektów. Natychmiast po otrzymaniu jej listu poszłam na pensyę, aby się pożegnać i zabrać mój kufer; nie zastawszy jednak przełożonej, powiedziałam służącej, że przysłę za parę godzin po rzeczy. — Popołudniu zjawiła się u mnie panna H., pełna wdzięku, aby mię zabrać na przyjacielską herbatkę, jak mówiła, i wyraziła zdumienie, że jej list poczytała za pożegnanie czy odprawę. W ostatnich czasach tyle Francuzek zgłaszało się do niej, ofiarując swe usługi za utrzymanie tylko, że i mnie z czystem sumieniem podobny układ zaproponowała. Podziękowałam uprzejmie, dodając

jednak, że nie mam zamiaru bezpłatnie pracy
mej poświęcać i wolę się oddać zupełnie.
»Jeżeli tak, to już wolę zapłacić Pani tyle, ile
pierwej dawałam, aniżeli ją utracić«. — »Ach,
Pani, jeśli już raz do tego przyszło, lepiej,
żebyśmy się rozstały. Uważałam list Pani za
odprawę, i tego się trzymam«. — W tej chwili
zaszła w niej nagła zmiana: uśmiech znikł,
tupnęła nogą i zawołała: »Ja Panią zmuszę
pozostać u mnie. Trzeba było na kwartał
przedtem uprzedzić. Podam skargę do adwo-
kata«. — »Dobrze, Pani, w takim razie i ja
poszukam obrony«, co rzekłszy, wyszłam z po-
koju. Powiedziałam to spokojnie, jak mi się
zdawało, ale drżałam na całym ciele. Zdawało
mi się, że mam słuszność, ale prawo tak bywa
niesprawiedliwe! Zresztą panna H. ma tylu
przyjaciół i protektorów; wiem, że jeden z naj-
znakomitszych tu prawników jest jej kuzynem,
a ja sama, obca tutaj.

Wróciwszy do domu, padłam na krzesło
zalana łzami i umarłabym chętnie, tak się czu-
łam nieszczęśliwą. Gospodyni moja zaśmiała
się, dowiedziawszy, o co idzie, i upewniła, że
każdy adwokat powie, iż mnie nikt przymusić
nie może do powrotu. Jest ich wielu w Sydney,
więc i ja znalazłam wkrótce jednego; gdy je-
dnak spojrział na mnie z surowem obliczem
i anglo-saską wyniosłością, zgłupiałam komple-

tnie i w milczeniu podałam mu list p. H. — Czytał go długo, dłużej niż było potrzeba, dając mi czas na zebranie myśli, potem wypytawał dokładnie o szczegóły i powiedział, że nie tylko p. H. nie ma prawa mnie zmusić do powrotu, ale winna zapłacić za następny kwartał. — Do tego nie miałam pretensyi, ale wyznałam, że mi jest dłużną za trzy uprzednie. »Ach, to co innego! W takim razie wypadnie tę damę pozwać przed sąd; ale i Pani stanąć musi. Cóż Pani na to?« — »Przed sądem stawać? Za nic! Wolę stracić moje trzydzieści funtów szterlingów«. — Tak wyraźny wstręt do trybunału ubawił mego mecenasa, bo uśmiechając się wyrzekł: »Tak źle nie będzie. Napiszę do panny H. grożąc jej sądem, przed którym może będzie miała taki sam wstręt, jak Pani«.

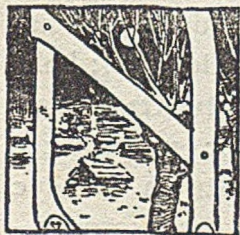
Tak się też i okazało, bo w parę dni później otrzymałam z rąk adwokata czek na 30 funtów. I tak się skończyły moje stosunki z p. H., najprzykrzejsza przeprawa, jaką w życiu miałam.

Nieraz już się zdarzyło, że to, co uważałam za klęskę, obróciło się na moją korzyść, tak i teraz. Dowiedziawszy się, że wolna, wyruszyłam znowu na poszukiwanie miejsca i trzebaż, żeby mię Opatrzność od razu pierwszego dnia skierowała do szkoły, w której z powodu

przenosin lekcyje nie były jeszcze zaczęte. W dodatku nauczycielka Francuzka zachorowała i musiała miejsce opuścić. Umówiono się ze mną natychmiast i zaraz nazajutrz objęłam posadę lepszą niż u p. H. Lepsze mam tu pożywienie i obejście, wyższe honorarium. Pani Wallis, moja nowa przełożona, Niemka, nie tak wielka dama jak panna H. zajmuje się sama wszystkim, więc też i umie lepiej cenić pracę innych. Przytem mogę zatrzymać lekcyje swoje przez dwa popołudnia tygodniowo w szkole Ashfield, przedmieściu Sydney, gdzie uczyłam przeszłego roku. Słowem, zrobiłam krok naprzód.

20 list.

Lake-Cowal. w N. Południowej Walji,
24 stycznia 1894.



ie myśl, żebym znów zmieniła miejsce; nie! mam rekreacye i jestem na jakie 400 mil angielskich w głębi kraju. Jak się tu dostałam, spytasz. — Otóż zabrała mię do siebie jedna z moich uczennic; inaczej nie dostałabym się, bo podróż wcale nie łatwa dla turystów, jak się przekonasz.

Dwie moje szkoły nie zamykały kursu równocześnie a że przyjaciółeczka moja Lily Allen nie chciała tracić całego tygodnia swoich wakacyj,

więc pojechała przede mną. Wyruszyłam tedy sama w nieznaną drogę i tym razem znowu wyszłam cało, czemu się jednak dziwić będziesz, gdy się dowiesz o moich przygodach. Pierwsze 300 mil ang. jechało się koleją nudną, jak zwykle w Australji, gdzie rozrzucone po równinie miasteczka podobne są do siebie, jak ziarna grochu. Każde z nich ma długą bardzo i szeroką ulicę nazwaną zawsze »Wielką« (Mainstreet). Przy niej stoją wszystkie sklepy, gospody, poczta z telegrafem, ratusz i biblioteka, w której się odbywają przedstawienia amatorskie oraz koncerty, a którą Australczycy z właściwą sobie skromnością nazywają Akademią Sztuk Pięknych albo Halą Sztuki. — Wszystko to powtarzające się sto razy nie było ciekawe, upewniam cię. Zato ostatnie mil 60 drogi naszej sprawiało wielkie wrażenie, nie tyle na nas jadących, co na mieszkańcach okolicznych; kolej bowiem wczoraj dopiero została otwarta i ludzie zbiegali się o kilka mil, żeby się przypatrzeć pociągowi i szczęśliwemu podróżnym. Stacje były przepelnione, jak w dzień świąteczny, — po większej części mężczyźni wszyscy do siebie podobni tak jak miasteczka australskie, więc wysokie, chude, opalone indywidua w długich butach, kolorowej koszuli i w elkim, miękkim pilśniowym kapeluszu. Tu i ówdzie zjawiała się chuda, młoda, zwiędła kobiecina, im dalej jednak

posuwaliśmy się w głąb kraju, tem mniej spotykało się kobiet, a wreszcie tylko tłum mężczyzn, którzy mnie, jako jedynemu egzemplarzowi tego rodzaju, ciekawie się przyglądali, ku mojej konfuzji, ma się rozumieć. Zaledwie jednak pociąg stanął, zbliżył się do mnie młody, elegancko ubrany młodzieniec i przedstawił się jako brat Lily. Siostra, niezdrowa od powrotu swego, nie mogła przybyć na moje spotkanie, on więc z kuzynem ofiarują mi się za towarzyszy. Mówiąc to, wprowadził mnie na peron, tak zatłoczony ludźmi, że zadawałam sobie pytanie, w jaki sposób zdołam się przepchać przez te tłumy. Nagle: »Miejsce zrobić dla damy!« ktoś zawołał i tłum się rozdzielił, jakby za dotknięciem różdżki czarnoksiężkiej. Naturalnie spodziewałam się zobaczyć po drugiej stronie elegancki powozik, bryczkę lub faeton, ale jakże się zdziwiłam widząc tylko wóz ogromny w sześć wołów zaprzężony a zresztą tylko mężczyzn i konie, konie i mężczyzn. Towarzysz mój skierował się ku gromadce, składającej się z młodzieńca jednego i trzech pięknych wierzchowców. Pojęłam teraz o co idzie! Będę musiała całą tę przestrzeń kilkudziesięciu milową aż do Lake Cowal przebyć konno, ja, która nigdy w życiu na koniu nie siedziałam! Australki już od dzieciństwa dosiadają konia; nikomu więc nie przyszło na myśl, żeby młoda,

zdrowa kobieta na koniu siedzieć nie umiała. Co tu robić? Cóżby poczęli moi dwaj towarzysze, z których starszy nie miał nawet lat trzydziestu, wobec rozkapryszonej, upartej kobiety. — Stał wprowadzić i wóz o sześciu wołach, naładowany pakami, wśród których piętrzył się mój kufer, ale, doprawdy śmiesznie byłoby okazać się taką tchórzliwą i niezdarną wobec tylu mężczyzn. Nie, to być nie może, aby Szwajcarka zasłużyła sobie na pośmiewisko u tych australskich panów. Trzeba wsiąść na konia i koniec, powiedziałam sobie; może nie koniecznie trzeba było brać lekcye konnej jazdy, żeby się na siodle utrzymać; zresztą siła woli pewno i tu dopomoże. — Zebrałam się jak mogłam i postanowiłam chcieć. — Nigdy w życiu jeszcze tak nie natężyłam siły woli, ale, nie mówiąc ani słowa, dałam się wsadzić na siodło. Niewielki mój ciężar i wprawa w gimnastyce przydały mi się i sędzę, że nie raziła ich zbytnią niezgrabność moja. Panowie wskoczyli na swoje wierzchowce i ruszyliśmy — nie galopa, wyznaję, ale wcale nie źle jakoś. Panowie stosowali się do mnie, a ja oznajmiłam im, że chciałabym miasteczku się przyjrzeć nieco. — Wkrótce zatrzymaliśmy się w hotelu na przekąskę a popołudniu było tak gorąco — 35⁰ C. — że musieliśmy powoli jechać. Po kilku godzinach przyzwyczałam się

trzymać na siodle i zapoznałam się z moim wierzchowcem. Czego to człowiek nie potrafi, jeśli chce, a raczej musi. Nieraz sobie później zadawałam pytanie, pogo się tak długo uczą konnej jazdy, kiedy to nie jest takie trudne. Nie jestem elegancką amazonką, ale co do wytrzymałości, mogłabym pójść o lepsze z każdą.

Droga nasza nie była piękna: cały dzień jechaliśmy przez lasy bez cienia, przez spalone skwarem pola. — Drogi tu niema wcale — i w około nic widać nie było, prócz tysięcy owiec. Nawet kangury i kazoary, mieszkańcy tych równin, gdzieś się dnia tego pochowały. Nie można sobie wyobrazić większej jednoznaczności: nad nami niebo bez chmurki, u stóp trawa żółkła, słońcem spalona; żadnej rozmaitości, żadnego wzgórze, na moje szczęście zresztą. Raz tylko zobaczyłam w dali coś, jakby jezioro odbijające w sobie zielone drzewa. Cudny to był obraz wśród jałowej pustyni i wykrzyknęłam radośnie: »Ach, panowie moi, wszak to sadyba jakaś, będzie można wypocząć!« »Nie, Miss Bögli« odpowiedzieli obaj razem — »to miraż!«... Boże, cóż za rozczarowanie, o ileż dłuższe, gorętsze, nudniejsze, wydawały się następne godziny!

Około godziny 9-tej dopiero dojrzeliśmy światło przed sobą w dali. Panowie zapytali, czy się zgodzę przenocować w kawalerskim

domu. Wszystko mi jedno: »Przyjąłabym nocleg choćby w murzyńskim szałasie«, odrzekłam.

Nie o wiele lepszym okazał się ów domek, ale gospodarze nasi, dwaj inteligentni Anglicy robili, co się dało, a nawet co się nie dało, aby nas należycie przyjąć i ugościć. Dostałam nawet ciepłą kąpiel w tej bezwodnej okolicy! Gdybym była królową Wiktorją, nie miałabym lepszego przyjęcia. W domku była tylko jedna izba i kuchenka; izbę więc mnie odstąpiono, a czterej panowie poszli na noc do jakiejś szopy. Służących nie było, ma się rozumieć, a jednak znalazłam rankiem buciki moje oczyszczone, suknię także, przyniesiono mi śniadanie do pokoju, to jest ktoś przez drzwi podał filiżankę kawy. Nawet dla mnie specjalnie zrobiono omlet z jednego jajka kokosowego, tak obfity, że na trzy śniadania by wystarczył. Przed odjazdem musieliśmy jeszcze obiad spożyć: była zupa z ogona kangura uważana za wielki przysmak, podczas gdy mięso z kangura suche i włókniste nie nadaje się do jedzenia. Nie powiem, żeby mi te oryginalne potrawy do gustu przypadły, ale że nie zbywało na innych, wstałam od stołu zupełnie nasycona.

Wyobraź sobie, że ci dwaj młodzi ludzie, dobrze wychowani Anglicy ze średniej klasy mieszkają tu już trzy lata nie wyjeżdżając da-

lej, niż do sąsiedniego miasteczka i nie widząc żadnej białej kobiety. Nabyli oni sobie »Selekcję«, czyli 2500 juchartów w ziemi od rządu za niską cenę po 1 szylingu, za juchartę; ale każdy Selektor musi się zobowiązać, że przez lat pięć nie wydali się nawet na trzy dni ze swej posiadłości, inaczej rząd odebrałby mu nadziei. Nie wolno także posiadać dwóch selekcyi od razu; dopiero po pięciu latach dokupić sobie można ziemi. Człowiek wytrwały i cierpliwy, może w ten sposób dojść stopniowo do majątku. Rzadko się zdarzają nieżonaci selektorowie, Anglik bowiem lubi życie rodzinne i byle nie był sam, zgodzi się mieszkać nawet w Saharze, dla zrobienia majątku, ma się rozumieć. Moi młodzi przyjaciele, jak tylko zarobią pewien kapitałik, pobudują sobie lepsze domki, dokupią ziemi i obejrzą się za żonami. Może sobie z Anglii sprowadzą jakieś dawne znajome, a może, raczej, udadzą się do Biura Małżeństw w Sydney, co się tu często praktykuje. I niema się czemu dziwić: jakżeby inaczej wynalazł sobie żonę człowiek zapracowany, zmuszony przez lata całe żyć w pustyni nie oddalając się na dłużej?



d kilku dni jestem tu w odwiedziny razem z Lilą Allen. Lake Cowal i Billabong to sąsiedztwo, tylko 30 mil ang. (10 godzin drogi) od siebie oddalone; drobnostka dla tutejszych mieszkańców. Różnicy prawie żadnej niema co do okolicy i sposobu życia, tylko że tu spokojniej niż w domu; u Allenów bowiem pełno wesołych i ruchliwych młodych ludzi. Codziennie urządzamy wycieczki i polowania konno, a wieczorami zabawiamy się muzyką, tańcem, rozmową towarzyską, zupełnie jak gdybyśmy mieszkali w wielkiem mieście, nie zaś o 400 mil od świata i cywilizacyi. Co wieczór ubieramy się elegancko — panie i panowie zarówno. Ci ostatni nie wkładają wprawdzie fraka ani białych rękawiczek, ale myją się (mimo braku wody), zmieniają ubranie i obuwie. My znowu ubieramy się w jasne suknie, jak gdybyśmy szły z wizytą. To mi się właśnie podobna w angielskiem życiu rodzinnem. Oni się nigdy nie zaniedbują w domu; nie są tego zdania, żeby w kółku rodzinnem można się obejść bez przyzwoitego ubrania i dobrych manier. Nieraz wśród obcych Anglik wydaje się szorstkim i niedelikatnym, ale gdy próg domu

swego przestąpi, staje się gentlemanem. Kobiety także nie stroją się zbyt na ulicę lub na wizyty, ale w domu zawsze są starannie, czysto, nawet elegancko ubrane. Nawet żona robotnika wkłada na wieczór świeżą, najczęściej jasną bluzkę i porządnie stół nakrywa na przyjęcie męża. Dlatego to Anglik ceni swój »home« angielski, gdziekolwiek by go los rzucił.

Nie o tem jednak miałam ci mówić, lecz o australskich Squatterach. Skwatterzy — to więksi właściciele; mniejsi — to Selektorzy. Pan Allen jest Selektorem, ale z czasem zamieni się pewno w Skwattera. Wyraz ten w Ameryce ma inne i niezbyt pochlebne znaczenie. Tam Skwatterem nazywają człowieka, który gdziekolwiek osiedlił się bezprawnie, bez niczyjego pozwolenia. W Australji przeciwnie: Squatterowie — to miejscowa arystokracja, a niektórzy z nich, to prawdziwi Krezusi. Pewien znajomy Allenów, który tu przybył przed laty ubogim chłopakiem, teraz posiada ziemi więcej, niż niejeden królik europejski; zowią go też »królem squatterów«.

Właściciel Billabongu, to także nie biedny człowiek: posiada milion juchartów ziemi, podzielonej na dziesięć folwarków czyli »stacyi«, jak tu nazywają; z tych najmniejsza obejmuje 10.000, a największa 290.000 juchartów. Bil-

labong należy do mniejszych, chociaż jest główną rezydencją rodziny. Stacje najczęściej bywają połączone telefonem. Dziś nawet zabrałam się pytając o godzinę telefonem rozmaitych rządców stacyi. Pewno niejeden z nich zaklął siarczyście, jeśli go z drzemki obudziła, albo oderwała od gazety.

Zapytasz pewno, jak liczną bywa służba i czeladź u takich właścicieli dóbr. Otóż jest tego bardzo niewiele. Gospodarz hodujący 200.000 owiec i 3 do 4 tysięcy bydła obchodzi się kilku ludźmi, bo ziemi nie uprawia, tylko ją używa na pastwiska. Bydło żyje rok cały na dworze prawie bez nadzoru, ale każda posiadłość mniejsza czy większa musi być ogrodzona płotem, tak że zwierzęta uciec nie mogą, chyba, jeśli się przypadkiem otworzą wrota lub zrobi się dziura w zagrodzeniu. Dlatego też co parę dni objeżdżają pastwiska stróże polowi. Zato w czasie strzyżenia owiec życie wre na folwarkach tutejszych, bo to prawdziwie złote runo dla gospodarza australskiego. Operację tę spełniają zawodowi postrzygacze, którzy bandami całemi po kraju chodzą i w krótkim czasie dużo pieniędzy zarabiają, ale równie szybko i wydają je podobno. W czasie postrzyżyn rachują owce, ale nie na sztuki, tylko po ostrzyżeniu wpędza się je do ogrodzonego koszar, gdzie ciasno napchanych mieści się

około tysiąca owiec. Gdy się taki obręb napełni dokładnie, wypuszczają owce drugą stroną i znów napełniają inne, licząc tyle tysięcy, ile trzód się przepchało przez koszar. Że tam parę tuzinów mniej lub więcej w jakiej tysiącce, na to się nie uważa i żaden właściciel nie wie dokładnie, ile ich posiada; owce bowiem, żyją sobie, giną i na świat przychodzą pod gołym niebem, zdala od swego pana. Czasem tylko, w porze nadzwyczajnej suszy, gdy giną tysiącami, spostrzega się ich ubywanie.

Jednak życie squattera nie jest wolne od trosk: niejednego ma on wroga do zwalczania, a najgorszym, może, to brak wody. Owce, wprawdzie, hodują się najlepiej na suchym gruncie i pasą się na ostrej, suchej tutejszej »słonej trawie« (»salt bush«), ale czasem już bywa tej suszy zanadto, tak że skwatter w krótkim czasie utracą cały swój majątek, wszystkie trzody.

Drugim prawie tak samo niebezpiecznym wrogiem tutejszego hodowcy jest królik. Żarłoczne te gryzaczki wpadają czasem tysiącami i setkami tysięcy do pastwisk i wyjadają owcom z przed nosa wszystką paszę. I te milutki zwierzątka, któremi w dzieciństwie tak się lubiłam bawić, tu uważane są za niebezpieczniejsze od dzikiego zwierza. Człowiek, który przed stu laty niespełna przyniósł tu pierwszą parę

królików, nie spodziewał się pewno, że podarek jego tak będzie przeklinany kiedyś.

Dziwno mi jest nie widzieć żadnego uprawnego pola, nawet kartofli niema. Mąkę, ziemniaki i inne spożywcze materiały sprowadzają mieszkańcy tutejsi z Sydney. »Czemu Pan nie sadi tyle przynajmniej, ile trzeba na użytek domowy?« — spytałam mego gospodarza. »Nie mogę, bo nie mam ani wody, ani robotnika«, — odrzekł. I rzeczywiście robotnik australski woli żebrać w mieście, niż pracować na wsi. »Zresztą« — ciągnął dalej — »gospodarstwo nie opłaca się tu wcale: robotnik kosztuje 25 franków (1 fn. st.) tygodniowo, prócz utrzymania zbiory zawodzą najczęściej z braku deszczu. Taniej więc i wygodniej żywność z Sydney sprowadzać«. Czyż to nie jest zabawny kraj, gdzie zboże z miasta na wieś sprowadzają?

Próbował też p. Allen sadzić drzewa owocowe, ale i to się nie udało: drzewa rosły wprawdzie i bujnie się rozwijały, ale owocu niezmiernie mało dawały; i to zaś, co dojrzało, pożerały lisy latające. Jest to rodzaj nietoperza, wielkości kota, objadający nocami drzewa owocowe; zresztą szkód nie robi prawie. Wogóle Australja nie ma zwierząt niebezpiecznych prócz węży, które tak są towarzysko usposobione, że nieproszone wsuwają się do łóżek, w sofy lub koszyczki do roboty;

a łatwo im to przychodzi, bo domy parterowe stoją zwykle z otwartymi drzwiami z powodu gorąca. Toteż przed pójściem spać oglądamy wszystkie kąty. Ja dotąd nie znalazłam węża w swoim pokoju, ale niedawno ludzie zabili ich ośm jednego dnia na podwórzu. Ale bo też mieliśmy pogodę, jak dla węży przez tę parę tygodni: 45° — 48° C. w cieniu, a w koło nas pożar stepu. Zdarza się to często podczas suszy: zapalka niedopalona, kawałeczek szkła, odbijający promienie słoneczne wystarcza do wzniesienia pożaru na ogromnych przestrzeniach. Wszystko, co żyje, a posiada nogi i ręce, pędzi na gaszenie ognia. Wody tu brakuje, jak wiadomo, więc się chwyta zielone gałęzie — także nie łatwa rzecz, i tłucze niemi po trawie, żeby płomień stłumić.

Zapytasz, pewno, czy tu wcale wody niema, chociaż nazwa Lake-Cowal zdaje się wskazywać na jezioro. I owszem jest niby jezioro i to wielkie dosyć, ale wody w niem niema, co się zwykle dzieje z australskimi jeziorami: wilgotne jest i bagniste na tyle, by służyć za gniazdo wężów, ale do picia dla ludzi i bydła ani kropli wycisnąć się nie da. Skąd biorą wodę? Dla bydła znajdują się zbiorniki na pastwiskach tu i ówdzie; przy domu zwykle studnia, ale w czasie skwarów tak skąpo tam wody, że

i czerpać trudno. Co będzie jeśli deszcz nie spadnie wkrótce, nie wiem.

Tak, wody przedewszystkiem potrzebuje Australja. Wyobraź sobie, że łąd ten, prawie tak obszerny, jak Stany Zjednoczone Półn. Ameryki, ma tylko dwie większe rzeki — Murray i Darling, a i tym się zdarza wyschnąć prawie do dna; jeziora zaś, które widzisz poznaczone na mapie Australji, są słone po większej części. Pod ziemią znajdują się wody, i całe jeziora podziemne odkryto w ostatnich czasach, ale dostać się do nich trudno: wiercić trzeba głęboko, co jest rzeczą zbyt kosztowną dla ludzi prywatnych. Rząd powinienby się tem zająć, ale na czele tu stoją »Labor members«. Zastępcy robotników, którzy, zdaje mi się raczej wstrzymują niż posuwają rozwój ekonomiczny kraju; zamknięci w ciasnym egoizmie, starają się jak najwięcej dla siebie otrzymać, nie wiele dając w zamian. Oni to wzbraniają przywozu kolorowych robotników, tak że przemysł i rolnictwo, wcale rozwijać się nie może. Australczycy chlubią się, że są narodem demokratycznym per excellentiam, ale mnie się zdaje, że w robotniku wyhodowali sobie tyrana bardziej despotycznego niż nawet cesarz rosyjski.

Dość już ekonomii politycznej! Wróćmy do Lake Cowal i wierz mi, że mimo upałów, jest to zdrowa okolica. Wprawdzie wszyscy tu są

chudzi i czarni; kto dba o krągłość kształtów i płęć delikatną, niech tu nie przyjeżdża; ja się zrobiłam tak szczupła i śniada, że okrywszy się nieco łachmanami, mogłabym uchodzić za jedną z adeńskich żebraczek. Co poniedziałek ważę się i regularnie wypada o jeden funt mniej. Mimo to, zdrowa jestem, jak rydz: jeżdżę konno godzinami w skwar i nawet nie mam najłżejszego bolu głowy. — Z innymi toż samo się dzieje: wszyscy są wysuszeni, zczerniali, zdrowi i żyją bez końca. Prawda, że w okolicy nigdzie niema lekarza; może i to się do zdrowotności przyczynia. — Około 35 mil ang. od nas jest małe miasteczko z kościołem, do którego schodzą się ludzie o jakie mil pięćdziesiąt. Przed kilku laty ogrodzono tam cmentarz, ale ten był ciągle próżny, tak, że w końcu jakiś obywatel, nie lubiący widocznie marnowania miejsca, odebrał sobie życie i pierwszy zajął tam lokal.

22 list.

Sydney, 7 marca 1894 r.



Ługi twój, szczegółowy list tak mię ucieszył, że natychmiast siadam nań odpowiadać. Nie sądz, żeby mnie nie obchodziły małe nowinki i ploteczki z życia powszedniego. Publiczne sprawy i wypadki znamy przecież z gazet;

dzięki telegrafom łączącym nas z Europą wiemy co powiedział cesarz niemiecki, kogo w Rosyi powiesili, albo jak się poczubiono w austryackim lub francuskim parlamencie. Tego, jednak, co mnie specjalnie zajmuje, co porabiają i myślą moi znajomi europejscy, gazety nie piszą.

Mówisz mi, że pan G. polecił ci zapytać, czy dentystom tu się dobrze powodzi. — Otóż Australczycy mają wogóle złe zęby, może z przyczyny wody tutejszej, a że nie lubią, jak u nas to bywa, chodzić z dziurami w zębach, muszą często nawiedzać dentystów. Jeżeli każdy każe tak sobie płacić, jak mój, który przeszłego tygodnia za plombowanie jednego zęba wziął odemnie 22 szylingi t. j. 22 marki, — musi im się dobrze powodzić. Są tu ulice »lekarskie«, gdzie w każdym domu jest po kilka gabinetów lekarskich i dentystycznych. Kto ma szczęście, a raczej, kto zręczny i wytrwały, ten sobie zdobywa stanowisko; sądzę jednak, że cudzoziemcowi nie łatwo byłoby zdobyć sobie więtość, bo tu jedynie cenią amerykańskich dentystów. Tutejsi nawet jadą choćby na krótko do amerykańskiego uniwersytetu, żeby zdobyć tytuł »amerykańskiego dentysty«.

Czy utrzymanie rodziny drogo kosztuje? zapytujecie. Nie bardzo. Fałszem jest obecnie, to co w Europie opowiadają, że za parę bu-cików sto franków zapłacić trzeba. Przeciwnie,

można się tu ubrać za tę samą cenę co i w Europie. Dziwi mię to nawet, bo przecież wszystkie materyały do ubrania i odzież gotową przywożą z Europy.

Co do utrzymania, ograniczam się na tem, co mi opowiadają moje zamężne przyjaciółki, sama domu nie prowadząc. Najkosztowniejsze są tu sługi: kucharka dostaje 25 franków tygodniowo, a pokojówka 15—20. Przytem pani domu musi najgrubsze roboty sama wykonywać. Np. do czyszczenia obuwia nie poniżyłaby się żadna ze służebnych dam irlandzkich (sługi to przeważnie Irlandki); jeśli chcesz mieć czyste buciki, musisz je sama wychędożyć, albo się udać do pucybuta na rogu ulicy. — Oprócz służby, utrzymanie domu nie jest zbyt drogie, a ułatwione przez to, że wszystko do domu przynoszą. Mleczarz, piekarz, rzeźnik, jarzyniarka co rana zjawiają się w kuchni z wiktuałami obstalowanemi dzień przedtem, lub zamówionemi przez telefon. Mięso jest tak tanie, że nawet biedni ludzie wyrzucają wygotowane z zupy psom, wiedząc, że i żebrak niechętnie ten kąsek przyjmie. Jarzyny tanie; owoców zaś tropikalnych lub ze stref umiarkowanych obfitość przez rok cały. Kupowałam często pomarańcze tuzin po 30 centymów a najwspanialsze winogrona po 10 centymów funt. — Obfitość jarzyn zawdzięczamy Chińczykom, biali bowiem,

nie raczą się trudzić dla tak małego zarobku, jaki daje hodowanie warzyw. — Australczycy robią, co mogą, aby synom Niebieskiego Państwa utrudnić wstęp do swego kraju: każdy Chińczyk za wstęp do Australji musi zapłacić 100 funtów szterlingów (tj. 2500 franków) a gdy się osiedli, jest przedmiotem pośmiewiska, dokuczania i prześladowań ze strony ludności miejscowej białej. Robotnik australski czeka, aby mu pieczone gołąbki zlatywały do gęby, leżąc i chrapiąc na trawie w Hyde-Parku, — nienawidzi więc każdego, kto ciężką pracą na chleb zarabia.

Co się tyczy czynszów mieszkaniowych: jedna z moich znajomych np. płaci za domek w porządnej dzielnicy miasta, niedaleko od centrum, funt szterlingów tygodniowo, czyli 1300 franków rocznie. Domek dwupiętrowy składa się z dwóch pokoi, kuchni i pralni na dole, a trzech pokoi z łazienką na górze; przytem dwa ogródki, gaz i wodociąg. Ma się rozumieć cena zależy od tego, w jakiej dzielnicy jest mieszkanie, np. mały domek w eleganckiej części miasta, jak Darling-point, Saint. Germain Sydneyjskie, kosztuje znacznie więcej niż duży dom w skromniejszej dzielnicy. Mieszkań takich, jak nasze, gdzie wiele rodzin w jednym domu się mieści, nie uznają Anglicy tutejsi; robotnik nawet ma swój osobny domeczek. John Bull

nie lubi się ścieśniać i nie znosi, by mu sąsiad na pięty następował.

23 list.

Sydney, 20 lipca 1894 r.



Pytasz, czy nie mogłabym Ci dać krótkiego rysu historii australskiej. Czemuż nie, bardzo chętnie. Cieszy mię, że dzięki memu pobytowi, ktośkolwiek się zainteresuje tą wielką, a tak mało Europie znaną ziemią. Jużto my w Europie nie wiele wiemy o dalekich krajach. Pamiętam, że jakiś student krakowskiego uniwersytetu na wiadomość, że ja wyjeżdżam do Sydney, zapytał naiwnie, gdzie ten Sydney się znajduje? A czyż on jeden między wykształconymi Europejczykami słabym jest w geografii australskiej. Anglicy nawet nie bardzo się troszczą w nauce szkolnej o swoje antypody, jak się częstokroć z adresów na listach okazuje, np. »Melbourne w Tasmanji« albo »Brisbane: Nowa Zelandja«. Jedna z przyjaciółek moich, Angielka pisała niedawno: »Jak to dobrze, że masz znajomych w Melbourne; pewno robisz tam parodniowe wycieczki albo przynajmniej na niedzielę sobie wyjeżdżasz«. — Jakżeby się zdziwiła, dowiadując się, że podróż z Sydney do M. trwa dwa lub trzy dni statkiem a 18 godzin koleją i kosztuje 100—200 franków!

Angielski żeglarz Cook uważany jest zazwyczaj za odkrywcę Australji, ale to nieśluszenie, bo w XVI już wieku Hiszpanie, Portugalczycy i Holendrzy znali południową część lądu tutejszego, którzy pierwsi nazywali »Terra Australis« a Holendrzy »Nową Holandją«. Inni żeglarze wylądowywali zazwyczaj od strony zachodniej lub północno-zachodniej, gdzie tylko jałowe skały i puste równiny znajdowali. Dampier, który w 1688 przybił do zachodniego wybrzeża i sądził, że jest pierwszym odkrywcą lądu tego, napisał w swym dzienniku: »Jedynę zadowolenie, jakie odniosłem z mego odkrycia, jest przeświadczenie, że znalazłem najbrzydszy i najpuściejszy kawałek na kuli ziemskiej«. Jakże innych wrażeń doznać musiał Cook, wylądowując w 1770 r. niedaleko stąd, w Botany-Bay. Musiał się cieszyć z odkrycia jednego z najładniejszych krajów w świecie; zatknął też natychmiast flagę angielską i, nie powiedziawszy ani słówka krajowcom, wziął w posiadanie cały ten ląd w imię jego Królewskiej Mości, króla Angielskiego. Stąd też Cook nazwany bywa odkrywcą Australji.

Anglja jednak całemi latami nie troszczyła się wcale o swą nową posiadłość na drugim krańcu świata; dopiero w 1783 r. utraciwszy kolonie swoje amerykańskie, zwróciła uwagę na Australję, potrzebowała, bowiem nowego świata,

do którego posyłaćby mogła nadmiar ludności z ciasnych wysp swoich. Ale wówczas jeszcze Australia nie nęciła niczem ani awanturnika, bo nie odkryto tam złota; ani kupca, bo nie znano żadnego artykułu handlu stamtąd. Wprawdzie bujna roślinność pokrywała południowe i wschodnie wybrzeża, ale nie było tam ani korzeni drogocennych, jak w Indyjskich wyspach, ani zboża, ani owoców. Nawet handlu niewolnikami nie warto było próbować, bo murzyn australijski do pracy się nie nadawał, a żywiąc się mięsem jedynie i to ludzkiem najchętniej, nie łatwo dawał do siebie przystąpić. Utrzymują oni wprawdzie, że mięso ich własne lepsze od mięsa z białego człowieka, jednak nie gardzili kawałkiem pieczeni z Europejczyka i nawet teraz przyjmują chętnie ten przysmak, gdy się sposobność nadarzy. Nie trzeba się więc dziwić, że panowie Anglicy woleli w domu się nudzić, niż wyruszać do tak mało ponętnych antypodów.

Nagle powziął jeden z ówczesnych ministrów, wicehrabia Sydney nieszczęśliwą dla Australji myśl założenia tu kolonji karnej i w r. 1788 wyprawiono pierwszy transport z kilkuset zbrodniarzy i zastępu oficerów, oraz urzędników straży. Tegoż roku założono miasto Sydney. Bacząc na to, że wszelką żywność trzeba było z Europy sprowadzać, podróż zaś trwała wów-

czas ośm miesięcy, pojmiesz łatwo, że biedni wychodźcy nie opływali w rozkosze. Stopniowo przybywali tu dobrowolni osadnicy, którzy dostawali wolny przejazd i wielkie obszary ziemi za darmo. Do obrabiania gruntu mogli sobie tanio wynajmować więźniów, tak że im nie trudno było się wzbogacić; potomkowie ich przeważnie są australskimi królami Squatterów obecnie.

Lecz i więźniowie dostawali często kawały ziemi, gdy już karę swą odsiedzieli, tak że nie wszyscy bogacze teraz szczyką się swoim rodem. Ale znów przesadą jest, co twierdzą w Europie, zwłaszcza Anglicy, że każdy urodzony w N. Połud. Walji jest potomkiem zbrodniarza lub przestępcy. Gdyby nawet tak było — a nie jest — pamiętać trzeba, że w Anglii dawniej srodze karano najmniejszy występki: wystarczało ukraść bochenek chleba albo oberwać gruszki sąsiada, żeby się dostać do karnych kolonji w Sydney lub na Van Diemen. — Opowiadano mi o dziadku jednej z rodzin tutejszych, że wziął ukradkiem na zabawie służby dworskiej chusteczkę do nosa swej ukochanej i zaskarżony o ten występki przez rywala, został zasądzony na deportację; potem odbywszy lata kary ożenił się i w końcu został milionerem. Czy więc obecnie mało Europejczyków z towarzystwa używającego chustek do nosa, wszedł-

szy w głąb sumienia swego, przekonałoby się, że już kilkakrotnie zasłużyli na karne kolonie?

Ma się rozumieć, że nie wszystkie przestępstwa były tak niewinnego gatunku, ale też i prawdziwi zbrodniarze, skazani na dożywotnie więzienie, nigdy zeń nie wyszli, więc rodziny nie zostawili. Od dawna już N. P. Walja przestała być kolonią karną, a Sydney nie jest gorszem od innych wielkich miast Europejskich; najwięksi łotrzy zaś tutejsi rekrutują się z pomiędzy przybyszów.

W roku 1840 odkrył tu po raz pierwszy złoto Polak Strzelecki i oznajmił to gubernatorowi, który go prosił, aby o tem zamilczał, bojąc się buntu więźniów. Dopiero w 1851 r. rozeszła się wiadomość o złocie w Australji i wtedy zaczyna się romantyczna historia kraju tego. Ulice miasta opróżniły się nagle: gubernator i wyżsi urzędnicy musieli sami sobie służyć, bo lokaje, kucharze, stangreci uciekli do kopalni złota, skąd niejednokrotnie jako milionerowie wracali. Ludzie biegali, jak szaleni, wszystko się przewróciło do góry nogami, ale czas ten już minął i dziś są wprawdzie kopalnie złota, tylko bez pracy ciężkiej dostać się do nich nie można.

Każda z kolonji australskich rządzi się obecnie sama, niezawisłe od wielkiej metropolii,

choć Anglja *) przysyła od siebie gubernatorów. Właściwie rządy są w rękach ludu a gubernator służy ku ozdobie, jak przedmiot zbytku: zadaniem jego jest wydawać bale i rauty, urządzać przyjęcia oficjalne dla wielkich figur, odwiedzających nasze antypody i sprowadzać oficerów angielskich na mężów dla tutejszych dziedziczek.

24 list

Sydney, 12 Października 1894 r.



Jeżeli ci powiem, że nadmiar pracy przeszkodził mi pisać, weźmiesz to za banalną wymówkę, a jednak tak jest w istocie. Nie masz pojęcia ile ma do czynienia nauczycielka na prywatnej pensji. Czas prędko ucieka, chociaż o szkolnej jednostajności mowy tu być nie może. Pani Wallis jest najbardziej towarzyską przełożoną, jaką kiedykolwiek spotkałam: co środy odbywa się tu wieczorek, na który i my nauczycielki jesteśmy zaproszone, a bawimy się wybornie, bo p. Wallis umie zebrać ludzi wykształconych i zajmujących. Ale jaką minę zrobisz, gdy się dowiesz, że przełożona nasza wydaje także bale i rauty dla

*) Ważne zmiany zasłyły później, kiedy wszystkie kolonie australskie zawarły związek na wzór Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn.

swoich pensyonarek i to wcale nie baliki dziecinne, lecz takie, na które się zgromadza złota młodzież Sydnejska. W Europie wywołałoby to straszne oburzenie, ale tutaj bale pensyonarskie są na porządku dziennym i panienska australaska zupełnie inaczej bywa wychowywaną, niż Europejka. Daleko wcześniej występuje, jako niezależna osóbką; jako podlotek już chodzi do teatru lub na koncert ze znajomymi paniami a w towarzystwie ma nader swobodne obejście. Niedawno wydała Miss Wallis bal na cześć hr. Moltke i jego oficerów, których statek zatrzymał się w naszym porcie. Naza jutrz pyta mię jedna z naszych najmilszych dziewczynek: »Miss Boegli, czy Pani była kiedy w Niemczech?« »O tak, nieraz nawet; dlaczego?«

»Czy Pani nie uważa, że niemieccy panowie są bardzo głupi?«

»Wcale nie; nawet wasz Carlyle nazywa Niemców narodem myślicieli. Ale czemu ich uważasz za głupich?« »Wczoraj wieczór prze tańczywszy dość długo z jednym oficerem, zaproponowałam mu, żebyśmy się przeszli po ogrodzie, a on na to, proszę sobie wyobrazić« : »Nie, Pani; lepiej tu zostańmy; Miss Wallis byłaby niekontenta zapewne, gdybyśmy poszli do ogrodu«. Ale Miss W. nie patrzy nawet na nas — mówię, a ten uśmiecha się głupo-

wato i powiada: Ej, lepiej zostańmy tu«. »Czyż to nie głupi człowiek?«...

»W każdym razie ten oficer jest gentlemanem i zna się na delikatności towarzyskiej«. Spojrzała na mnie zdumiona i zamilkła, myśląc zapewne, że Europejczycy są w ogóle dość głupi. Mam nadzieję, że pomieniony oficer nie wyniesie bardzo złej opinii o dziewczkach australskich. Panienska, która mu zaproponowała przechadzkę przy księżycu jest równie czysta i niewinna, jak jego siostrzyczka w Niemczech, tylko inaczej wychowana.

Na końcu powiem ci nowinę, z którą się nie spieszyłam, bo się trochę wstydzę: otóż od Bożego Narodzenia znowu miejsce zmieniam. Miss Wallis przenosi się z całą swoją pensją na wieś i to tak daleko od Sydney, że nie mogłabym zatrzymać swoich lekeyi w mieście, gdybym jej towarzyszyła. Przyjęłam miejsce domowej nauczycielki przy dwóch milutkich panienkach, które już tego roku były na pensyi mojami uczenicami. Przykro mi porzucać p. Wallis, ale sądzę, że dobry zrobiłam wybór.



estem znów o parę set mil od Sydney na odwiedzinach u rodziny Squatterów, ale w innej zupełnie okolicy, niż przeszłego roku, mianowicie na Północy, przy granicy Queenslandu i w pobliżu wielkiej rzeki Darling. Okolica więc nie jest tak sucha i jałowa, jak gdzie indziej. O jakich mil dwadzieścia stąd można się nacieszyć widokiem winnic i łąk pszenicznych. Także i droga kolejną o wiele piękniejsza była niż te, które znałam dotychczas; przejeżdżaliśmy przez Nową Anglię, jedną z najżyźniejszych okolic w Australji, krainę farmerów dostarczających masła, zboża i owoców dla całej N. Połud. Walji. W okolicy tej położonej między pasmem gór a morzem, płynie mnóstwo małych rzeczek, które wysychają wprawdzie latem, ale wystarczają do nawodnienia ziemi, a w czasie dłuższych deszczów wzbierają i zalewają okolicę, co się zdarza prawie perjodycznie. Tak więc dary przyrody są tu nie równo rozdzielone: skwater cierpi każdego prawie roku od suszy, a farmer narzeka częstokroć na zbytek wody.

Od ostatniej stacyi kolei jechałam dwanaście godzin przez góry »Waterloo« dylizansem

pocztowym. Wybrałam sobie miejsce obok pocztyliona i rozweselona jak student na wakacjach, rozglądałam się z góry po okolicy. Nigdy przedtem nie jeździłam dyliżanssem, więc mię bawiła nowość, ale przyznam ci się, że już na długo przed końcem podróży zastanawiałam się, jaki to jednak świetny wynalazek — kolej żelazna.

Na stacyi pocztowej oczekiwało mię całe towarzystwo z Gragina; przenocowaliśmy w miasteczku, a nazajutrz miałam do wyboru konia lub powóz. Nie jestem zapaloną amazonką i wybrałam to ostatnie. Gragin jest stacyą skwarterską i zboża tam nie uprawiają, ale też nie jest pozbawione jarzyn i owoców, jak Lake Cowal: p. Gordon trzyma chińskich ogrodników, gdzie zaś tylko jest Chińczyk, musi coś rosnać i dojrzewać. Z jednym z nich, umiejącym cokolwiek po angielsku, zawarłam nawet stosunki przyjazne. Spieramy się za każdym spotkaniem, ale przyjaźń nasza nie cierpi na tem. Przedmiotem rozmowy jest stale wojna koreańska, o której mój Chińczyk dokładnie jest powiadomiony, co nie o wszystkich powiedzieć można. Po każdym dniu pocztowym, przynoszę mu z tryumfem wiadomości z gazet, trzymając stronę Japończyków, którzy zawsze zwyciężają; ale przyjaciel mój utrzymuje, że w końcu Chińczycy zwyciężyć muszą, albowiem

Japonia małpująca, zdaniem jego, zniewieściła cywilizację Zachodu, nie wiele jest warta. Zwykle w czasie sporu tego dzieli nas klombik, który ja Koreą nazywam; w końcu on zostaje ze swoją Koreą, ja zaś odchodzę z koszykiem owoców.

Na samotność w Gragin uskarżać się nie można. Rzadki dzień, żebyśmy nie mieli gości; stacya skwaterska, bowiem, leży pomiędzy miasteczkiem a stacyą pocztową, tak że wszyscy jadący w jedną lub drugą stronę, zatrzymują się tutaj, by wypocząć albo przenocować. Ludzie zupełnie nieznanymi zajeżdżają bez ceremonii do Gragin, jak do hotelu. Bywają osoby przyjemne i zajmujące, ale też zdarzają się nie miłe i nudne figury; dla mnie byłoby nieznośnem gościć codziennie ludzi nieznanomych lub niesympatycznych, ale państwo Gordon spełniają to z niestrudzoną uprzejmością. Rzeczywiście gościnność w Australji jest nieporównana.

Obecnie mamy ciekawą wizytę młodego profesora Sydnejskiego uniwersytetu, Dr. Martina, który tu przybył badać trujący groch Darlingski. Jest to roślina z kwiatem zupełnie podobnym do zwykłego grochu, ale jadowita niezmiernie dla zwierząt. Owce zwłaszcza, które na nią natrafiają, stają się smutne, przestają jeść i giną, rzec można, z głodu. Dotąd

nie znaleziono środka leczniczego, ale spodziewają się, że Dr. Martin wystudyowawszy roślinę, wymyśli zwalczające jad ten lekarstwo. Uczony nasz bada także węże tygrysowate, najzjadliwsze z australskich płazów. Przechadza się z czarną torebką skórzaną, w której zawsze przynosi do domu parę takich potworów i przyznam się, iż umykam z daleka przed doktorem, dowiedziawszy się od niego, że jad jednego węża tygrysowatego w minutę zatrąłby 1500 królików. Szkoda, że niema pod ręką królików, bo sądzę, iż wszyscy australscy skwaterzy i selektorzy, aczkolwiek przeważnie protestanci, obraliby go swoim patronem.

Wyobraź sobie, że ludzie tutejsi trzymają węże — ma się rozumieć nie jadowite, ale jednak węże zamiast kotów po strychach i spiżarniach dla łapania myszy!...

Tydzień od Bożego Narodzenia do Nowego Roku spędziłam w sąsiednim majątku o mil pięćdziesiąt. Właśnie odbywała się strzyża owiec, których posiadają tam pół miliona. Co to za hałas i rejwach tam panował: spędzano owce ze wszystkich stron, żeby je po dokonanych postrzyżynach znów rozpuścić na pastwiska. Pięćdziesięciu postrzygaczy pracowało, oprócz pomocników, stróżów itp. a maszyna parowa huczała dzień cały. Zdawało się, że to jakaś ogromna fabryka, a ja godziny całe spę-

działam w szopie, przypatrując się robocie. Z zegarkiem w ręku wyliczałam, ile czasu potrzeba na ostrzyżenie owcy i pokazało się, że najsprawniejszy postrzygacz uporał się z nią przez 3 minuty, a najpowolniejszy 5½ minut, z pomocą maszyny, ma się rozumieć. Od setki owiec dostają po 25 franków, możesz więc wyrachować, ile zręczny postrzygacz zarobi dziennie; tylko, że robota nie trwa przez cały rok. Mój trzyminutowy postrzygacz to dawny oficer austriacki. Ciekawem byłoby się dowiedzieć, w jaki sposób zmienił się w postrzygacza? I pewno, że mniej szykownie wygląda w swojej wypłowiej czerwonej flanelowej koszuli, niż dawniej w mundurze z szablą u boku, ale pewno też, że zamieniwszy ją na nożyce, większy ma znacznie dochód, niż w Austrii, a czy nie jest użyteczniejszy dla społeczeństwa? nie wiem.

Pytałaś mię, czemu nie piszę nic o krajowcach australskich. Poprostu dlatego, że dotąd żadnego nie widziałam. Można latami całymi po miastach i sadybach się uwijać, nie spotkawszy murzyna australskiego. Uciekają oni przed cywilizacją w głąb kraju i podobno wymierają tak szybko, że zostało ich zaledwie kilka setek. Poznałam tutaj królewicza Jerzego, syna ostatniego z królów »Ceny i Wallangary« mówiącego doskonale po angielsku i ogładzo-

nego w domu Anglika, do którego obecnie należy dawne królestwo ojca jego. Do jakiego stopnia królewicz jest ucywilizowany, pojmiesz, gdy ci przytoczę komplement, jaki od niego usłyszałam. Siedziałam obok niego, podczas gdy wyrabiał dla mnie »boomerang«, który chcę zabrać z sobą, jako trofeę z Australji — i rozmawialiśmy o dawnych dobrych czasach, kiedy Cena i Wallangara były jeszcze królestwem. Spytałam, czy skosztował kiedy ludzkiego mięsa. »O, i nieraz, gdy byłem mały«. Po chwili zapytałam: »No, księżę Jerzy, gdybym tak się znalazła w pobliżu wtenczas, czy byście ze mnie usmażyli kotlecik?« — »Nie, pani, uczyniłbym cię królową Ceny i Wallangary« — odrzekł z galanterią królewicz. A jednak mój cywilizowany przyjaciel nie zupełnie przylgnął do naszego sposobu życia: całymi tygodniami i miesiącami wydaje się wszystko dobrze; lecz nagle ogarnia go nieprzeparta tęsknota za wolnością: zrzuca ubranie swe i ucho- dzi w lasy do rodaków swoich. Po kilku tygodniach powraca, by odzyskać odzież i przyjaciół swych białych.

Jeździłam też na dni kilka z pewną znajomą panią do majątku jej męża za granicę, do Queensland. Tam w sąsiedztwie przebywają resztki plemienia dzikiego i potężnego niegdyś; dziś jednak, są to ludzie zupełnie spokojni.

Dowiedziawszy się, że przyjechały białe kobiety, zapragnęli nas zobaczyć tak, jak my ich, ale uprzedzono ich, że nie mogą się pokazywać nadzy. Tymczasem okazało się, że całe plemię posiada jedną tylko parę spodni i palto letnie niegdyś im podarowane; prezentowali się więc nam po dwóch lub po dwoje naraz, nakładając spodnie lub palto, jak się zdarzyło komu. Piękni nie są, tegoby im największy przyjaciel nie mógł przyznać, a kobiety jeszcze brzydsze od mężczyzn: wszyscy okropnie chudzi, z członkami tak nieproporcjonalnie długimi, że wyglądają raczej na małpy, niż na ludzi. Zdaje się, że i my na nich nie zrobiliśmy korzystnego wrażenia. Próbowałam rozpocząć rozmowę z jednym dzikim młodzieńcem i zwróciłam się doń z najmiłszym uśmiechem, na jaki mnie stać było, ale przez chwilę patrzył na mnie wystraszony, potem zaś zaczął uciekać z przeraźliwym wrzaskiem. Odtąd postanowiłam już nie kokietować z tubylcami.



czoraj już miałam być w Sydney — ale jestem w niewoli i bogowie tylko wiedzą, kiedy wolność odzyskam. Rzeka Hunter, przepływając niewielką drogę swą do morza, nagle wystąpiła z brzegów i cała okolica stąd do New-Castle stoi pod wodą. Niemiłą było dla mnie niespodzianką dowiedzieć się wczoraj wieczór, gdyśmy pociągiem tu przybyli, że trzeba wysiadać i tu pozostać, bo na południe od nas cały plant kolejowy podmyty. Nie znając miasta, udałam się do naczelnika stacyi z prośbą o wskazanie mi porządnego hotelu.

»Nie znajdzie pani miejsca w żadnym hotelu, bo od wczoraj zatrzymują się tu wszystkie pociągi i miasto przepełnione podróżnymi.«
 »Może pan mi zechce dać adres jakich pokoi do najęcia?« Jegomość był widocznie w złym humorze, bo się odwrócił, mówiąc: »Nie znam nikogo takiego!« i odszedł. — Co tu robić? Nie znam nikogo w Maitland, głodna jestem i zmęczona okropnie, a deszcz leje strumieniami; od 36 godzin nie rozbierałam się z wilgotnego ubrania i nie miałam gdzie głowy położyć. Wczorajszy dzień spędziłam na koniu, bo powozy nie kursowały już z powodu błota na

wsi, noc całą w dyliżansie pocztowym, a dzień dzisiejszy w coupé przepelnionem. Zwłaszcza dyliżans był nieznośny z powodu towarzystwa, jakie zastałam: byli to trzej panowie, zapewne agenci handlowi, niezupełnie trzeźwi, którzy od razu zaczęli sprzeczkę z odprowadzającym mię dotąd p. Gordonem, kiedy powiedział na widok ogromnych fajek w ich ustach: »Panowie wiecie zapewne, że żaden gentleman nie pali wobec kobiety«. Wyjęli wprawdzie fajki z ust, ale zaledwie ruszyliśmy, zapytali mię, czy mogą palić. Zdobyłam się na odwagę — powiesz może, okrucieństwo — odmówienia, ale rzeczywiście nie czułam się na siłach spędzenia nocy całej w ciasnym, zamkniętym powozie z trzema palącymi panami. Chcąc sobie wynagrodzić brak fajki, zachodzili do każdej po drodze gospody i wracali stamtąd, zionąc tak straszną wonią wódki, że mi się mdło robiło. Około północy, gdyśmy stanęli przed jakąś austeryą w górach, zapytał jeden z nich, czy może mi przynieść filiżankę herbaty lub kawy. Podziękowałam krótko i zwięźle, ale on chciał widocznie okazać swą galanteryę i zjawił się z torebką owoców, buchając przytem wonią alkoholu. Przyznam ci się, że takim obrzydzeniem czułam się przejęta wobec całego rodzaju męskiego, żem się nie zdobyła nawet na uprzejmość i tonem niezbyt słodkim

odpowiedziałam: »Dziękuję panu za wszystko, tylko proszę, niech pan już siedzi w swoim kącie«. Usłuchał, szczęściem, i niebawem usnęli twardo wszyscy trzej aż do rana. Ja, ma się rozumieć, oka zmrużyć nie mogłam, pocieszając się tylko myślą, że następną noc spędzę w mojem wygodnem łóżeczku w Sydney. Zamiast tego, znalazłam się w obcym mieście sama, w nocy, głodna i bez dachu. Co robić, co robić?... Nagle zaświtała mi wyborna myśl. Maitland ma z 10.000 mieszkańców; niepodobna, żeby wśród tylu ludzi nie znalazł się ktoś poczciwy, ktoby przygarnął opuszczoną istotę. Tak umyśliwszy, zbliżyłam się do fiakra i powiedziałam: »Potrzebuję noclegu; podobno wszystkie hotele pełne, proszę więc zawieźć mnie do lepszej części miasta i będziemy pytać od domu do domu, czy mię kto nie przyjmie«. Dorożkarz nie okazał wcale zdziwienia, dotknął ręką kapelusza i ruszyliśmy. Wkrótce zwrócił na jakąś piękną ulicę i stanąwszy przed pierwszym domem, oświetlonym od góry do dołu, skąd dawały się słyszeć dźwięki muzyki i tańca, zadzwonił. Po chwili słyszałam, jak pytał, czy nie możnaby tu przenocować młodej obcej damy. Na taką propozycję zbiegło się mnóstwo osób do drzwi wchodowych i niebawem zbliżyła się do mnie jakaś starsza pani wyrażając swój żal, że mnie ugościć nie może,

synowie jej bowiem wrócili właśnie z uniwersytetu, przywożąc kilku kolegów, tak, że ani szpilki nigdzie wetknąć niepodobna. Kiedyśmy się zabierali jechać dalej, poprosiła, by trochę poczekać, weszła do domu i po chwili wyniosła list, dając go dorożkarzowi ze wskazówką, gdzie ma jechać. Po kilku minutach zatrzymaliśmy się przed ładnym domkiem, dorożkarz znowu zszedł z kozła i zadzwoniwszy, parlamentował z kimś, kogo widzieć nie mogłam. Po chwili ukazała się mała, stara, skromnie wyglądająca pani i zbliżając się do fiakra, wyrzekła: »Nie wiele mamy miejsca, ale na życzenie pani S. postaramy się Panią u siebie ulokować«. Na te słowa spieszenie wyskoczyłam z fiakra, więcej skwapliwości niż godności ujawniając, muszę wyznać, a staruszka spytała: »Czy pani S. jest przyjaciółką Pani?« — »Zapewne, jeśli mi tyle dobroci okazała, ale przed kwadransiem nie znałyśmy się jeszcze« — odrzekłam. Nie wiem, czy ta wiadomość przyczyniła się do uspokojenia ostrożnej damy, ale przynajmniej zaprosiła mnie do wejścia; zapłaciłam więc swemu dorożkarzowi z podziękowaniem serdecznym, bo z wielu grzecznych dorożkarzy, jakich spotkałam, ten był najuprzejmiejszym. — Jednak gosposia moja nie zdawała się podzielać dobrego wyobrażenia, jakie miałam o tej klasie ludzi, bo wprowadziwszy

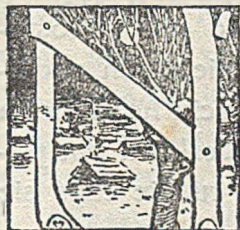
mię do pokoju, spytała natychmiast: »Czy Pani była kiedy w większym mieście?« — »Och, nieraz!« — »I Pani zawsze pozwala dorożkarzowi wieźć ją, gdzie mu się podoba?« — »Dotąd nie byłam nigdy w takim położeniu, jak dzisiaj. Czy to nie jest bezpiecznie zdać się na dorożkarza?« — Na to opowiedziała mi starszka cały szereg okropnych przygód, w których dorożkarze najobrzydliwszą odgrywali rolę, a na zakończenie dodała: »U nas nie jest to tak niebezpieczne, bo miasto małe i znamy się między sobą; ale radzę Pani być ostrożniejszą w wielkim mieście«.

Rada była dobra, ale zdaje mi się, że ją wkrótce zapomnę. Cóżby to życie było warte, gdyby każdego nieznanomego człowieka posądzać o złe zamiary. Nie, wolę wierzyć w poczciwość ludzką, dopóki mnie własne doświadczenie inaczej nie nauczy. Czyż nie lepiej potknąć się i urazić, poglądając na zachód słońca lub coś równie pięknego, aniżeli ciągle tylko patrzeć na pył u stóp naszych. A zresztą, czyż własne doświadczenie nie utwierdza mnie w wierze, w uczciwość ludzką. Gdzie tylko przebywam, wszędzie znajduję dobrych ludzi w rozmaitych sferach. I teraz, na przykład: wczoraj jeszcze nie znałam ani żywej duszy w Maitlandzie, dziś już mam kilkoro przyjaciół. Pani S. moja pierwsza znajoma wczoraj wieczór jesz-

cze przyszła się dowiedzieć, czy znalazłam tu przytułek, a dziś dwie córki jej oprowadzały mnie po mieście, pokazując, co jest do widzenia. I ja mam wątpić w dobroć ludzką? Przenigdy.

27 list.

Astolat, Sydney, 4 sierpnia 1895 r.



ic dziwnego, żeś mię uważała za umarłą, jeśli przez pół roku ani znaku życia nie dałam, ale »pas de nouvelles, bonnes nouvelles« mówią Francuzi, co się na mnie przynajmniej sprawdziło tym razem. Nie tylko nie chorowałam wcale, ale czuję się zupełnie szczęśliwą w Astolat, szczęśliwszą, niż byłam od wielu lat. Prawda, że mam roboty po uszy, więcej, niż miałam na pensjach prywatnych, ale praca ta uszczęśliwia mię, bo otoczona jestem spokojem i harmonią. Przedsięwzięłam ni mniej ni więcej, tylko przygotować do egzaminu uniwersyteckiego na rok przyszły dwie panienki tutejsze, oraz ich trzy przyjaciółki z sąsiedztwa, siostrzenice słynnej śpiewaczki Melby. — Na dwa popołudnia, które spędzam w szkole Ashfieldzkiej, przyjeżdża profesor matematyki, zresztą wszystkich przedmiotów ja sama udzielam, a ponieważ zapomniałam cokolwiek z czasów moich studyów, muszę poświęcać każdą wolną chwilę przygo-

towywaniu się na lekcye. Zatopiona w pracy, zapominam rzec można — o świecie bożym, ale czuję się bardzo szczęśliwą, bo moja klasa składa się z pięciu dziewczeczek nie tylko pracowitych, ale inteligentnych, żywych i uważających mię nie tylko za nauczycielkę, ale i za przyjaciółkę swoją. Pracujemy w najmiłszej zgodzie. A także rodzice moich uczennic nie pozostawiają nic do życzenia: rozsądniejszych rodziców i przyjemniejszych w obejściu ludzi niema chyba na całej kuli ziemskiej; idealnem jest życie rodzinne u nich. I jakże tu nie czuć się szczęśliwą?

Ale dość już mówienia o sobie! Przesyłam ci z niniejszym fotografię »śmiejącego się Jakosa« czyli Hookabuna, jak go krajowcy nazywają. Nie jest to piękny ptak ze swą ogromną głową i długim dziobem na malutkim korpusie, ale zato wielce użyteczny, jako tępiciel węzów. Wzrok ma tak bystry, że malutkimi oczkami swemi z wierzchołka drzewa wyśledzi węża w trawie; rzuca się nań szybko jak strzała i ubija wielkim dziobem. Prawo zabrania strzelać do Jakosów. Co się tyczy śmiechu jego, to przypomina zupełnie ludzki. Zabawne jest siedząc samotnie w lesie usłyszeć nagle wybuchy śmiechu, kiedy w pobliżu nie widzi się nikogo. Niektórzy twierdzą, że śmiech ten jest zaraźliwy, ale mnie on niecierpliwi zawsze:

wygląda, jak gdyby one kogoś wyśmiewały. Przeszłego roku miałam przed oknami drzewo, które musiało być miejscem schadzki Jakosów: co rana o piątej zaczynał się śmiać jeden i natychmiast cały chór odpowiadał; zdaje się, że setki ich były. Uszy bolały od tego hałasu, a że łóżko moje stało naprzeciw otwartego okna, miałam wrażenie, że te ptaszyska ze mnie się wyśmiewają i wstawiałam natychmiast. Im więc zawdzięczam dobry zwyczaj zrywania się o piątej rano.

Cieszymy się wszyscy, że już się skończyła zima, najobrzydliwsza, jaką od dawna Australczycy pamiętają, bo zimna i sucha. Zwykle bywa to pora deszczowa w Australji; tymczasem tego roku ani kropla nie spadła i skwaterzy są w rozpacz. Jeden z moich znajomych stracił w ubiegłym tygodniu 200 tysięcy owiec!

Jeśli mówię, że jest zimno, nie sądz, żebyśmy tu mieli północno-niemieckie mrozy; to nie, ale cierpimy może więcej jeszcze w przewiewnych dniach tutejszych, gdy zacznie dąć południowy wicher, przenikający w każdy zakątek. — Tak więc i kraina róż ma swoje czarne a raczej zimowe strony!



estem tu w najpołudniowszej z zamieszkałych wysp południowej półkuli, a jednak mam takie uczucie, jak gdybym się znajdowała w Europie, taka swojska i przytulna wydaje mi się zielona wyspa. Nic ona nie ma wspólnego z Australją, chociaż według danych naukowych, niegdyś tworzyła jedność z lądem australskim. Raczej wygląda na kawałek Anglii: ziemia, roślinność, ludzie, temperatura — wszystko przypomina południowe okolice wysp Brytańskich. Podczas gdy w Australji panują obecnie nieznosne upały, tutaj jest chłodnawo, niekiedy zimno nawet; dobrze więc zrobiłam, obierając sobie Tasmanję na pobyt letni. — Że tu klimat jest nadzwyczaj zdrowy, wszystko świadczy: wszystko kwitnie, zarówno ludzie, jak i roślinność. Nigdziein jeszcze nie widziała tylu świeżych, różowych, zadowolonych twarzy, jak tu. Tasmańczycy są miłego, spokojnego raczej usposobienia; nie widać tu tego gorączkowego pośpiechu, tego wiecznego gonienia, które w Australji porywa każdego i tak bardzo męczy. Życie płynie powolnie, wygodnie; nawet tramwaje elektryczne chodzą tak powoli, że ja, kiedy jestem głodna, wysiadam i idę pieszo, żeby

prędzej wrócić do domu. Hobartczycy nie posiadają jeszcze podwójnej linii, tak że na przystankach bez końca czekać trzeba; nie można u nich mówić, że »czas to pieniądz«, bo czekanie wcale ich nie niecierpliwi, przeciwnie, pasażerowie rozpoczynają przyjemną rozmówkę, czy się znają, czy nie. Poczciwi Hobartczycy są wielce rozmowni. Jeżeli zajdę do jakiego sklepu, zaczynają mię wypytywać, gdzie mieszkam, co robię, skąd przybywam, jak długo tu zabawię itp., a nawzajem udzielają mi wiadomości o sobie, swoich krewnych i przyjaciółach, tak że przez sześć tygodni mego tu pobytu, obznajmiłam się mimo woli z kroniką miejscową. Naturalnie Hobart nie jest tak dużym miastem, jak Melburn lub Sydney, ale liczy ze 30.000 mieszkańców i jest stolicą wyspy, a to także coś znaczy.

Prześlicznie położone jest miasto u stóp wspaniałej, zwykle śniegiem pokrytej góry Wellington, przy porcie, który nie wiele ustępuje Sydnejskiemu. Piękną jest także wyspa cała, z wyjątkiem zachodniego wybrzeża pokryta bujną roślinnością. I wody tu nie brak: jezior słodkich więcej na tej niewielkiej przestrzeni, niż na całym, trzy miliony mil kwadratowych obejmującym lądzie Australji, a i rzek większych kilka. Jest to właściwie kraj rolników; wszystkie gatunki zboża, wybornie tu się udają; z owo-

ców zaś, jabłek szczególnie, słynie Tasmanja w połowie świata przynajmniej. Każdej jesieni odchodzą statki jabłkami naładowane do Europy. Drzewa budulcowego także dostatek, jak w Kalifornji: eukaliptusy dochodzą tu 280 do 300 stóp wysokości i stosownej średnicy.

Oprócz owoców i drzewa mało co wywożą z tej żyznej wyspy. Kraj ten obejmujący 26.000 angielskich mil kwadr. (68.334 kilom. podczas gdy Szwajcarja ma 41.469 kilom. kwadr.) liczy zaledwie 150.000 mieszkańców, a jednak i tych wyżywić nie umie i zboże sprowadza! Anglicy z tego względu Żydów przypominają, że niechętnie biorą się do roli i dopóki mogą, starają się w inny sposób zarobkować. Młodzi mężczyźni wyjeżdżają zwykle do kopalni złota i srebra na ląd australski, tak że ludności raczej ubywa a gospodarstwo rolne nie rozwija się. Co do czarnych tubylców, ci wyginęli od dawna. Ostatnia z rodu, królowa Tukanini umarła w 1878 r. a dziś wyspę zamieszkują Anglicy i Szkoci. Za czasów kiedy Tasmanja była kolonią karną, rolnictwo stało wysoko, bo więźniowie uprawiali ziemię; ale w 1754 Anglja wstrzymała deportacyę na życzenie wolnych osadników i wtedy to wyspa swoje terażniejsze miano otrzymała. Dawniej nazywała się Van-Diemen i tak się wstawiła w całym świecie jako karna kolonia, że ją sobie mie-

szkańcy zbrzydzili. Nadano jej nazwisko Tasmania, holenderskiego żeglarza, który w 1642 odkrył wyspę a dziś nic nie przypomina, że ten spokojny, kwitnący ogród na oceanie Południowym był kiedyś przeklętą miejscowością.

29 list.

Astolat Sydney, 1 sierpnia 1896 r.



Dzisiaj wielki dzień w Astolacie, bo gazety poranne przyniosły nazwiska tych, którzy pomyślnie zdali wstępne egzamina uniwersyteckie, a w ich liczbie moje dziewczeczki, wszystkie pięć.

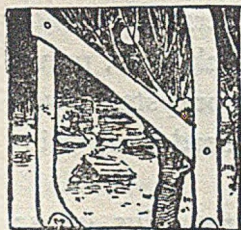
Dwie nawet otrzymały medale. Także moja ashfieldzka klasa zdała świetnie egzamin z francuskiego, do którego ja przygotowałam. Teraz mogę z honorem opuścić mój australski plac boju, a tego tylko pragnęłam.

Dziś po południu miałam wizytę dwóch przełożonych pensyi, które mię chciały zamówić na rok następny, ale nie mogę dłużej tu zostać, jeśli przez zakreślone lat dziesięć mam poznać inne jeszcze kraje. Odmówić musiałam, ale przyjemnie, że mię Australczycy pragnęli zatrzymać u siebie.

Czemże zajmę umysł swój do czasu odjazdu, to jest do grudnia b. r.? Przez ostatnie

półtora roku tak byłam pochłonięta uczeniem i uczeniem się, że o niczem innem myśleć nie mogłam. Teraz zamierzam obznajomić się cokolwiek z działalnością kobiety australskiej. Kobieta gra tu wielką rolę i gdzie tylko coś dobrego się robi, jej to jest dziełem zazwyczaj. Niedawno panie Sydnejskie — w tych liczbie kilka bardzo bogatych, czystą filantropią przejętych — pozakładały ogródki dziecinne w najbiedniejszych dzielnicach miasta i gromadzą dziatwę tułającą się dotąd po ulicach i zaułkach.

Obecnie zajmują się tu gorliwie prawem wyborczem kobiet i domagają się zrównania politycznego kobiety z mężczyzną, co już zdobyła sobie Nowa Zelandja od pewnego czasu. Prawdopodobnie rozstrzygnie się i tu pomyślnie sprawa kobiet, a zasługują na to. Nie jestem t. zw. feministką i dotąd nie wiele się zajmowałam »kwestyą kobiecą«, a ponieważ prawodawstwo dotychczasowe nie dało mi się we znaki, nie troszczyłam się o to, kto je układał. Jednak większą część ludzkości stanowią kobiety, i to nie stojące niżej zazwyczaj od mężczyzn co do uzdolnienia, nie widzę więc przyczyny, dlaczego ci tylko mieliby tworzyć prawa dla wszystkich.



ie mogę Australji opuścić, nie przesławszy ci słów kilku pożegnania stąd. Myślisz, że się raduję nadzieją wyjazdu i zbliżania do ojczyzny. Otóż nie; smutna jestem śmiertelnie. Cemu? Do ojczyzny nie wracam jeszcze i nie prędko wrócić mogę, a tymczasem trzeba znowu walkę o byt podejmować w kraju obcym, nieznanym. Teraz, kiedym doświadczyła, co to jest znaleźć się samej w obczyźnie i tam pracy szukać, perspektywa ta przeraża mię. Nigdy jeszcze nie potrzebowałam takiego natężenia siły woli, aby wytrwać przy swoim, to jest dotrzymać samej sobie danej obietnicy. Gdybym w pierwszym roku mego tu pobytu wyjechać mogła, jakżeby to była chętnie uczyniła! ale teraz, kiedy mi tak jest dobrze, gdy sobie zdobyłam stanowisko, przyjaciół, a w Astolat dom, jak gdyby rodzinny, teraz wszystko porzucać, jechać w obczyznę na nowe walki! Dreszcz mną wstrząsa, gdy o tem myślę, a jednak trzeba i dokonam tego, com postanowiła, bądź co bądź.

W przyszły poniedziałek odpływam parowcem Monowai do Nowej Zelandji, na kilka tygodni. Dość mam pieniędzy, żeby módz so-

bie pozwolić na parę miesięcy wakacyi: odwiedzę inne jeszcze wyspy na oceanie Spokojnym i w Ameryce dopiero zamierzam wprząść się w moje jarzmo. W poniedziałek więc, punkt o dwunastej pożegnam śliczną przystań Sydneyjską, przyjaciół moich i moje serdeczne dziewczki australskie.

»On se rencontre, on s'aime, plus on se sépare — voilà la vie!«

31 list. Auckland, Nowa Zelandja, 26 grudnia 1896 r.



awniej sądziłam, jak większość Europejczyków, że N. Zelandja, to o jeden skok od Australji oddalona i tak wygląda na mapie; tymczasem doświadczenie inaczej mię nauczyło. Nie jest to wprawdzie tak daleko, jak z Europy do Ameryki, ale podróż mało co krócej trwa i tydzień prawie spędziliśmy na morzu — od poniedziałku do soboty rano, a żegluga wcale nie była przyjemna; wilgoć i burze od początku do końca, w dodatku statek przepelniony. N. Zelandja, to niby Szwajcarja Oceanji: za zbliżeniem lata wszystko, co żyje i trochę pieniędzy posiada, śpieszy do pięknej krainy Maorisów. Oprócz tłumu turystów mieliśmy

jeszcze dwie trupy teatralne na statku, jedną amerykańską, a jedną angielską, że szpilki nie było gdzie wetknąć. Mieściłam się w malutkiej kajucie razem z trzema aktorkami, a że z powodu burzy nie otwierano wcale okien, możesz sobie wyobrazić, jak nam było wygodnie.

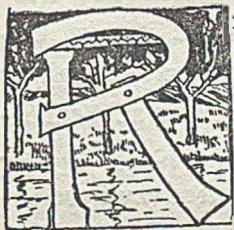
Dziś o świcie wpłynęliśmy do portu Aucklandzkiego i większa część pasażerów udała się zaraz na ląd, aby szukać pomieszczenia; ale wielu z nich wróciło strapionych, gdyż z przyczyny wielkich dorocznych wyścigów konnych w Aucklandzie i napływu ludzi ze wszech stron, były hotele pozajmowane już. I dla mnie to była niezbyt ucieszna perspektywa: znów się znalazłam obca, sama, bez dachu. Poczekawszy jednak parę godzin, żeby Aucklandczycy mieli czas ubrać się i zjeść śniadanie, zostawiłam pakunki swoje na statku i wyruszyłam pieszo na zwiady. Ma się rozumieć, że do hoteli już nawet nie zachodziłam, ale spotkawszy jakąś damę na ulicy, wyglądającą na miejscową, spytałam gdzie są tu najporządniejsze pensyonaty. Wskazano mi ulicę książęcą wysoko na górze: wdrapałam się odważnie i wkrótce znalazłam to, czego szukałam, ale odpowiedź nie była pomyślna. »Pełno u nas, nie możemy już nikogo przyjąć«! Jak wyglądałam w tej chwili, łatwo sobie wyobrazić: przez te kilka dni chorowałam okropnie na morzu, droga

była długa, upał straszliwy — zdawało mi się, że padnę. Na szczęście ukazała się w tej chwili gospodyni domu, pocziwie wyglądająca stara Szkotka, która ze współczuciem na mnie spojrzawszy, zapytała: »Czy pani sama?« »Tak Pani, sama i zupełnie tu obca«. »No to niechże Pani wejdzie na chwilkę; może się co da zrobić, bo przecież Pani tak na ulicę wyrzucić nie mogę dziś, kiedy miasto przepełnione. Gdyby Pani była mężczyzną, toby łatwiej poszło, bo ja panów tylko utrzymuję a panie bywają takie grymaśne, ale spróbujemy«. O mało jej nie uściskałam za te pocziwe słowa. Po chwili wróciła, mówiąc: »Naradziłam się z moimi panami, którzy się zgodzili odstąpić tymczasem naszą czytelnię: proszę więc pójść po swoje rzeczy, a my tymczasem ustawimy łóżko i urządzimy, jak się da najwygodniej dla Pani«.

Z sercem przejętem wdzięcznością dla dobrej p. Arbuckle i jej uprzejmych pensyonarzy, pojechałam do portu po swoje pakunki i w chwili właśnie, gdym wchodziła do korytarzyka przy mojej kajucie, natknęłam się na jednego z aktorów, wynoszącego mnóstwo torebek, kuferków, pudełek, wśród których poznałam i swoje. Okazało się, że wysłano go po rzeczy żony, i jej towarzyszek a moich współlokatorek, zabierał więc wszystko, co mu pod

rękę popadło, nic nie wiedząc o mojem tu istnieniu. — Gdybym pięć minut później tu nadeszła, nie zastałabym już ani jego, ani moich efektów! a cóżby to było kłopotu i mitręgi z odszukaniem tego wszystkiego. Doprawdy, że we wszelkich trudnościach mniejszych i większych widzę nad sobą, jak gdyby kierującą rękę jakąś, ducha opiekuńczego, który mnie nie opuszcza w moich przygodach.

32 list. Auckland, Nowa Zelandja 29 grudnia 1896.



rzadko się zdarza, byś dwa listy w jednym tygodniu odemnie otrzymywała, ale też i rzadko bywa, żebym tak wiele się nasłuchiwała, mało mówiąc sama, jak to w ostatnich dniach się działo.

Dom pełen jest mężczyzn, którzy mówią chętnie i dużo, a ja, nasłuchawszy się przez dzień cały, czuję potrzebę wygadania się przed tobą, naturalnie. — Jeżeli moi panowie mówią dużo, muszę przyznać, że sama ich do tego pobudzam ciąglem wypytywaniem. — Pensyonarze pani Ar. są to stali mieszkańcy N. Zelandji, zajmujący tu rozmaite posady, i tak, są u nas urzędnicy pocztowi i bankowi, lekarze, kupcy, prawnicy a nawet politycy zawodowi, bo i takich tu nie braknie. Wszyscy z widoczną przy-

jemnością wychwalają swoją ulubioną wyspę, tak, że nie mam skrupułu zasypywać ich pytaniami. Wielu znałam szowinistów, ale nigdzie nie dorównają Nowozelandczykom: wszystko u nich ma być najlepsze: najpiękniejsza i najżyźniejsza ziemia, najzdrowszy klimat, najmądrzejszy rząd. Spytałam, czy to ostatnie nie zawdzięcza się kobietom? Rozśmieli się, ale przyznali, że kobiety zbawienny wpływ wywierają, od kiedy bowiem posiadały prawo wyborcze, uczciwsi ludzie dostają się do rządów. Zdaje mi się, że w Europie nie wszyscy wiedzą, że Nowozelandka ma te same prawa polityczne, co jej mąż i brat. Każdy zwiedzający Auckland cudzoziemiec, od razu zauważy emancypację kobiety tutejszej, odczytując tylko napisy na mosiężnych tabliczkach u drzwi wchodzących, np.: Dr. Mary, B. lub C., Panna Mabel, adwokat — Pani Amy: Kantor Wymiany itp. — Rozmaitemi stowarzyszeniami kierują kobiety; bywają wójtami gminy lub prezydentkami miasta. Takie ma urządzenie ta niewielka stosunkowo wyspa w antypodach, tak wogóle mało znana i lekceważona w Europie naszej.

Pewien Nowozelandczyk, z którym dziś rozmawiałam, to jest właściwie on mówił, a ja słuchałam — odezwał się w te słowa: »Jakże nie mamy być dumni z naszej ojczyzny? Mamy wszystko: kraj malowniczy, jak mało który

w świecie; ziemię tak żyzną, że zasypalibyśmy żywnością całą Australję, gdyby tylko mieć do-
syć sił roboczych; kopalnie węgla, żelaza, złota
i srebra. Brakuje nam jeszcze drogich kamieni,
ale może i te się z czasem znajdą. Może Pani
powziąć wyobrażenie o naszym bogactwie, jeśli
powiem, że nasz dług państwowy wynosi 50
milionów funtów st. i ten spłacilibyśmy jutro
nawet, gdybyśmy zechcieli sprzedać nasze ko-
leje żelazne«.

Otworzyłam szeroko oczy, dotąd bowiem
nie zdarzyło mi się wnosić o bogactwie kraju
z wysokości długów jego!

Wczoraj jeździłam do Mount Eden, wyga-
śłego wulkanu, skąd prześliczny widok na po-
blizkie miasta Auckland i port a także z pięć-
dziesiąt wygasłych wulkanów i wulkaników na-
liczyć można. Coby to był za wspaniały fajer-
werk, gdyby wszystkie naraz wybuchły!

Czyś słyszała kiedy o gąsienicy zamienia-
jącej się w roślinę? Pewno nie; otóż N. Ze-
landja posiada taką osobliwość. Słyszałam już
coś o tem w Australji, ale bojąc się, by ze
mnie nie zażartowano, nie dowierzałam potro-
szę. Wczoraj jednak zwiedzałam muzeum tutej-
sze i przedstawivszy się miejscowemu dyrek-
torowi za pośrednictwem jednego ze znajomych
mi panów, usłyszałam opowiadanie całego prze-
biegu przemian gąsienicy. — Otóż, gdy taka

liszka wpełźnie w ziemię, gdzie rośnie pewien gatunek grzyba i wetchnie w siebie nasionko tegoż, rozpoczyna się kiełkowanie nasionka w jej wnętrzu i rozwija się aż dopóki cała gąsienica nie przemieni się w grzybek, zachowując jednak kształt sobie właściwy. Maorysowie uważają za przysmak taką, świeżo z ziemi dobytą grzybową gąsienicę, a naukowa jej nazwa przed metamorfozą jest »*Hepialus virescens*«; jako roślina zwie się »*Sphoeria Robertsiana*«; u Maorysów »*Pepeaweto*«; u Anglików poprostu »roślinna gąsienica« (»vegetable caterpillar«). Pan dyrektor darował mi wspaniały egzemplarz, który ci kiedyś pokażę, żebyś mnie nie posądzała o błąd.

33 list. New-Plymouth Taranaki, 2 stycznia 1897 r.



dyby prawdą było, co przesądni ludzie utrzymują, że pierwszy dzień roku jest wróżbą na rok cały, straszaby mię czekała przyszłość na razie; nigdy bowiem nie przeżyłam tak przykrych nocy Sylwestrowej ani tak brzydkiego poranku noworocznego. Przedwczoraj raniutko opuściłam Auckland, udając się parowcem do Wellingtonu, stolicy N. Zelandji. Słyszałam, co prawda, o niebezpieczeństwach osławionej

»Taranaki-Bight«, ale rzeczywistość przeszła moje oczekiwania. Cóż to za straszna podróż morska była! Zaledwie wypłynęliśmy z portu, burza wybuchła z taką gwałtownością i tak nagle, żeśmy nie mieli czasu schronić się do kajut. Ja szczęściem siedziałam wraz z inną panią, jedyną, jaka prócz mnie była na statku, tuż obok kajuty kapitana i tam wpadłyśmy, gdy okręt zaczął nagle dęba stawać; [ale wszyscy mężczyźni, którzy się przechadzali na pokładzie, musieli rzucić się na ziemię i tak przeczekać, dopóki się wichur trochę nie uśmierzył. Większa część pasażerów miała jechać do Wellingtonu, równie jak ja, ale wszyscy prawie woleli wysiąść tu w N. Plymouth, żeby statek zamienić na kolej żelazną. I ja miałam zamiar wziąć od razu pociąg pośpieszny, ale tak się czuję schorowaną i osłabioną, że nie mam odwagi puszczać się w podróż. Czekam w małej wioseczce, dopóki nie odzyskam sił i tak się czuję biedną, osamotnioną, stęsknioną, że rady sobie dać nie mogę. — Gdyby przynajmniej mieć w sąsiedztwie jaką kobietę! ale, zdaje mi się, że prócz mnie, sami mężczyźni; nawet pokojówką moją jest młody Chińczyk. — W dzień przechadzam się po ogrodzie, ale wieczorami, a te są nieznośnie długie tu, gdzie niema prawie zmierzchu, — siedzę samiuteńka jedna w tzw. damskiej sali, wyobrażam sobie was wszystkich

zgrupowanych tam w domu przy kominku i. .
okropnie tęsknię. Wczoraj wieczór weszłam do
tej sali i zabierałam się pisać swój dziennik,
gdy oczy moje padły na jakąś fotografię; biorę
ją w rękę, patrzę obojętnie i... poznaję nasz
ukochany Bern! Tego już było za wiele —
opuściłam głowę na ręce i płakałam tak, że
mi się zdawało, iż duszę wypłaczę.

34 list. Colyton, Nowa Zelandja, 14 stycznia 1897 r.



nów jestem, na kilka dni przy-
najmniej, w bezpiecznej przy-
stani. — Wędrując po okoli-
cach Południowych wyspy,
spotkałam jedną z owych nar-
zeczonych z »Ballarotu«; o-
becnie jest już panią u siebie i zaprosiła mię
na czas jakiś do swego domu. — Daleko je-
chała za szczęściem, ale, zdaje się, że je osią-
gnęła w pełni: mówiła mi, że za nic by nie
wróciła do dawnej ojczyzny, że tutaj życie jest
o wiele łatwiejsze i przyjemniejsze, niż w sta-
rej, przeludnionej Anglii. Mnie tęskniącej cią-
gle za naszą staruszką Europą mimo wszyst-
kich piękności, jakie tu znajduję, — wydaje się
niepojętem takie uczucie u niej, która zaledwie
cztery lata tu przebyła, ale cóż dziwnego!

»Gdzie skarb twój, tam i serce twoje« mówi Pismo.

Miły i spokojny jest ten ziemi zakątek. Gdybym była powieściopisarką, znalazłabym od razu materiały na czystą, sielankową nowellę. Wszyscy koloniści są Anglicy, pochodzący z tej samej niemal okolicy, więc się znają od urodzenia i tworzą niby wielką rodzinę. Wszyscy są farmerami na małą skalę i uprawiają własną ziemię własnymi rękami prawie. — Na posiadanie wielkich ziemi obszarów, jak w Australji, rząd tu nie pozwala, pragnąc zapewnić uprawę ziemi, nie zaś zużytkowanie jej na pastwiska. Ale też i rolnikowi jest tu o wiele lepiej, bo nie bywa ani suszy, ani wylewów. Z kwestyą robotniczą nie jest lepiej: o sługi niezmiernie trudno, a gdy się jakie dostanie, trzeba się z niemi obchodzić z wielkimi ceremoniami. Służącą pani P., u której teraz bawię, przedstawiono mi, i zasiadła z nami do stołu, podczas gdy pani domu usługiwała, a tytułują ją, jak pannę z towarzystwa: »Miss«.

Co się tyczy krajowców, Maorysów, ci do służby wcale nie idą, ale uprawiają grunta wydzielone im przez rząd. — Z wyjątkiem lenistwa i niepodległości nie mają zresztą nic wspólnego z krajowcami australskimi. Maorysi należą do rasy malajskiej, są zdolni, inteligentni — najlepszy mowca w nowozelandzkim par-

lamencie jest Maorysem — rysy zaś zwykle mają piękne, regularne. Niektóre dziewczki maoryskie uchodziłyby mogły za prawdziwe piękności według europejskiej estetyki. Wkrótce jednak Maorysi należeć będą do przeszłości: liczba ich zmniejsza się corocznie o jaki tysiąc, tak, że przy ostatniem obrachowaniu było 42,000 tylko. Przyczyną tego wniesione z kulturą europejską palenie i picie.

Najbardziej ze wszystkiego zachwycają mię lasy tutejsze. Od czterech lat już nie byłam w żadnym cienistym lesie, bo australskie, jak wiadomo, pozbawione są cienia. Tu, przeciwnie, bujne, liściaste drzewa rosną wszędzie, otoczone mnóstwem przepysznych paproci, a zwierząt dzikich, nawet węży niema wcale. Istnieją tu takie tylko zwierzęta, które koloniści ze sobą przywieźli; przedtem nie było żadnych na tej wyspie, czy raczej na tych wyspach, Nowa Zelandja bowiem, z dwóch się składa: z południowej, której śniegiem ubielone góry, piękne jeziora i rwące potoki przypominają Szkocję, — i północnej, wulkanicznej, dającej się porównać z Italją Północną. Każda w swoim rodzaju jest cudem piękności i bujności.



estem tu wśród syczących i plwających gejzerów i nie powiem, żebym się czuła zadowoloną i bezpieczną. Dziwnie jest, zamiast stałej, jak zwykle ziemi, mieć pod sto-

pami drgającą ustawicznie, jak ogromny statek. Whakarewarewa, to słynna lecznica dla reumatyków, którzy tysiącami przybywają do siarczanych cieplic tutejszych. Ja nie w tym celu, szczęściem, tu się znalazłam; chciałam tylko złożyć wizytę gejzerom i Maorysom. — Śmiać się będziesz, gdy ci powiem, gdzie mieszkam. Jedyne tutejsze hotel było, ma się rozumieć, wypełnione, gdym przyjechała. Choć N. Zelandja jest krajem turystów na Południowej półkuli, hoteli tu mało, nie tak, jak w naszej Szwajcarii. Otóż, jak mówię, znalazłam się znów bez dachu i dopiero szynkarz hotelowy (barman) zlitował się nademną, odstępując mi swój pokój. Widzisz więc, że znowu męskiej galanterii zawdzięczam przytułek, ale pan kelner hotelowy nie jest elegantem, czego dowodzi urządzenie jego apartamentu. Łóżko, szafa, stary podarty fotel pluszowy i miednica, ustawiona na wygnieconym stołku plecionym, — to wszystko, czem rozporządzam; zato otoczona jestem set-

kami butelek i to pełnych, ponastawianych wszędzie, nawet na oknie. Uwierzysz z łatwością, że niezbyt chętnie przesiaduję w swoim pokoju, i wogóle do hotelu wracam tylko na jedzenie i spanie.

Wioska Maorysów kilka minut za ledwie odległa od hotelu i tam spędzam dni moje. Łaski wieśniaków zjednałam sobie, rozdając między dzieci kilka paczek cukierków; odtąd jestem uprzejmie przyjmowana i wolno mi przyglądać się kobietom maoryskim, piorącym lub gotującym, co się wszystko odbywa pod gołym niebem. Natura ułatwiła życie gosposiom tutejszym: cała wieś pełna jest stawów i stawków z wrzącą wodą a jedzenie przyrządza się wspólnie. Wieśniaczki przynoszą mięso, czy co mają do ugotowania, do wspólnego stawu, i wpuściwszy wiktuały, zawiązane w worek na powrozie w gorącą wodę, zabawiają się gawędką, dopóki się wszystko nie ugotuje. — Czy w podobny sposób niegdyś mięso ludzkie przyrządzali, nie mogłam się dowiedzieć, bo Maorysowie nie lubią aby im przypominać, że przodkowie ich byli ludożercami. Znalazłam jednakże jednego, z którym mogę mówić bez ceremonii o dawnych »dobrych« czasach: jestto dziewięćdziesięcioletni wódz, który odgrywał przed laty ważną rolę w losach kraju swego i podobno niejednemu Anglika zgładził ze świata. Ten mi wy-

znał szczerze, iż niejednokrotnie jadał mięso białych ludzi, chociaż bez porównania mniej smaczne i twardsze nawet od mięsa brunatnej rasy. Białych kobiet nie jadł nigdy, bo dawniej Anglicy swoich tu nie przywozili, a dziś, chociaż przywożą, to niema z tego korzyści, bo już nie wolno jadać ludzkiego pieczystego. Pewien pan, mieszkający w tutejszym hotelu i władający językiem Maorysów, towarzyszy mi niekiedy w odwiedzinach u starego wodza i zapytał go kiedyś, czy dziś jeszcze jadłby ludzkie mięso. »O, czemu nie« — odpowiedział — »zjadłbym chętnie tę młodą damę, na przykład; zdaje mi się, że byłaby bardzo krucha«. — Przyznam się, że od tej chwili mniejszą przyjemność mi sprawiają odwiedziny u staruszka, zwłaszcza, gdy mię całuje w rękę, co zwykle czyni na przywitaniu. — Jest on także tatuowany, co się obecnie rzadko u Maorysów spotyka: twarz jego aż do włosów i za uszami nawet pokryta znakami i hieroglifami rozmaitemi. Z młodszego pokolenia dają się tatuować tylko kobiety na brodzie i to wychodząc za męża, na oznaczenie swej nowej godności.

Wczoraj wypadła wielka uroczystość maoryska, którą raz tylko na 25 lat obchodzą. — Na jaką pamiątkę, nie mogłam się dowiedzieć i zdaje się, że oni sami zapomnieli, ale wesoło

było we wiosce. Ze wszystkich stron wyspy przybywali wysłańcy rozmaitych plemion, a ponieważ oni, jak wogóle ludy do natury zbliżone, weselą się bardzo głośno, — można sobie wyobrazić, co za hałas i tartas panował w okolicy. Ubawił mię szczególnie ich sposób witania się. Z najpoważniejszą w świecie miną biorą się wzajemnie za rękę i pocierają nosami jeden drugiego bez żadnej oznaki uciechy albo wstrętu. Na uświetnienie uroczystości wybuchł największy z gejzerów, który milczał od lat wielu. Siedzieliśmy właśnie przy stole, gdyśmy uczuli silne wstrząśnienie a przytem grzmot, jak gdyby wioskę bombardowano. — Wypadliśmy wszyscy na balkon i wspaniały widok przedstawił się oczom naszym: oto gorący wodotrysk na jakie 100 stóp wysokości bił do góry z grzmiącym hukiem, rozbryzgując się wkoło. Niedługo jednak trwał ten rozmach i wkrótce wszystko wróciło do dawnego stanu, ale mnie w pamięci zostało to wspaniałe zjawisko.



wypływamy właśnie z pięknego portu Aucklandzkiego. Przed pół godziną właśnie pożegnałam gościnną Nową Zelandję, której zawdzięczam niejedno miłe wspomnienie. »Alameda« płynie do Kalifornji, ale ja korzystam z niej tylko do Honolulu, gdzie się mam zamiar zatrzymać na kilka tygodni, aby poznać słynny »Raj Spokojnego oceanu«. Nie brak tam, podobno, dobrych hoteli i pensyonatów, tak, że mi nie grozi pozostanie na lodzie, czy raczej na wodzie. Niestety, o Apji, stolicy wysp Samoa nie można tego samego powiedzieć; nie radzą, zwłaszcza samotnym damom tam się zatrzymywać, tak, że muszę z wielkim swym żalem wyrzec się powziętego zamiaru zwiedzenia także i wysp Samońskich.

Wyjazd mój z Aucklandu nie odbył się tak marnie, jak przybycie do tego miasta, gdzie weszłam pieszo i samotnie. Tym razem jechałam z miasta do portu w eleganckim prywatnym pojeździe i licznem a wesołem towarzystwie. Jak do tego przyszłam, muszę ci opowiedzieć.

Oto będąc w Colyton, otrzymałam list od jednej z australskich przyjaciółek z wiadomością, że nasza wspólna znajoma, śliczna panna

S. z San Francisco, która ubiegłą zimę w Sydney spędzała, zaręczyła się, wracając do Ameryki, z pewnym panem M. z Aucklandu. Kiedy powróciła do Auckland, spytałam jednego z panów w pensjonacie, czy nie słyszał o p. M. »Pan M.? Ma się rozumieć, że słyszałam; każdy zna tego bogatego obywatela. Właśnie w tym tygodniu ma się on żenić w San Francisco« dodał, patrząc na mnie badawczo. »Wiem; żeni się on z moją dobrą znajomą« odrzekłam skwapliwie, bo zdawało mi się, że mię posądza o jakieś osobiste projekty względem pana M. »Tak, Pani zna pannę S.? Jakże mię to cieszy! Dziś właśnie zaproszony jestem na obiad do matki p. M., która jeszcze nie zna swojej przyszłej synowej. Muszę jej powiedzieć, że spotkałem dobrą znajomą panny S.«

Nazajutrz przez telefon zapytała mię pani M. czy może mię odwiedzić i o której godzinie. W ten sposób zawiązała się znajomość nasza a wczoraj spędziłam najmiłszy wieczór w jej domu. Dziś wydała zamężna jej córka »luncheon« na moje pożegnanie, a ponieważ parowiec odchodzi o drugiej, całe towarzystwo wprost stamtąd odwiozło mię do portu. Obasypana kwiatami, cukierkami i książkami, uroczyście pożegnałam Nową Zelandję.

Gdybym z moich podróży nic więcej nie przywiozła, jak wspomnienie wszystkich do-

brych i miłych ludzi, którzy mi życzliwość okazali w obczyźnie, już to samo stokrotnieby mię wynagrodziło za wszystkie poniesione trudy i przykrości.

37 list.

Statek »Alameda« na Oceanie Południowym, 24 stycznia 1897 r.



dziś niedziela, a niedziela na angielskim lub amerykańskim statku jest wielce nudna; nie można bowiem zająć się najniewinniejszą nawet rozrywką, nie narażając się na krytykę »dobrego towarzystwa«. A w dodatku drugą niedzielę z rzędu święcimy: wczoraj była niedziela 24 stycznia dla Wschodniej półkuli, a dziś 24 stycznia półkuli Zachodniej. Pojmujesz przecie, że jadąc ku Wschodowi zyskuje się 4 minuty na każdy stopień długości geogr., tak że przebywszy 180 stopni, czyli pół obwodu kuli, zyskujemy już cały dzień. Przeciwnie się dzieje w podróży od Wschodu ku Zachodowi, tak że statek płynący z Ameryki do Australji i jednocześnie z nami przybywający po 180^o nie miałyby wcale niedzieli, tylkoby od razu z soboty do poniedziałku przeskoczył. Niestety nie zastanawiałam się nigdy nad tym zarobkiem czasu, chociaż codziennie reguluję zegarek, a co się

tyczy tego 180 stopnia, ani pomyślałam, że muszę się na nim, czy też pod nim znaleźć odbywając podróż naokoło świata. Z tego powodu zdarzyła mi się przygoda, która mię wstydu nabawiła i której w życiu nie zapomnę. Wczoraj, czyli w pierwszą niedzielę zbliżył się do mnie jeden z oficerów naszego statku i prosił, bym z nim zagrała partyę »halmy«, najniewinniejszej gry w świecie. Czytałam właśnie zajmującą książkę, a przytem nie mając odwagi sprzeciwić się otwarciem zasadom dobrego towarzystwa, chociaż moim osobistym to się nie sprzeciwiało, odpowiedziałam: »Nie Panie, dziś przecież grać nie można, bo to niedziela!« Oficer oddalił się, nieco urażony, jak mi się zdawało i wczoraj już się do mnie nie zbliżał. Dzisiaj pisałam list w sali jadalnej, on wszedł, usiadł w przeciwnym kącie i zaczął gazety czytać. Skończywszy list, podeszłam do niego i rzekłam: »No, Panie S., może dziś partyjkę zagramy?« »Za nic w świecie« odpowiedział z przesadą: »ślubowałem odtąd nigdy nie grać w niedzielę«. »Bardzo się to Panu chwali, ale dziś przecież mamy poniedziałek i nic Panu grać nie przeszkadza«. »Przykro mi zaprzeczać Pani, ale dziś właśnie mamy niedzielę«. I powstała gorąca sprzeczka: ja mu dowodziłam najrozmaitszymi argumentami, że wczoraj była niedziela, wpadając w coraz

większy zapał, zwłaszcza, że mój przeciwnik ukryty za swą ogromną amerykańską gazetą, nie sprzeciwiał się, tylko od czasu do czasu z zimną krwią powtarzał: »Ja nie zaprzeczam Pani, tylko mówię, że dziś niedziela«. Wreszcie zabrakło mi cierpliwości i zawołałam zirytowana: »Nie, Panie S., albo Pan dziś do kieliszka zaglądał, albo Pan ma gorączkę; pójdę do doktora, żeby Panu puls pomacał« i wpadłam na schody a spostrzegłszy nagle kapitana na pokładzie, zawołałam poprzez poręcz: »Panie S. proszę na górę, niech kapitan rozsądzi!« Przeszedł najspokojniej, a ja ze zwycięską miną zbliżam się do kapitana i pytam; »Proszę Pana, czy dziś niedziela, czy poniedziałek?« »Dzisiaj niedziela, Miss Bögli«. Ostępiałam: czy ci ludzie powaryowali, czy może ja? myślałam z rozpaczą. Ale kapitan uspokoił mnie a raczej zawstydził, ostatecznie zapytując: »Czy Pani nie wie, żeśmy przebyli 180 stopień długości geogr.?« Rozjaśniło mi się w głowie, ale lica moje zapłynęły szkarłatem i... zamilkłam upokorzona.

Ocean Spokojny wcale nazwie swej nie odpowiada; przeciwnie, jest wielce burzliwy, tak że na pokładzie wytrzymać nie można. Nie wielu mamy pasażerów, a i ci siedzą w swoich kajutach. Dziś rano w niedzielę Zachodniej półkuli przybył w załodze »Alamedy« maleńki

obywatel: oby życie jego całe nie było tak burzliwe jak początek!

Mamy także grono Teosofistów z New Yorku, odbywających misyjną podróż naokoło świata. Dwaj moi sąsiedzi przy stole należą do tego stowarzyszenia, ale są bardzo milczący i żadnego nie czynią wysiłku celem nawrócenia mnie, czego mocno żałuję, bo chciałabym się zapoznać z teosofią. Na czele stowarzyszenia stoi dama, uważająca siebie za wcielenie (reinkarnację) pani Blawatskiej, założycielki tej sekty. Ku memu utrapieniu jest ona ciągle chora, a sąsiedzi moi tak szybko znikają od stołu, że straciłam nadzieję oświecenia się w tym kierunku. Za dwa, lub trzy dni przybędziemy do wysp Samoa, gdzie statek trzy godziny tylko się zatrzymuje; ja jednak wyląduję z pakunkami moimi i zatrzymam się na kilka tygodni, a to dzięki jednej współpasażerce, która mi dopomaga urzeczywistnić projekt, już zarzucony przedtem. Panna Schultze, rodem Niemka, stoi na czele wielkiej angielskiej szkoły misyjnej w Apji i tak prędko zbliżyliśmy się do siebie, że mi wczoraj zaproponowała, abym u niej została w Samoa, dopóki mi to będzie dogadzało. Czyż nie mam szczęścia?...



Pierwszy raz w życiu jestem na wyspie zupełnie egzotycznej i nie spotykam się co krok z cywilizacją europejską. Niema tu ani kolei żelaznych, ani elektrycznych tramwajów, ani telefonów; nie wiem nawet, czy mogłabym była zwiedzić te wyspy jako turystka, niema tu bowiem publicznych wehikułów, ani komunikacji. W całej Apji jest kilka pojazdów i to prywatnych: konsulowie mają swoje, panna Schultze swój i parę białych rodzin posiada ten zbytek. Zresztą przed trzydziestu laty archipelag Samoński bardziej był dzikim, niż teraz; dosyc w nim jednak oryginalności i prostoty, przedstawiającej pewien odpoczynek dla ducha, znuzonego cywilizacją.

Papauta, małe królestwo mojej miłej gosposi, ślicznie położona w lesie olbrzymich palm kokosowych, cienistych bananów i chlebowców poprzez które, blisko domu, sączy się srebrzysty strumyk. Jest tu największa szkoła misyjna dla dziewcząt samońskich, a mieści się ich około stu, zebranych z różnych wysp archipelagu. Księżniczka Fa'amu, jedyna córka króla, znajduje się między nimi a wszystkie są już dora-

stające lub dorosłe. — Nauka ich jest dość skomplikowana; oprócz zwykłych przedmiotów szkolnych, wprawiają się tu one w szyciu, praniu, gotowaniu; teraz bowiem kobiety samo-
ańskie przywykły się odziewać, podczas gdy mężczyźni, z wyjątkiem króla i pastorów chodzą, jak ich Pan Bóg stworzył, tylko jeszcze z pasem na biodrach. W spodniach nie widziałam jeszcze żadnego krajowca, bo i ci, co się chcą ubrać, noszą rodzaj długiego, białego fartucha do stóp sięgającego; na plecach biały kaftan, jak u nas kucharze.

Gdyby tak wejść niespodzianie na zgromadzenie posłów samo-
ańskich, wydawałoby się, że to jakaś konferencya kucharzy.

Przyznam się, że jestem już zakochana w Samo-
ańczykach. — Bronzowa ich piękność, chód elastyczny, wesołość, uprzejme obejście, — wszystko mię zachwyca. Zgadzam się ze zdaniem tego Anglika, który nazwał Samo-
ańczyków »królami oceanu Spokojnego«. Nie wszyscy jednak są tak dobrze dla nich usposobieni: niedawno pewien Niemiec, z którym o Samo-
ańczykach rozmawiałam, nazwał ich leniuchami i złodziejami, oburzony tem, że nie najmują się do robót w jego plantacyi, a w dodatku zrywają dużo kokosowych orzechów, nie prosząc go o pozwolenie.

Dziwiłabym się, gdyby Samoanie byli pra-

cowitym ludem: najprzód, jakżeby nim mogli być w klimacie, w którym biały zaledwie lat kilka wytrzymać może, a powtóre, na cóżby mieli ciężko pracować, kiedy ich ziemia sama prawie dostarcza środków żywności, a morze na brzeg prawie ryby wyrzuca? Na zimę nie potrzebują robić zapasów, bo tu wieczne lato panuje. Mieszkanie wiele nakładu nie wymaga: cztery słupy matą przykryte, każdy sam sobie z pomocą sąsiada urządzi. — O ubranie także się dotąd nie troszczyli, bo nie nosili żadnego, przywilej, którego im, szczerze powiedziawszy, nieraz zazdroszczę; w klimacie tutejszym bowiem, najlżejsza odzież cięży i dokucza. — Co do kradzieży nie można ich także zbyt surowo sądzić. Od kiedy są na świecie, przywykli używać swobodnie darów bożych, gdzie je znajdują: czy zobaczą orzech kokosowy lub chlebowiec przy swojej chatce, czy dalej trochę, to im wszystko jedno. Samończyk zje, gdy jest głodny, o pożywienie zaś musi tylko rękę wyciągnąć, więc pojąć nie może dlaczego inny człowiek bierze więcej, niż do wyżywienia się potrzebuje i w dodatku chowa to jeszcze. — Komunizm jest im wrodzony: dają równie chętnie, jak i biorą, a w języku ich niema słowa »proszę« ani »dziękuję«.

Nie tylko hojni są wyspiarze tutejsi, ale grzeczni i uprzejmi daleko bardziej niż lud

u nas. Onegdaj wybrałam się na samotną przechadzkę i natrafiłam na strumyk, ponad którym rzucono pień drzewa jako kładkę. Zatrzymałam się przed tym sielskim mostkiem, podziwiając bujną roślinność wokoło, gdy nagle ujrzałam dwóch krajowców wychodzących z poblizkiego lasu: weszli do wody po dwóch stronach kładki i wyciągnęli ku mnie ręce, na znak, że mię przeprowadzą. Czy najgrzeczniejszy kawaler europejski postąpił by inaczej? — Są oni także inteligentni i uczą się z największą łatwością, a co się nauczyli, pamiętają. Panna Schultze powiedziała kilku robotnikom z swej plantacyi przypatrującym mi się ciekawie, że przybywam ze Szwajcarji. — »To ich nie wiele oświeci«, zawołałam śmiejąc się — »bo cóż oni o Szwajcarji wiedzieć mogą!« — »Gdzie jest Szwajcarja?« zapytała ich p. S. — »W Europie, w środku Europy« — wykrzyknęło naraz kilka głosów. Zarumieniłam się, i nie tylko dlatego, że ich źle osądziła, ale gdyby mnie przed kilku laty ktoś tak nagle zapytał, gdzie jest Samoa, wyznaję, że nie umiałabym równie szybko i dokładnie odpowiedzieć. A moi przodkowie, od nie wiem już wielu pokoleń uczyli się, czytali i pisali, podczas gdy przed 25 laty wyspiarze ci nie mieli nawet pojęcia o tych umiejętnościach. Doprawdy, że wyższość umysłowa Europejczyków nie jest tak znaczna, jak sobie

wyobrażamy w porównaniu z naszymi brunatnymi braćmi.

Nie sądz jednak, żebym przestawała wyłącznie z krajowcami: nie, poznałam także Europejczyków i Amerykanów; a nawet wczoraj konsul niemiecki wydał »kawę« na cześć moją, chociaż jest kawalerem, ale ponieważ i tu, na archipelagu Samońskim, szanujemy pozory, — honory domu robiła młoda urocza żona niemieckiego pastora i zarazem nauczyciela.

Spotykam się także często z amerykańskim i z angielskim konsulem, przyczem usiłuję się dowiedzieć czegoś o potrójnym protektoracie, ale dotąd napróżno. — Wiem tylko, że od lat wielu Samoa jest jabłkiem niezgody pomiędzy trzema mocarstwami, tj. Ameryką, Anglią i Niemcami, że wszystkie te trzy państwa mięszają się do rządów archipelagu, utrzymują tu swoich konsulów i statki wojenne w porcie Apji. Widocznem jest także, że niezbyt sobie sprzyjają nawzajem, i mimo pozorów grzeczności posłałyby jedno drugie gdzie »pieprz nie rośnie«. Dlaczego trzy tak potężne mocarstwa spierają się o małą wysp gromadkę, pojąć nie mogę; możeś ty tam w Niemczech lepiej powiadomiona. Hegemonię zdają się tu mieć Niemcy: większa część ziemi do nich należy; ogromne plantacye kokosowców są ich własnością, handel w ich ręku przeważnie się znajduje, a król,

choć w głębi serca sprzyja raczej Anglikom, słucho jednak Niemców. Wprawdzie mówił niedawno konsul niemiecki: »Gdyby nam kto dobrze zapłacił, pozbylibyśmy się chętnie tutejszych posiadłości«; — ale ja jakoś nie bardzo temu dowierzam.

Jednego dnia spytałam znów angielskiego konsula: »Czemu Anglicy nie obejmą zupełnie tych wysp? Jeden rząd lepszy byłby, niż trzy naraz, a wogóle John Bull nie jest tak nieśmiałym w braniu czegoś.« — »Samoa byłaby za kosztowną dla nas posiadłością« — odparł konsul — »wyspy nie posiadają ani metali, ani drogich kamieni; ludność nie zdolna do pracy rolnej, a klimat nie właściwy dla białych osadników, — więc pożytek z takiej zdobyczy niewielki.«

To mię stanowczo przekonało i zrozumiałam, że Anglicy po to tylko tu siedzą, aby innych nie dopuścić. Zresztą oni tu najwięcej dla krajowców zrobili: wychowanie Samończyków od 25 lat jest w ich ręku, język tutejszy uczynili piśmiennym i wogóle ucywilizowali tubylców, ile się dało. — Wiedzą przytem Samończycy, że w osadach angielskich dobrze się dzieje; Anglja przez wieki wykształciła się na mocarstwo kolonialne.

Nazajutrz po mojem tu przybyciu złożyłam wizytę królowi Maleatoa Luapepa. Miss Schultze

towarzyszyła mi naturalnie i służyła za tłumacza; Jego Królewska Mość bowiem nie włada obcemi językami. Wypytywał o moje podróże i zdawał się tem wielce interesować. Zaimponowała biednemu monarsze kobieta, która bez żadnych prawie środków prócz własnej pracy, objeżdża świat dokoła. — Mówię »biedny« monarcha, bo rzeczywiście jest on biednym mimo swego królewskiego tytułu: do rządów nie wiele się mięsza; w tem wyręczają go Niemcy, a finansowo także nie świetnie stoi. Jeśli poddani jego akuratnie płacą podatki, dostaje mu się 75 talarów miesięcznie (pieniądze amerykańskie tu mają); jeśli nie, to musi przestać na 50. Niezbyt obfite uposażenie monarchy, prawda? — Nic wygląda też na szczęśliwego król Maleatoa: ma coś nieśmiałego, niepewnego w obejściu, jak gdyby się bał komu narazić. Coś tak, jak mąż trzymany pod pantoflem wymagającej i ostrej żony; tylko że tu, zamiast jedwabnego pantofelka występuje ostrogą podkuty but cesarza niemieckiego.



nów jestem w innym świata zakątku. Jestem gościem nie tylko Miss Schultze, ale jak gdyby całej angielskiej misji w Samoa, ze wszystkich bowiem stacyj misyjnych odbieram zaproszenia, a najczęściej przysyłają od razu po mnie statek.

Malua jest to niby Oxford Oceanji — rodzaj uniwersytetu, gdzie się kształcą synowie »magnatów« samozańskich; ale zarazem szkoła miejscowych pastorów i misjonarzy. Z Malua wysyłają setki wychowañców na rózne wyspy archipelagu, dla szerzenia tam chrześcijaństwa. Lepiej im się to udaje, niż białym misjonarzom, bo lepiej znają lud swój i nie wymagają za wiele cnót od razu. Wielkiej mądrości książkowej nie posiada pastor samoński, kształcony raczej w praktycznym kierunku, np. w rolnictwie i kunsztach w życiu codziennym potrzebnych. Biblię zna na palcach, ale zresztą z książkami nie wiele ma do czynienia, zwłaszcza, że cała literatura samońska składa się z kilkunastu książek przeważnie religijnych, tłómaczonych z angielskiego przez angielskich misjonarzy. Obcych języków nie uczą się, podczas gdy każdy angielski misjonarz — nauczy-

ciel musi poznać język krajowy. Amerykańscy i niemieccy duchowni nie zadają sobie tyle kłopotu. Z krajowców mało który włada angielskim językiem, król nawet, chociaż w misyi angielskiej wychowany, nie mówi tym językiem. Wyrażałam pannie Schultze swoje zdziwienie z tego powodu: »My nie chcemy z nich robić Europejczyków, ale użytecznych i uczciwych Samończyków« — odpowiedziała. Zagadką jest dla mnie również, jakim sposobem Anglicy, lekceważący w Europie języki innych krajów, po których podróżują nawet i nie będący w stanie ani jednego zdania poprawnie wymówić, tu uczą się w ciągu kilku miesięcy mowy samońskiej, tak że w niej nauczać i kazać mogą. Podobno język samoński ma być łatwy, ale ja tego na sobie nie doświadczam: od kilku tygodni chodzę ciągle z gramatyką samońską w ręku, a dotąd oprócz wyrazu »Talofa«, oznaczającego pozdrowienie, żadnego innego nauczyć się nie mogę. Mają, na przykład, kilka słów tłumaczących nasz czasownik być itp., a w dodatku posiadają dwa odrębne języki: jeden, w którym się przemawia do króla lub wodza znakomitego, a inny do zwykłych śmiertelników. Wszystko, co należy do znakomitości jakiejś, inaczej się nazywa niż ten sam przedmiot należący do zwykłego człowieka; i tak: dom znaczy fale, ale jeśli należy do

króla, choćby to była najzwyczajniejsza chata z si-
towia, już się nazywa ma o t a. I czasowników
innych używać trzeba przemawiając do zna-
komitych osób lub o nich. I l o a znaczy znać,
ale arystokratyczny wyraz na to samo będzie
filafia. Zato dźwięcznością i słodyczą brzmie-
nia język samoński przewyższa nawet włoski:
każdy wyraz tu kończy się na samogłoskę,
a nigdy dwie spółgłoski się nie spotykają.
Nasze nazwiska umieją oni tak ładnie przemie-
niać, że je poznać trudno, np. zamiast M i s s —
m i s i; z S c h u l t z e zrobili S u l e z a i bardzo
kochają swoją »Misi-Suleza«. Ciekawam jakby
sobie poradzili z polskimi nazwiskami, jak
Chrzyszczyński lub Trzetrzewiński? Moje na-
wet uległo pewnej zmianie: jestem tutaj »Misi
Bogeli«, ale wolą moje chrzestne imię Lina,
które się im odrazu podobało i wybornie ry-
muje z samońskimi, a że się kochają w wier-
szach, więc mi ofiarowują poematy lub ukła-
dają modlitwy, gdzie »Misi Lina« co chwila
się powtarza. Poczciwi, modlą się o to, by mi
klimat służył, by się podróż udała, żebym
zawsze zdrowa była itp.

Przeszłej niedzieli przystępowałam do Ko-
munii razem z maluańskimi studentami, co im
podobno wielką sprawiło przyjemność. Wogóle
rzadko tu widują obce damy, a jeszcze taka,

co z chłodnej Szwajcarii przybywa musiała ich mocno zainteresować.

Zamiast wina, używamy tu mleka kokosowego. W Apji, gdzie się krajowcy z marynarzami i kupcami stykają, poznano się już z wysokowymi napojami, ale tutaj misjonarze potrafili ich jeszcze od pijaństwa uchronić.

Posiadają wprawdzie Samończycy napój ulubiony, którego nie wolno dużo używać, chociaż na razie nie uczuwa się złych skutków: jest to sok z korzenia Kaawa niegdyś przez nieuwagę któregoś z bożków zanieiony na wyspy. Zapalony amator soku z »Kaawy« traci po kilku latach władzę w członkach i świeżość umysłu. Misjonarze tutejsi potępiają używanie tego napoju jak u nas alkoholu, ale zdaje mi się, że z tym samym skutkiem. I ja, chociaż wiedziałam o tem potępianiu, zapragnęłam skosztować napoju bogów; urządzono więc raut kawaowy na moją cześć i to u samego króla, który jest w przyjaźni z dyrektorem szkoły maluańskiej.

Tyle już pisano o przyrządzaniu korzenia Kaawa, żeś i ty o tem słyszała i dowiedziałaś się, że korzeń w obecności gości pogryziony i przeżuty przez młodych chłopców i dziewczęta, bywa wypluwany w dużą misę i tam zaprawiony świeżą wodą. Szczęściem jest i inny, bardziej nowożytny sposób przygoto-

wywania napoju tego, za pomocą tarki blaszanej, a że mnie, jako gościowi pozostawiono wybór, prosiłam, naturalnie o ten drugi sposób, zwłaszcza, że chciałam skosztować, nie tylko zobaczyć.

Siedzieliśmy wszyscy naokoło misy a dwie dziewczynki tarły korzeń; potem dolały wody, wyłowiły włókna palcami i koniec. Podawanie jednak połączone jest z pewnemi ceremoniami. Jedna tylko jest czara kokosowa na całe towarzystwo, a przewodniczący wymienia po kolei osoby, które pić mają: dziewczeczka zbliża się z napełnioną czarą, okrąża nią po trzykroć nad głową swoją i przyklękając na jedno kolano, podaje gościowi. Zwykle wypija się wszystko naraz, ale ja zaledwie kilka łyków wypić mogłam. Niezły jest ten ładny, brunatny płyn: na razie gorzkawy, ale zostawia bardzo przyjemny, słodki posmak.

W wilię mego wyjazdu z Apji byłam na podwójnem weselu: dwie wychowanki z Papauta poślubiały młodych pastorów z Malua. Ślub sam nie wiele się różnił od zwykłych protestanckich, ale uczta weselna nie zupełnie podobna do europejskich. Do jedzenia nakryto w ogrodzie pod wspaniałemi palmami, rozciągając na ziemi najpiękniejsze liście bananowe, na których, jak na obrusie rozłożono wszelkie przysmaki, łechcące samozańskie podniebienie,

więc: ryby, taro, chlebowy owoc, banany, melony, trzcina cukrowa i, ni mniej ni więcej, tylko ośm w całości upieczonych świnek! Wszystko to przynoszą krewni młodej pary. Goście zaś składają podarki z tapy, materji wyrobionej z wewnętrznej kory drzewa morwowego, albo cienkie, z liści i kory wyplatane maty, najpożądańszą rzecz dla Samończyka. Dary te jednak składają się rodzicom narzeczonych: młoda para nic nie dostaje.

Zamieniwszy powinszowania i podarki, siadają wszyscy do stołu, czyli lokują się na ziemi, co nie dla wszystkich jest wygodne, zwłaszcza, gdy uczta dłużej trwa. Najprzód mowy przychodzą, bo Samończyk tak jest wymowny z natury, że nie czeka, by mu wino język rozwiązało; mówią oni łatwo, z widoczną przyjemnością wszędzie, gdzie się sposobność nadarzy. Kiedy wszystkie znakomitości w zgromadzeniu przemówiły kolejno, — zaczęło się jedzenie, ale jakie! Obym tego była nigdy nie widziała! gdyż uwielbienie dla pięknych, majestatycznych Samończyków mocno zachwianem zostało. Dobre jest przysłowie: »jak cię widzą (przy stole zwłaszcza), tak cię piszą«. Nie powiem, żeby biesiadnicy nasi przy jedzeniu łokcie na stół kładli, albo noże do ust, nie, tego nie robili, nie było bowiem, ani stołu, ani sztućców; ale świnki pieczone rozrąbawano

siekierą i każdy z gości porwawszy kawał spory w ręce, rozrywał go łapczywie zębami, podczas gdy tłuszcz ściekał mu po palcach. Tak musiały wyglądać uczyty ludożerców.

Wina nie było wcale, tylko mleko kokosowe od razu z orzechów, otwieranych na stole (zawsze ten stół!) i tak jest najlepsze. Zresztą mleko kokosowe wcale nie podobne do zwykłego: z bezbarwności raczej do wody podobne a ze smaku do lekkiej limoniady; dobre, jest tylko, gdy orzech świeżo z drzewa zebrany i zielony, nim stwardnieje kopro, czyli mięso orzechowe. Ma się rozumieć, że owoce i tutaj spadają z drzewa dopiero dojrzałe, nie łatwo więc przychodzi dostać je zielone. — Kokosowce bardzo wysokie, mają pień zupełnie gładki, tak, że włożenie nań jest prawdziwą sztuką i młody Samończyk ćwiczy się w tem od dzieciństwa. W dniu, kiedy przyniesie pierwszy orzech kokosowy z wierzchołka drzewa, pasowany jest na mężczyznę: to jego dyplom.



d kilku godzin jestem w Misii apijskiej i czekam na parowiec, mający mię zabrać od miłych Samoańczyków do Honolulu. Może przyjsć w nocy, może jutro rano — nikt nie wie dokładnie, gdyż Samoa nie posiada telegraficznego połączenia. Kto chce odpłynąć, musi zawczasu przez dzień lub dwa być przygotowany, aby za pierwszym gwizdnięciem włożyć kapelusz i rękawiczki i spieszyć na statek. Ja też od wczoraj jestem w pogotowiu: kufry zapakowane a nawet zamknięte. Tymczasem oddaję wizyty pożegnalne, a jednym uchem słuchając rozmowy, drugie nadstawiam na oczekiwaną gwizdawkę.

Wczoraj byłam w Wailima uroczej siedzibie podzwrotnikowej sławnego angielskiego pisarza Stevensona (Roberta Ludwika), którego żona i pasierbica, dwie nadzwyczaj przyjemne panie także tu mieszkają i wiele mi uprzejmości okazały. Przy tej sposobności poznałam pewną młodą damę, której Stevenson darował swój dzień urodzin. Jest ona córką amerykańskiego prezydenta sądu i urodziła się 29-go Lutego, na co się kiedyś uskarżała w obecności znakomitego pisarza, narzekając, że raz tylko na

cztery lata może obchodzić swe urodziny. Otóż uprzejmy Stevenson przekazał jej sędownie swój dzień urodzin, który w dogodniejszą porę przypadał.

Pożegnanie moje z Papautą dziś rano było wspaniałe. Dziewczęta ze szkoły, wszystkie w bieli, mężczyźni, kobiety i dzieci z sąsiedztwa, słowem, cała uroczysta procesya, przysłała mię żegnać. — Przytem śpiewali pieśń dla mnie ułożoną, a każda osoba z kolei, uściskawszy mi rękę, składała u stóp mych podarek, tak, że w końcu stałam przed całą górą tkanin samońskich, mat, wachlarzy, kapeluszy i innych miejscowych wyrobów. Nie mniej niż czterdzieści pierścieni i tyleż prawie broszek szyldkretowych znalazło się między upominkami, oraz szata z tapy samońskiej. Nie jest ona piękna i wątpię, czy próżność moja dozwoli w nią się ustroić, ale zabiorę ją, by podarować jakiemu muzeum; wyroby z tapy, bowiem stają się coraz rzadsze i niebawem zanikną zupełnie. Co do kapeluszy w liczbie trzynastu, te musiałam zostawić w Papauta, obawiając się celników w San Francisco, którzy i tak niewiadomo, co powiedzą, zrewidowawszy magazyn, jaki wiozę z sobą.

Dziś popołudniu wozila mię jeszcze na pożegnalny spacer królowna Fa'amu. Niema tu wielu dróg jezdnych: Apja, stolica samońska

posiada jedną długą ulicę, a gdzie się ta kończy, już i drogi niema; na wyspie są tylko drogi prywatne w plantacjach niemieckich, tak, że spacerować można tylko pieszo lub konno.

Królewna jest miła dziewczeczka i wykształcona w europejskiem nawet znaczeniu słowa. Przebywszy lat kilka na pensyi w wyspach Fidzi, mówi doskonale po angielsku, ale też i zagustowała w modach europejskich. Jestto jedyna Samoanka ubierająca się zupełnie z europejska i wygląda, wyznać trzeba, nieco dziwnie, zwłaszcza, że przesadza w tem: nosi na przykład gorset, co jest prawdziwą męczarnią w tutejszym klimacie i ubiera się z upodobaniem w ciemne wełniane materyały, na sam widok których już się robi gorąco; wreszcie (last not least) wciska nóżki swoje, które przez lat ośmnaście wolno po świecie biegały, w najciaśniejsze buciki lakierowane, jakie w Apji znaleźć może!

Przeszłej niedzieli wieczorem poszliśmy razem do kościoła anglikańskiego. Jej królewska Wysokość obciśnięta w ciężką wełnianą ciemną suknię i nowiutką parę bucików, wyglądała, ku swemu widocznemu zadowoleniu, ogromnie europejsko, z wyjątkiem włosów i cery. — Cudna była noc księżycowa, zaproponowałam więc powrót do domu pieszo. Zaledwie zeszliśmy na boczną drogę, aż tu moja księżniczka

siada na ziemi i zdejmuje co prędzej buciki i pończoszki. »Ach, teraz mi dobrze dopiero!« wykrzyknęła radośnie, brodząc w miękkim, ciepłym piasku. Dlaczego sobie zwykle nie pozwala na taką wygodę, pojąć nie mogę, zwłaszcza, że w stroju przyjętym przez cywilizowane Samoanki, wyglądałaby daleko lepiej. Samońska szata spada w luźnych fałdach od ramion ku ziemi, często bywa powłóczysta, a wygląda wdzięcznie i najlepiej przystoi paniom spędzającym życie w słodkiem »far niente«. Ja jednak nie należę do tej klasy ludzi, muszę sobie odmówić samońskiego stroju.

»Parowiec idzie« — słyszę wołanie. Jest to niestety statek »Zealandja«, jeden z najstarszych i najgorszych w Kompanji, i nawet nie bywa używany do większych podróży, ale tym razem zastępuje inny. Jest to w dodatku czas burz na oceanie, więc przyznam ci się, że tym właśnie razem obawiałam się puszczać w podróż. List ten jedzie ze mną razem; jeśli go odbierzesz, przekonasz się, że i ja jestem w liczbie żyjących. Do widzenia więc na Północnej półkuli.



dziś o kwadrans na pierwszą przeszliśmy przez równik i wydaje mi się, że jestem o setki mil bliżej Europy, niż byłam przed godziną. Miałam pod ręką pióro i atrament na pokładzie, bom chciała zrobić sobie sentymentalną przyjemność napisania do ciebie w chwili, gdy będę wpływać na Północną półkulę; inaczej jednak zrządził los, a raczej Ocean Spokojny. Chociaż morze dziś wielce niespokojne, siedziałam cały ranek na pokładzie. Utulona w fotelu z budką i owinięta szalami od stóp do głowy mimo zwrotnikowej strefy, dawałam się obryzgiwać falom i czytałam Marka Twain'a. Każdy płynący statkiem powinien się zaopatrzyć w tomik Marka Twain'a, bo z niczem tak nie przechodzi czas a nawet choroba morska, jak z tym humorystą amerykańskim. W jednym z najweselszych ustępów książki przerwał mi krzyk: »przejeżdżamy równik!« Odwróciłam się, aby spytać o coś jednego z oficerów, ale w tej chwili olbrzymia fala zwała się na pokład zalewając wszystko, co tam znalazła. I ja z fotelom wypłynęłam nagle w górę, pędząc jak strzała ku poręczy statku. Gdyby nie stojący

w pobliżu oficer, który schwycił nas, to jest fotel i mnie w przelocie, nie pisałabym tego listu do ciebie z pewnością, ani też żadnego innego na tym świecie. Co się tyczy papieru, pióra i kochanego Twain'a, wszystko utonęło w głębiach oceanu i dziwi się, nie mając mnie przy sobie. Tak więc zostałam ochrzczona przy przejściu równika!

Podróż morską przy takiej pogodzie i takim oceanie, nie jest zbyt ponętna. W dodatku towarzystwo mamy najnudniejsze w świecie: wyobraź sobie, że jest z nami sześć par, odbywających podróż poślubną. Już jedna jest dość nudna do oglądania, a cóż dopiero mieć ustawicznie sześć przed oczami! W dodatku statek jest tak mały, że wszyscy się co chwila spotykają, a pary wszystkie nie młode, nawet bardzo niemłode, i wszystkie głupie się wydają. Nie wiem, jak wytrzymam jeszcze pięć czy sześć dni w tem towarzystwie, zwłaszcza straciwszy Marka Twain'a. Oprócz par weselnych posiadamy jeszcze chorego na żołądek Amerykanina, który, jak mi mówił, podróżuje już od lat piętnastu, szukając stosownego klimatu. Powinienby mieć dużo do opowiadania, ale niestety, jest to człowiek, który wszędzie siebie tylko widzi, nigdy więc nie będzie zajmujący, a zawsze chorym. Żałuję go zresztą i chciałam mu dopomóc zachwalając klimat

Tasmanji, N. Zelandji i kilku lecznic europejskich, ale zna je wszystkie i każdemu ma coś do zarzucenia. Będzie więc do końca życia szukał idealnego klimatu i napróżno, biedny milioner!...

42 list. Honolulu, Sandwichski archip. 6 marca 1897 r



estem tedy w Honolulu, tym »raju Pacyfiku« i znajduję, że co do piękności położenia, zasługuje ono zupełnie na to miano. Piękniejszego widoku, niż ten, który się nam przedstawił wczoraj, gdy Zealandja wpływała do portu, nie miałam dotąd. Na prawo olbrzymi, jak lew śpiący, wygasły wulkan »Diamond head«, przed nami lesiste pagórki, u stóp których z ogrodu najbujniejszej zwrotnikowej roślinności wykwita śliczne Honolulu. Nawet rzeczywistego rajy tak zachwycająco nie przedstawiałam sobie. Z blizka wrażenie potęgowało się jeszcze. Zamiast chórów anielskich, serafinów i cherubinów, mieliśmy wspaniałe dźwięki narodowej pieśni hawajskiej »Hawaj Ponoj« odegranej w chwili, gdy statek nasz wpływał do portu przez orkiestrę »królewską« dawniej, dziś republikańską. (Wyspy Sandwich czyli Ha-

waji od 1893 r. są rzecząpospolitą; od 1898 zaś przeszły w posiadanie Stanów Zjednoczonych amerykańskich). Jeżeli to jest zwyczaj hawajski witać muzyką przybywające statki, bardzo mi się on podoba; orkiestra zaś hawajska, chociaż się może nie równa z orkiestrą 13-go pułku w Krakowie, jest jednak wyborną. Hawajczycy są, jak ich współbracia Samoanie, muzykalni z natury; kapelmistrzem ich zaś prawdziwy artysta, kapitan Berger, którego niegdyś król »Kalakana« z Niemiec ze sobą przywiózł, aby poddanych jego muzyki uczył. Codziennie orkiestra ta ma grywać na placu publicznym w Honolulu.

Kto, jak ja, nie wiele o Honolulu czytał, a przybywa tam wprost z Samoa, spodziewa się znaleźć taki sam stan rzeczy, ponieważ oba archipelagi leżą na tym samym oceanie, w tej samej strefie, z jednaką roślinnością i rasą ludzką. Jakże dziwno zobaczyć, z wyjątkiem roślinności, wszystko inne. Podczas, gdy Apja, stolica samońska wygląda na cichą wieś, nie znającą ani pary, ani elektryczności, Honolulu, chociaż liczy zaledwie 30.000 mieszkańców — jest naprawdę wielkiem miastem, najbardziej, jak być może, nowożytnem. Oświetlone elektrycznie, ma w każdym domu telefon, na każdej ulicy tramwaj, a pociągi parowe przelatują z jednego końca wyspy na drugi. Krajowcy, należący

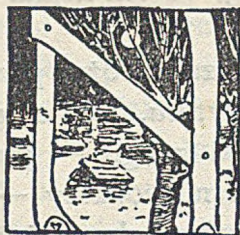
równie, jak Samoańczycy i nowozelandzcy Maorysowie do rasy malajskiej, piękni są także, ubierają się po europejsku, mówią po angielsku i sprawują rozmaite urzędy, zupełnie, jak biali. W jednym tylko względzie różni się Honolulu od miast europejskich: nie ma żebraków. Tem się także korzystnie wyróżniają wyspy oceanu Spokojnego od Indyjskich. Od kiedy opuściłam Australję, nie spotkałam już żebraka. Prócz tego trzy archipelagi — Nowa Zelandja, Somoa i Hawaj (czyli Sandwichskie) nie mają wcale węzów, co jest tem dziwniejsze, że w sąsiedztwie ich, np. archipelag Fidżi, roi się od węży. Przed kilku laty jakiś właściciel plantacyi cukru przywiózł kilka węzów, chcąc je rozmnożyć jako myszołowców, ale robotnicy hawajscy ubili bestye te natychmiast, za co ja przynajmniej, żywą czuję dla nich wdzięczność.

Większość białych mieszkańców Hawaj są to Amerykanie, ale jest też wielu Anglików i Niemców między plantatorami i kupcami. Wszystko razem nosi cechę amerykańską, stąd bowiem pochodzi rząd cały, ministrowie i prezydent młodej republiki. Cywilizacja tu z amerykańską, zaiste, rozwija się szybkością: Hawajczycy przed 70 laty byli dzikimi; dzisiaj co do kultury mierzyć się mogą z każdym narodem europejskim a nawet przewyższają ludy południowej i wschodniej Europy, bo nie ma

ani jednego zamieszkałego zakątka archipelagu Hawajskiego bez szkoły; każdy zaś z krajowców czyta i pisze w dwóch językach — po swojemu i po angielsku. Jeżeli spotyka się alfabetów, to pomiędzy przybyszami. Honolulu, liczące 30.000 mieszkańców (w tem 8 tysięcy białych) posiada przeszło 30 szkół; między temi gimnazyum, z którego uczniowie ukończeni jadą do amerykańskiego lub angielskiego uniwersytetu. Język w szkołach wykładowy angielski, profesorowie przeważnie Amerykanie.

Miasto ma piękną bibliotekę publiczną, otwartą cały dzień i wieczór z 10.000 tomów i główniejszemi czasopismami całego świata cywilizowanego. W samym Honolulu wychodzą cztery gazety codziennie w języku angielskim i wiele innych w hawajskim, portugalskim, chińskim, japońskim itp. Taką jest amerykańska cywilizacja!

Tyle ci powiem na dziś o Hawajczykach; resztę później, gdy się zżyję z miastem i mieszkańcami, co mi zapewne nie trudno przyjdzie, bo znalazłam dogodne pomieszczenie w chińskim domu misyjnym.



ie mogłam lepiej trafić, jak do tego domu misyjnego. Dyrektor szkoły p. Damon jest synem dawnego amerykańskiego misjonarza i tu się rodził. W młodych latach służył w dyplomacyi i za czasów króla Kalakana spędził lat kilka w Berlinie przy poselstwie hawajskiem. W Genewie nauczył się po francusku i powziął nadzwyczajne uwielbienie dla naszej Szwajcarii. W Chinach, dokąd się udał przed dziesięciu laty, zakochał się w ślicznej córce misjonarza amerykańskiego, że zaś panna nie chciała ręki swej oddać nikomu, tylko misjonarzowi, rzucił dyplomacyę i sam został misjonarzem i cudów dokazuje w swej szkole chińskiej, ma się rozumieć ze współudziałem inteligientnej, miłej i praktycznej małżonki. Nie sądzę jednak, żebyśmy my biali pensjonarze byli tak zmieszani pêle mêle z Chińczykami. Ci mieszkają osobno i oddzielną kuchnię prowadzą, tak, że musimy iść do nich, jeśli ich zobaczyć chcemy. Ja często i z przyjemnością chodzę do klas i przysłuchuję się lekcyom, a co wieczora mogłabyś mnie ujrzeć w ogrodzie lub w wielkiej sali, otoczoną gronem żółtych synów Niebieskiego państwa, którym opowia-

dam o moich podróżach, zwłaszcza o Europie i tamtejszej młodzieży szkolnej, co ich najbardziej zajmuje.

Także chińską szkołę dziewcząt założył pan Damon, ale poza obrębem instytutu. Tam daję co niedzieli parę godzin nauki religii — jak widzisz jestem pod wpływem misjonarzy — i już się serdecznie przywiązałam do moich milutkich chińskich »meiteli«. Uwierzysz łatwo, że jestem zadowolona, bo, gdzie tylko mam młodzież wokoło siebie, czuję się szczęśliwą. Wdzięczną jestem losowi, a raczej tej pani, która mi dała adres Instytutu misyjnego; państwo Damon bowiem, są nie tylko najmiłszymi z ludzi, ale w dodatku zaprzyjaźnieni lub spokrewnieni z najznakomitszemi rodzinami kolonistów tutejszych. Na przykład minister finansów hawajski jest bratem pana Damona; za ich więc pośrednictwem zawieram przyjemne i użyteczne znajomości. Postanowiłam nie tylko miesiąc tu zostać, jak zamierzałam pierwiej, ale wykorzystać cały termin swego sześciomiesięcznego biletu — Sydney — San Francisco. Australskie moje oszczędności pozwalają na to, a kto wie, czy kiedykolwiek później będę miała sposobność przebywania w raju?

Niedawno miałam nader przyjemne odwiedziny pewnej pani Tarnsworth, urodzonej w Turgowji u nas, a mieszkającej od 25 lat w Ho-

nolulu, gdzie mąż jej jest sternikiem portowym. Przez ćwierć wieku nie spotkała rodaczki; ona zaś i konduktor tramwajowy pan Waldrogel z Szafuzy, są jedynymi tu Szwajcarami. Pani T. dowiedziała się z gazet, które w braku innego materiału, zamieszczają dużo wiadomości osobistych — o przybyciu szwajcarskiej podróźniczki naokoło świata, i przyszła mię pozdrowić. Nie potrzebuję dodawać, że stosunki nasze szybko się zacieśniają, a dom pani T. stał się dla mnie jakby rodzinny.

44 list.

Honolulu, 11 kwietnia 1897 r.



dyby mię dzisiaj kto śledził, doszedłby do przekonania, że jestem nadzwyczajnie pobożna, byłam bowiem aż trzy razy w kościele: zrana w chińskim, po południu w kaplicy japońskiej przy niedzielnej szkole, a wieczorem na amerykańskim nabożeństwie. Nie sądź jednak, bym odwiedziła pogańsko-chińską świątynię, tegobym się nie poważyła uczynić w niedzielę, w mieście tak surowo protestanckiem, jak jest Honolulu — nie, byłam w chińsko-protestanckim kościele. Nie mogę powiedzieć, bym się tam dużo modliła; nie byłam też zbudowana

kazaniem, bo je wypowiedziano w języku chińskim, jednym z wielu nieznanym mi jeszcze. A jednak wydało mi się, że znam te dźwięki, że je gdzieś, kiedyś słyszała. Gdzie? Nie w Chinach, bo tam nie byłam, a z Chińczykami w drodze napotkanymi rozmawiałam po angielsku. Gdzież więc słyszałam tę brzydką gardłową mowę? Zamknęłam oczy, żeby się lepiej zastanowić i nagle skrzydlate słowa pastora uniosły mię o tysiące mil, do małej galicyjskiej miejsciny Radomyśl, zamieszkałej, jak często polskie miasteczka, głównie przez Żydów. Tam kiedyś na jarmarku przysłuchiwałam się dziwaczному żargonowi zmieszanemu z przekręconych niemieckich, polskich i hebrajskich wyrazów. Tak, więc ten szorstki, charkoczący szwargot wspólny jest żydowskiemu i chińskiemu językowi; najbardziej to nieharmonijny ze wszystkich, jakie słyszałam.

Że śpiewy nie świetnie wypadły, łatwo uwierzysz, a jednak synowie niebieskiego państwa ogromnie się wysilali — napróżno; któżby zdołał wydobyć melodyę z tego rozbitego garnka. Ani śpiewać, ani śmiać się nie umieją Chińczycy. Spędziłam niedawno trzy godziny w chińskim teatrze i śledziłam za jakimkolwiek wyrazem na tysiącu twarzy chińskich, ale mimo całego komizmu na scenie i swawolnych dźwięków muzyki, twarze widzów pozostały ka-

mienne, obumarłe. Czy im braknie duszy czy nerwów?

Nie są oni przyjemni, ani ujmujący, a jednak uczuwam dla nich głęboki szacunek. Widziałam ich w Australji jako ogrodników, tutaj we wszystkich domach jako służących i podziwiam ich niezmordowaną, dokładną, wytrwałą pracowitość. Mówiły mi rozmaite gospodynie domu, że raz przywykłszy do Chińczyków, nie można znieść innych służących. Pracują spokojnie, jak automaty, a dwa razy więcej niż biały sługa; przytem nie zdarza się, by cośkolwiek zapomnieli lub zaniedbali. Wprawdzie panie muszą się porozumiewać na migi, rzadko bowiem sługa chiński rozumie dobrze po angielsku, ale wystarczy mu raz co wskazać, by zapamiętał na wieki. A naśladują tak dokładnie, że trzeba być niezmiernie uważnym w pokazywaniu. Opowiadała mi tu jedna pani, że ucząc kucharza Chińczyka, jak się robi angielski pudding, musiała wyrzucić drugie jajko, które było nieświeże. Odtąd kucharz za każdym razem wyrzuca drugie jajko, przyrządzając taki sam pudding; myśli zapewne, że to ofiara dla jakiegoś bóstwa Chrześcijan, a może i nic nie myśli. Ale dość o synach Niebieskiego państwa!



ówią, że cudzoziemiec wtedy dopiero czuje się zadomowionym w jakiejś miejscowości, gdy prowadzi lokalną korespondencyę. Otóż ja w ostatnich tygodniach tak żywo ko-

respondowałam z rozmaitemi wyspami hawajskimi, żem zaniedbała swoich europejskich przyjaciół. Niedawno otrzymałam list od jednej z moich przyjaciółek, Polki, która pisze, że dowiedziawszy się z gazet o istnieniu kolonii polskiej w Hawaj, prosi mię o wyszukanie jej rodaków i doniesienie, co i jak znalazłam. Ma się rozumieć, że najprzód trzeba było znaleźć, gdzie się znajduje owa kolonia i w tym celu odwiedziłam niemiecko-austryackiego konsula. Ten nic nie wiedział o kolonii polskiej a nawet wątpił, czy są zgoła Polacy w Hawaj. Ja zaś z własnego doświadczenia pamiętałam, żem się sama np. nigdzie nie meldowała u szwajcarskiego konsula, a jednak lata całe spędziłam w krajach tutejszych. Co osoba, to nie kolonia wprawdzie; otóż postanowiłam szukać dalej. Przyjaciółka moja wspomniała, że osadnicy polscy pracują w jakiejś plantacyi; więc zwróciłam się do zarządów wszelkich plantacyj cukru lub kawy na Hawajskim archipelagu. Dzisiaj

odpisał mi ostatni z tych panów, twierdząc, że niema ani śladu polskiej osady. Czy to nieświadomość lwowskiej gazety, czy kaczką dziennikarską? nie wiem. Wogóle mało tu jest białych osadników; natomiast pracują Japończycy i Chińczycy, którzy znacznie lepiej klimat tużejszy znoszą i zadawalniają się bajecznie małą płacą. Dwanaście do piętnastu dolarów miesięcznie dostaje robotnik na plantacyi i sam się musi żywić. Otóż Azyaci żyją przeważnie ryżem, a że to produkt miejscowy i bardzo tani, mogą nawet robić oszczędności. Jakżeby mógł za te pieniądze wyżywić siebie i rodzinę biały robotnik w kraju, gdzie wszystko prawie drogo kosztuje.

Inaczej rzecz się ma z białymi rzemieślnikami: ci są dobrze płatni. Murarz zarabia do pięciu dolarów dziennie, cieśla lub malarz trzy do czterech dolarów za dzień roboczy 9-cio godzinny. Dolar równa się, jak wiadomo, pięciu frankom; ale trzeba zważać i na to, że wszystko tu drogo kosztuje. Zboża na miejscu nie uprawiają, a ziemia zajęta pod plantacje kawy i cukru, tak że wszelką żywność sprowadza się z Kalifornji, o jakie 2000 mil angielskich. Funt mięsa kosztuje około franka do 1.25; chleb 50 centymów za funt, masło 2—4 franków, ziemniaki po 10 centymów, a szklanka piwa lub wódki aż jeden i ćwierć franka, więc

upić się tu nie łatwo. Robotnik biały nie długo tu wytrzymać może, chociaż temperatura przez cały rok jednakowa, chwieje się tylko między 12° a 32° C, nie dochodząc do wielkich upałów, a klimat wydaje się zdrowy bardzo. Epidemie rzadko się zdarzają; zwiedzałam także w ostatnich tygodniach ze 20 szkół i 6 ogródków dziecięcych, a wszędzie zauważyłam zdrowe i świeże twarzyczki dziecinne. Łatwo jednak pojąć, że w kraju, gdzie wieczne lato panuje, energia słabnie zwolna. Na sobie tego wcale nie doświadczam dotąd; przeciwnie wydaje mi się klimat ten najidealniejszym w świecie, i ku zdumieniu Honolulczyków robię milowe wycieczki po górach sąsiednich i cudnych dolinach wyspy Oalue. Szkoda, że tu tak rzadko pieszo chodzą, zwłaszcza biali, bo kraj jakby stworzony do pieszych wycieczek: węzów nigdzie, kurzu mało a roślinność bujna niezmiernie, co dzień bowiem trochę deszczu spada. Ale deszcz to krótki i miejscowy, tak, że skrapia jedną część miasta lub wyspy tylko; czasem z jednej strony ulicy deszcz pada, z drugiej strony słońce świeci. Honolulczycy chwalą się, że niema u nich dnia w roku, w którymby słońce się nie ukazało; przez trzy miesiące mego tu pobytu tak się dzieje rzeczywiście, ale też i nie było dnia bez kilku przynajmniej

kropel deszczu. Nic dziwnego, że wyspa wygląda, jak ogród wiecznie kwitnący.

Gdyby ten archipelag nie leżał tak daleko od reszty świata, zdaje mi się, że po ukończeniu mej podróży naokoło świata powróciłabym tu na stałe. Ale świadomość tego, że mię dwa tysiące mil angielskich dzieli od wszystkich innych części świata i że, w dodatku, nie mogę wyjechać, kiedy mi się podoba, tylko wtedy, gdy się statek zjawi — odbiera mi chęć osiedlenia się w Honolulu. Jestto jedyna czarna strona tego słonecznego raj.

46 list.

Honolulu, 5 lipca 1897 r.



Honolulu śpi dzisiaj, przez dwie noce bowiem, nie użyło ani chwili spoczynku, obchodząc narodową uroczystość amerykańską 4-go lipca. Chociaż Hawai nie należy jeszcze do Ameryki, obchodzi jednak urodziny swobody amerykańskiej z takim zapałem, jak gdyby stanowiło część Stanów Zjednoczonych. Onegdaj o samej północy obudziła nas serenada z Yankee-Doodle, i od tej chwili muzyka, śpiewy i ogień sztuczne nie ustały aż do dziś rana. Trzeba widzieć młode narody obchodzące święto na-

rodowe, żeby pojąć, co to jest patryotyzm; my starzy już się zanadto do staruszki ojczyzny przyzwyczaili, żeby ją umieć uczyć, jak się należy.

Prosiłaś mię w ostatnim liście, żebym uporządkowała nieco ten chaos nazw hawajskich: Sandwich, Hawaj, Kamehameha, Kalakaua, Liliuokalani itp., które ci się w głowie mieszają. Otóż dowiedz się że: po pierwsze: wyspy Sandwichskie i Hawaj to zupełnie wszystko jedno. Angielski żeglarz Cook, odkrywca w 1778 r. archipelagu ten, nazwał go wyspami Sandwich, na cześć ówczesnego sekretarza Stanu Wrda S. i tak je zwykle nazywają w Europie, ale krajowcy i Amerykanie trzymają się nazwy Hawaj. Opowiadają nam także, iż Cook został zamordowany i zjedzony przez wyspiarzy, podczas gdy tutaj nikt temu nie wierzy. Najuczestszy człowiek na archipelagu, historyk hawajski, profesor Aleksander upewniał mię, że wprawdzie Cook został tu zamordowany, ale z własnej winy (profesor tak mówi); że zaś Hawajczycy nigdy ludożercami nie byli. Gdy Cook wylądował, przyjęli go krajowcy, jak bożka, sądząc że to jest »Louo«, Mesyas, którego od wieków oczekiwali. Kapitan przyjmował spokojnie hołdy i cześć boską, jaką mu oddawano i za to, widocznie, skarali go bożkowie! Dnia jednego wybuchł zatarg pomiędzy marynarzami

a krajowcami i mniemany bożek zbliżył się do walczących, tak, że przypadkiem został raniony w ramię. Jak tylko Hawajczycy ujrzeli płynącą krew jego, przekonali się że to nie jest bożek, tylko zwykły, słaby człowiek, wpadli w gniew za oszukanie i urażenie najświętszych ich uczuć, i na miejscu ubili zuchwalca.

Co się tyczy »Kamehameha«, jest to nazwa głównej dynastji hawajskiej od założyciela jej, którego także nazywają »Napoleonem Pacyfiku«. Onto w r. 1795 połączył cały archipelag pod jednym berłem, podczas gdy dawniej tyle było królów, ile wysp. Kamehameha jednak był szczęśliwszy a może i mędrszym od Napoleona I, potrafił bowiem utrzymać państwo swoje i poselstwa na głównych dworach europejskich.

W r. 1820 za Kamehamehy II misjonarze amerykańscy wprowadzili tu chrześcijaństwo, i odtąd cywilizacya Zachodu postępuje olbrzymimi krokami. Wszyscy Kamehamehasowie byli ludźmi wykształconymi i otwierali na oścież bramy dla oświaty i kultury zachodniej; niestety, wymarła dynastya w 1872 r. i na króla wybrano niczem się nie odznaczającego wodza, Kalakaua, którego Europa zna dobrze z powodu odbytej w 1881 r. podróży naokoło świata. Mówiono o nim wiele na rozmaitych dworach europejskich: był to wesoły towa-

rzysz, ale despota i wróg cudzoziemców. Umarł, nie zrobiwszy nic dobrego swym poddanym z wyjątkiem kapeli wojskowej, którą sprowadził. Nastąpiła po nim siostra, słynna Lilinokalani i do tego stopnia posuwała despotyzm i nienawiść do cudzoziemców, że wybuchła rewolucya, która ją zdetronizowała w 1893 roku i ogłosiła rzeczpospolitą. Obecnie siedzi pani Liliuokalani w Stanach Zjednoczonych i pisze swoje pamiętniki. Dziedziczką tronu hawajskiego jest siostrzenica ex-królowej, młoda księżniczka Kajulau, której właśnie oczekują z Anglii, gdzie kończyła wychowanie. Dużo jest jeszcze rojalistów: wszyscy prawie krajowcy, wielu Anglików i niektórzy Amerykanie nawet życzą widzieć Kajulani na tronie. Jednak stronnictwo republikańskie, chociaż mniej liczne, jest silniejsze. Amerykanie stojący u steru rządów, pracują wszyscy dla aneksyi amerykańskiej i wkrótce zapewne Hawajski archipelag wejdzie w skład Stanów Zjednoczonych.



d kilku tygodni jestem na wyspie Maui u stoków największego z wygasłych wulkanów na świecie, wysokiego na 10.000 stóp Haleakala, co po naszymu znaczy »pałac słońca«. Jedna z moich honolułskich znajomych ma tutaj śliczną siedzibę letnią i zaprosiła nas, całe grono gości, na kilka tygodni do siebie. Wyspa ta nie jest tak piękna, jak Oahu, bo z wyjątkiem trzciny cukrowej, żadnej prawie nie widzi się roślinności; patrzeć zaś na tysiące juchartów trzcina zarosłych, wcale nie jest zachwycające. Tu się znajduje Spreckelsville, największa w świecie plantacja cukrowa, obejmująca 40 tysięcy juchartów ziemi i wyrabiająca rocznie 25 milionów funtów cukru. Produkowanoby i więcej jeszcze, gdyby było więcej wody. Właścicielem tej olbrzymiej plantacji jest pan Klaus Spreckels, z pochodzenia chłop meklemburski, który jako młody chłopak przybył do San Francisco i tam się ze swoją rodaczką ożenił. Marzeniem tej pary było oszczędzić 10.000 dolarów i z tym i do ojczyzny powróciwszy, kupić sobie kawałek ziemi. Los jednak inne miał zamiary wobec poczciwych meklemburczyków i zamiast upragnionych dziesięciu tysięcy, milionami

ich zasypał. Dziś pan Sp. jest hawajskim królem cukrowym i niedawno zbudował sobie w San Francisco pałac, gdzie sama łazienka jego córki jedynaczki kosztuje 10.000 dolarów.

17-go lipca tj. w piątą rocznicę mego wyjazdu z kochanej Europy, zrobiliśmy z całym towarzystwem wycieczkę do krateru Haleakala. Wszyscy byli konno; ja tylko postanowiłam sobie pieszo tam się dostać, chociaż Honoluluńczycy perswadowali, żebym tego nie czyniła, bo dotąd nikt nigdy do krateru pieszo nie doszedł. Tak więc ja jestem nietylko jedyną kobietą, ale, jak się zdaje, jedynym człowiekiem, który dotąd na własnych nogach dostał się na szczyt słonecznego pałacu, a gazety rozniosły sławę moją góralską po całym kraju, to znaczy po całym archipelagu. Gdy w niedzielę poszłam do kościoła, cała gmina chciała mię oglądać i każdy ścisnął mię za rękę i pytał: »To pani jest tą kobietą, która weszła na Haleakala?« Ktoby się był spodziewał, że ja kiedyś zastynę, jako taterniczka! Nigdy człowiek nie wie, co go spotka. Zresztą, nie jest to takie nadzwyczajne zadanie wejść na ową górę, i gdyby się ona nie znajdowała w strefie międzyzwrotnikowej, gdzie ludzie są leniwi do chodzenia, tysiące by już tego próbowały. Niema ani stromych skał po drodze, ani karkołomnych urwisk i przepaści, wogóle nic takiego, coby

wymagało nadzwyczajnej zręczności i śmiałości. Trzeba tylko mieć zdrowe płuca, mocne nogi i pewną dozę wytrwałości, droga bowiem długa jest i nudna, zwłaszcza ostatnie dwie mile, bo się idzie przez stary popiół na stopę lub więcej głęboki i za każdym krokiem zsuwa się w tył. Doszłam jednak wkońcu aż na szczyt i tam zostałam nagrodzona za swoje trudy.

Oglądałam zapewne w życiu mojem piękniejsze widoki, ale równie wspaniałego nigdy. Unosiliśmy się nad chmurami, a gdy te się rozsuwały, przedstawiał się oczom naszym cały archipelag ośmiu wysp Hawajskich. A staliśmy na skraju największego w świecie krateru o obwodzie 21 mil ang. Mniejsze wulkaniki rozsypane we wnętrzu jego, a wysokie na 700—800 stóp niekiedy, wydają się jak kretowiny. Jakże wspaniale musiał wyglądać ten kolos, gdy jeszcze wybuchał ogniem i lawą. Czy też on się kiedy znów przebudzi?

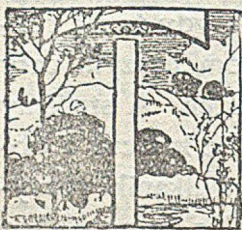
Spodziewam się kiedyś popłynąć na wyspę Hawaj, największą z całego archipelagu, aby zobaczyć ogniste jeziora Kilauea; ale wolałabym poczekać na wybuch, bo inaczej można doznać rozczarowania, naczytawszy się wspaniałych opisów.

W przeszłym tygodniu poznałam się z nader sympatyczną rodziną norweską, spokrewnioną z Dr. Nansenem. Naturalnie, zadawałam

im mnóstwo pytań co do znakomitego podróznika i dowiedziałam się między innymi, że norweskic »Fram« znaczy »Naprzód«; stąd wynika, że moje hasło jest takie same, jak hasło znakomitego badacza bieguna Północnego. Czyż nie mam być dumną?...

48 list.

Honolulu, 2 października 1897 r.



ym razem, droga Elżuniu, radzę ci usiąść bezpiecznie w rogu kanapy, nim zaczniesz list czytać, bo gotowaś zemdleć na wiadomość, którą ci przesyłam. Wyobraź sobie, że hawajski minister oświaty mianował mię profesorką języków nowożytnych w męskim gimnazjum, jedynem, jakie republika posiada! A w dodatku ja pierwsza przedmiot ten wprowadzę, dotąd bowiem, prócz angielskiego, uczono tu tylko greki i łaciny.

Jakim sposobem do tego doszłam, zapytasz? Zupełnie niespodzianie. Wracając z wyspy Maui, miałam zamiar odpłynąć najbliższym parowcem do Ameryki, ale los mi nadarzył spotkać kilku członków komisji wychowania publicznego. Mówiono o tem, jakby to było dobrze skorzystać ze sposobności wprowadzenia niemiec-

kiego i francuskiego języka do szkół hawajskich, i zapytano mię, czy nie zechciałabym się podjąć wykładania obu tych języków. Wydało mi się pożądanem zostać pionierką w jakiegokolwiek dziedzinie i zgodziłam się zostać na rok jeden.

To jeszcze nic w porównaniu z drugą wiadomością, jakiej ci udzielę, czy uwierzysz? Powiedz, czy możesz mię sobie wyobrazić jako publiczną prelegentkę? Nie, i ja tak sądziłam; tymczasem wczoraj o godzinie 5-ej popołudniu odbyłam pierwszy występ w tej roli i to wobec zgromadzenia bardzo eleganckiego i wykształconego. Znów zapytasz, jak się to stało? Ja sama nie potrafię powiedzieć, bo, rzecz dziwna, spadają na mnie rzeczy najniespodziewańsze, o których nie marzyłam nawet.

W pewnem towarzystwie, w którym się niedawno znalazłam, wprowadził ktoś rozmowę na temat literatury francuskiej i niemieckiej (nie ja, upewniam cię) i do mnie jako do cudzoziemki z daleka przybyłej zwrócono się z rozmaitemi pytaniami w tym przedmiocie. Na te pytania właśnie mogłam dobrze odpowiedzieć. Jeżeli się słuchało przez dwa lata wykładów takiego Filipa Godet i Dr. Domejeva, jak my w Neuenburgu, trzebaby być idyotką, żeby nic nie wiedzieć o literaturze francuskiej lub niemieckiej! Nagle, jedna z dam obecnych odezwała się: »Miss Bögli, Pani powinnaby mieć tu

u nas odczyty o literaturze nowożytnej. Byłoby to prawdziwym dobrodziejstwem dla nas w Honolulu, gdzie nic podobnego nie słyszemy». Roześmiałam się na taką propozycję, bo jakżebym ja, która nigdy w większym towarzystwie nie byłam w stanie wypowiedzieć kilku zdań nie zarumieniwszy się po uszy — mogła przemawiać publicznie. Ale nikt nie chciał uwzględnić mojej nieśmiałości. Ogólny poklask zyskał pomysł wykierowania mię na prelegentkę mimo mej woli: nalegał dyrektor gimnazjum, a minister oświaty kazał mi powiedzieć, że ofiarują mi wielką salę gimnazjalną na odczyty. W chwili słabości zgodziłam się; naturalnie żałowałam tego niebawem, ale trudno już było łamać raz dane słowo.

Wczoraj o piątej godzinie poprowadzono mię na stół ofiarny. Wejście do napełnionej po brzegi sali, tyle mię kosztowało, że wolałabym była nie umieć ani czytać ani pisać, byleby nie być narażoną na taką próbę. Szczęściem dyrektor gimnazjum wypowiedział przedmowę, w czasie której mogłam się trochę zebrać na odwagę i, gdy kolej na mnie przyszła, rzuciłam się głową naprzód na pole walki. Poszło jakoś. Nie zająknęłam się, nie straciłam wątku ani razu, chociaż nie miałam ani świstka zapisanego przed sobą i mówiłam tylko z pamięci. Co o mnie myśleli słuchacze, dowiesz się

z przestanych ci poniżej wycinków z gazet. Powinnabym być zadowolona, a jednak z trwogą znów myślę o następnym odczycie. Co się zemną stanie, jeżeli przez całe miesiące co tydzień męki takie przechodzić będę, — nie wiem.

49 list.

Honolulu, 28 grudnia 1897 r.



uszę przeprosić, że święta Bożego Narodzenia przeszły, a ja do was nie napisałam, nie przesałam życzeń; ale w kraju, gdzie jest wieczne lato, nie spostrzega się zbliżenia świąt tych, zwłaszcza, gdy się ma tyle zajęcia, co ja obecnie. Mogę śmiało powiedzieć, zdaje mi się, że jestem najpracowitszą kobietą na Hawajskim archipelagu, oprócz bowiem szkolnych wykładów i odczytów publicznych, mnóstwo mam prywatnych lekcyj. Szczęściem praca jest w ogóle dla mnie prawdziwą przyjemnością, a zwłaszcza tutaj, z wyjątkiem publicznych prelekcji, do których się przyzwyczaić nie mogę. Nigdy jeszcze nie znajdowałam tyle przyjemności w nauczaniu, co w gimnazyum tutejszem. Nie wiem, czy chłopcy dlatego tak się dobrze uczą, że wstydziliby się nieuctwa wobec profesora — kobiety, czy pilność jest im wrodzoną, dość, że nie

zdarza mi się sposobność zrobienia choćby wymówki za niedbalstwo lub roztargnienie w nauce. Co jeszcze przyczynia się do ożywienia zajęcia mego, to mieszanie ras rozmaitych między uczniami. Są tam Kauaki, murzyni, Chińczycy, Japończycy i biali wszelkich narodowości; mam więc sposobność badania zdolności różnych ras. Pierwszeństwo przyznaję stanowczo białym, ale cóż w tem dziwnego, gdy się pomyśli, ile wieków cywilizacyi mają za sobą. Później idą Chińczycy, nie dla szybkości i lotności pojęcia, przeciwnie, trzeba im kilkakrotnie tłumaczyć i wykładać rzecz każdą, o co się sami dopominają, ale raz dokładnie objętą zachowują na zawsze. Pilność i gruntowność tych 18—20 letnich młodzieńców jest istotnie zadziwiająca. Murzyni i Kauaki są inteligentni, ale niezbyt ambitni. Japończycy szybko pojmują, ale też równie szybko zapominają i wydają mi się powierzchowni, czegobym się nie spodziewała u tych Prusaków Wschodu.

Mam także nader zajmującego ucznia prywatnego, Japończyka, attaché japońskiego poselstwa w Honolulu, a siostrzeńca znakomitego męża stanu w Japonji, markiza Ito. Uczeń mój spodziewa się wkrótce zostać posłem w Brukseli lub Wiedniu i chciałby co prędzej nauczyć się po francusku. Chciałby także nabyć europejskich manier i prosi mię, bym go ostrzegą,

jeśli w czemkolwiek przeciw prawidłom dobrego wychowania wykroczy. Nie zachowuje się on zupełnie z europejska, jednak mało mam do przestrzegania. Wyobraź sobie, co on wczoraj uczynił. Znajomi amerykańscy zaprosili mię na wieczorne nabożeństwo w kościele; ponieważ jednak miałam do ósmej lekcję z moim Japończykiem, zatelefonowałam, że się z nimi w kościele dopiero spotkam. Po lekcyi zaproponowałam memu uczniowi, by mi towarzyszył i przy tej sposobności przypatrzył się obrządkom kościelnym. On jednak, jako Japończyk wysokiego rodu, pogardza chrześcijaństwem i podziękował mi za to, odprowadził mię jednak aż do kościoła, wyszukał krzesło i odszedł. Jakież było moje zdziwienie, gdy o godzinie jedenastej wychodząc z kościoła ujrzałam mego rycerza, gotowego towarzyszyć mi do domu! Pokazało się, że całe dwie godziny czekał na dworze, uważając to za obowiązek kawalerski, by mię do domu odprowadzić. Czyż synowie kraju wschodzącego słońca potrzebują uczyć się grzeczności od Europejczyków?



analną jest rozmowa o pogodzie, ale niepodobieństwem byłoby teraz pisać list z Honolulu, nie poruszając tego tematu. Od kilku tygodni o pogodzie tylko mówimy. Jeśli się na ulicy spotka znajomego, zamiast powitania słychać wykrzyk: »Co za szkaradny czas!« Zapomniano już nawet o katastrofie Maine'u (zatonienie amerykańskiego statku wojennego), o wojnie, o wszystkim. Bo też od Nowego Roku zsyła nam to zazwyczaj tak piękne i łaskawe niebo hawajskie same deszcze i burze; i to wcale nie małe, przelotne ulewy, ale prawdziwe nawałnice, przerwania się chmur i 10—12 cali wody na dobę. Gdyby nie porowatość gruntu tutejszego, musielibyśmy od dawna na okręty się schronić. Wczoraj np. zalany został cyrkuł chiński — domy i mosty zniszczone, a wielu ludzi zatopionych. Nic podobnego się tu nie zdarzało. Gdy przyjechałam, mówiono mi, że burze są rzadkością w Hawaj, a teraz miewamy po trzy — cztery na tydzień i to tak straszne, że nasze w górach szwajcarskich, wyglądałyby jak teatralne przy tutejszych. Huk się rozlega, jak gdyby wszystkie wulkany naraz wybuchły — drży wyspa cała. Obawiam

się, że pierwszy nadchodzący tu parowiec zastanie już tylko szczątki po oceanie pływające wyspy Oahu, na której leży Honolulu.

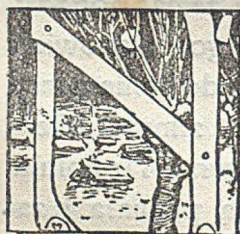
Pewien mój znajomy tutejszy spędził przeszłego roku kilka tygodni w New Yorku i miewał odczyty o wyspach Hawajskich. Ma się rozumieć, że mówił, jak i wszyscy, którzy znają Hawaj, z największym zachwytem o cudownym klimacie i wiele rodzin newjorskich zdecydowało się przybyć tu na zimę. Można sobie wyobrazić ich wściekłość, gdy, po trzymiesięcznym prawie pobycie, nie ujrzawszy ani razu słońca hawajskiego, odpływali z powrotem o 6 tysięcy mil angielskich. Mój przyjaciel pan J. pewnie już się nie ośmieli o czemkolwiek z zachwytem opowiadać.

Wyczerpawszy mniej więcej temat pogody, mogę przejść do przyjemniejszego, mianowicie do królowny Kajulau. L. pisała do mnie przed kilku dniami, że poznała zeszłej zimy w Mentonie zachwycającą Miss Cleghorn z Honolulu, prosi mię, bym się z tą panną poznała i zaniósła jej piękne pozdrowienie od L. Otóż, łatwiej mi było wynaleźć tę jedną panienkę, niż odkryć całą polską osadę, Cleghorn bowiem jest przybranem nazwiskiem młodej dziedziczki tronu hawajskiego (w razie gdyby archipelag ten stał się znów królestwem). Często się z nią widuję, a wczoraj byłam u niej na wieczorze.

Nic dziwnego, że L. tak się zachwyca swą przyjaciółką z Honolulu, jak ją nazwała; królowna Kajulau, jest bowiem jedną z najmilszych dziewcząt, jakie znam. Posiada ona ten wdzięk pełen godności, którym się odznaczają Hawajki, przytem kastyljańską piękność i europejskie wychowanie. Gdybym była mężczyzną, zakochałabym się na śmierć i życie w uroczej królownie. Szczęście, że nie jestem mężczyzną, bo właśnie mówią teraz o projektowaniu jej małżeństwie z następcą tronu japońskim i napewne jako współzawodnik przyszłego Mikada, nie miałabym nadziei powodzenia w swoich afektach.

51 list.

Honolulu, 4 czerwca 1898 r.



nie sądź, żeby tym razem pogoda, — która zresztą wróciła do pożądanego stanu — była mi przeszkodą w pisaniu; nie, teraz o wiele ważniejszy powód wstrzymał mię od tego, mianowicie »Pochód 10.000«^{*)}). Już na początku wojny gazety przyniosły wiadomość jednego pięknego poranku, że dziesięć tysięcy ochotników amerykańskich ma tu przy-

^{*)} Aluzya do słynnej »Anabazis« Xenofonta wodza armii greckiej w odwrócie z Azji, 401 r. przed Chryst. za czasów Cyrusa.

być w drodze do wysp Filipińskich. Honolulu, chociaż jeszcze do Ameryki nie należy, jest nadzwyczaj przyjaźnie dla Amerykanów usposobione, — zaczęto więc natychmiast robić projekty świetnego przyjęcia dla przyszłych bohaterów. Utworzono rozmaite komitety: panie wzięły na siebie gastronomiczną stronę uroczystości i znów się podzieliły na podkomitety; był więc komitet mięsny, komitet drobiu, komitet konserw, k. kartoflany, k. deserowy. Nie posiadamy, niestety, telegrafu, któryby nas łączył z resztą świata, więc nie możemy wiedzieć, kiedy się owe dziesięć tysięcy pojawi na horyzoncie, i wiktuały muszą być ciągle na pogotowiu. Setki zabitych indyków, kur i kaczek złożono w lodzie, napieczono całe kosze placków, majonez nawet do sałaty przygotowany czekał dni kilka w lodowni. Możesz sobie wyobrazić, z jakim upragnieniem panie gospodynie oczekiwały swych gości. I ja też z nie mniejszem wzruszeniem czekałam ich przybycia, zwłaszcza, że pani D., patronka naszego pensjonatu należała do komitetu saładowego, a ja się obawiałam, że gdyby wojacy ruszyli inną drogą, my pensjonarze musielibyśmy spożyć wszystką sałatę.

Pięciokrotny gwizdek z parowca miał zapowiedzieć przyjazd ochotników, podczas gdy zwykle parostatki trzy razy tylko gwizdzą.

O poważnej pracy nie można było nawet myśleć, za każdym gwizdnięciem bowiem, zrywaliśmy się z miejsca, gdy zaś do trzech tylko naliczyliśmy, rozczarowanie było tak wielkie, że na resztę dnia do niczego już się chęci nie miało. Na szczęście dla nerwów naszych onegdaj wieczorem rozległ się upragniony sygnał, właśnie gdyśmy przy stole siedzieli. Na pierwsze gwizdnięcie położyliśmy wszyscy noże i widelce, za czwartem zerwaliśmy się od stołu i pochwyciwszy kapelusze, każdy, jak kto stał, a raczej siedział, więc przeważnie w eleganckim obiadowym stroju, popędziliśmy do portu. Trzy parowce pełne — chociaż nie całe 10 tysięcy — zostały przyjęte z otwartymi ramionami, każdy bowiem honolulski Amerykanin miał kuzyna, przyjaciela lub znajomego między przybyłymi. Mówiono mi, że i dwóch Szwajcarów z Turgowji znajduje się między ochotnikami. Wojacy przepędzili cały dzień wczorajszy w Honolulu, a naszym obowiązkiem było zajmować się tylko ich ugoszczeniem, w czem rząd dawał przykład. Wszystkie sale pałacu rządowego zamieniono na biura, gdzie ochotnicy mogli załatwiać swoją korespondencyę, wysyłałą później kosztem rządu; tramwaje i koleje miały ich bezpłatnie przewozić, gdzie zażądataj. Przed południem chodziliśmy wszyscy po mieście, żeby ich widzieć maszerujących, ale nie powiem, by to

imponujący przedstawiało widok: każdy szedł, jak mu się podobało, nie trzymając się rytmu, ani ordynku, nie tak, jak u nas w Szwajcarji.

W południe zastawiono obiad w pięknych ogrodach pałacowych, a panie wszystkie — i ja między niemi, ma się rozumieć — usługiwały do stołu. Każda z nas jako odznakę miała kawałek białej wstążki z flagą hawajską i amerykańską, oraz napisem »Aloha Błękitnym chłopcom« (Aloha — to hawajskie pozdrowienie).

Jeżeli maszerowanie amerykańskich ochotników nie zaimponowało mi wcale, to musiałam podziwiać ich zachowanie przy stole. Nie widziałam grzeczniejszego towarzystwa młodych ludzi, a wesołość ich wcale nie cierpiała na tem, że napojów wyskokowych nie podawano przy ucztach.

Dzisiaj Honolulu wróciło do zwykłego spokoju, a żołnierze są w drodze do Manilli. Któż wie, dla ilu z nich dzień wczorajszy był ostatnim wesołym na tej ziemi!



dziś opuszczam moje ukochane Honolulu, a przynajmniej jestem do tego gotowa: kufty spakowane, ja w ubraniu podróżnym. Ale statek »Alameda«, który mię ma zabrać do Kalifornji, nie przybył jeszcze. Nie tak to łatwo obecnie z wysp się wydostać, gdyż z powodu wojny komunikacye utrudnione, a statki pasażerskie zamienione na transportowe. Pozostają tylko parowce z Australji i Chin przychodzące; o tych zaś wiedzieć nie można, czy mają miejsce wolne; musimy więc, spakowawszy manatki, odbywszy wizyty pożegnalne i zapisawszy się w biurze okrętowem, czekać, co nam los przyniesie. Jeśli miejsca zabraknie, trzeba będzie z rezygnacją do domu wrócić i czekać cierpliwie, może przez kilka tygodni, na następny parowiec.

Dziś rano przybył tu parowiec »Moaua« z Ameryki i wywołał radość niesłychaną, przynosząc od dawna upragnioną wiadomość, że senat amerykański zgodził się wreszcie na aneksyę Hawaj i przyłącza je do Stanów Zjednoczonych. Byłam w porcie, gdy przybył statek i nigdy w życiu nie widziałam takiej radości, takich powinszowań. Kobiety płakały z uciechy,

mężczyźni nawet mieli łzy w oczach i ściskali się za ręce nawzajem, a wszyscy się pozdrawiali. Ludzie, których przedtem nie widziałam nigdy, ściskali moją rękę, wołając: »Czyż to nie jest szczęśliwa wiadomość!« Uśmiechałam się, dzieliłam radość wszystkich, ale doprawdy nie rozumiem, dlaczego owa aneksya ma być tak wielkiem szczęściem. Wiem tylko, że w ciągu piętnastu miesięcy mego tu pobytu ciągle o tem słyszę, a wszyscy biali Honolulczycy są zapalonymi stronnikami aneksyi. Natomiast wiem także, że krajowcy wrogo są usposobieni dla tego projektu i obawiają się połączenia z Ameryką; to też nie zauważyłam ani jednego Hawajczyka w przystani. Prosto z portu poszłam na targ rybny, gdzie się przed południem zwykle krajowcy gromadzą i rozprawiają. Dziś było tam cicho, jak na cmentarzu: mężczyźni siedzieli gromadkami zadumani i milczący, a gdy który przemówił, to cicho i krótko. Byli między nimi ojcowie moich uczni, więc zbliżywszy się pytałam tego lub owego, co ma przeciwko aneksyi; odpowiedź była zawsze ta sama: »Biały przyjdzie i wszystko zabierze, co do nas należy, a my będziemy zepchnięci w dół«. Biedni Hawajczycy! Jak gdyby już im biali wszystkiego nie zabrali od dawna! Hawajczyk nic już nie ma do stracenia, chyba swoją narodowość, swoją chorągiew własną, ale tej największy żal.

Jak sobie pomyślę, cobym czuła, gdyby mój ukochany sztandar, biały krzyż w czerwonym polu, miał zniknąć z powierzchni ziemi — pojmuję doskonale uczucia biednych Hawajczyków i wstyd mi, żem się przed godziną cieszyła z tego, co naród pozbawia niezawisłości. Cóż wolnej Szwajcarii nie powinna była tego czynić!

53 list. San Francisco, Kalifornia, 30 czerwca 1898 r.



czoraj przybyliśmy po strasznie burzliwej żegludze do San Francisco. O ten Ocean Spokojny! Jakiemże kłamstwem jest jego miano! Ośm razy płynęłam po nim, a nigdy nie był spokojny ani na chwilę; tym razem zaś szalał bardziej, niż kiedy. Nazajutrz już po wyjeździe z Honolulu rozpoczęła się burza i igrała z nami, jak piłką, dopókiśmy się nie wymknęli przez Złotą Bramę, wjeżdżając do portu San Francisco. W ostatniej chwili jeszcze, gdyśmy się przebijali przez fale obok — znanego wszystkim podróżnym z oceanu Spokojnego — »Cliff-house'u«, tuż przy wejściu do portu, omal że nie przepadliśmy z kretelem. Straszliwy wicher na pożegnanie jak dmuchnął na nas, cały ładunek z trzaskiem i łomotem przewalił się na

jedną stronę, a »Alameda« przechyliła się i położyła na boku prawie. Jeszcze jeden szturm i byłoby po nas!

O samym zachodzie słońca wpłynęliśmy do wspaniałego portu San Francisco. Nic dziwnego, że Hiszpanie, którzy przystań tę odkryli, nazwali ją »Złotą Bramą«, a kto ją ujrzy o zachodzie słońca, nie może dać jej innej nazwy. Wszystko było złotem owiane: morze, niebo, góry i miasto w głębi, złoto — wszędzie złoto!...

Jeżeli kraj przybrał najpiękniejsze swe szaty, by moje oko zachwycić, to ludzie zrobili, co mogli, żeby serce moje upieścić. Gdy weszłam do hotelu i zamówionego przezemnie zawczasu tym razem pokoju, ujrzałam się otoczoną kwiatami, jak pierwiej złotem. Któż mi w tym obcym hotelu takie śliczne zgotował przyjęcie? Jedna z mych uczennic z Honolulu odbywa teraz studia w uniwersytecie Berkley, blisko San Francisco i do niej napisałam, jakim parowcem przyjadę i w jakim hotelu stanę. Otóż, jak mi powiada gospodyni hotelu, ona to przyjechała raniutko, obrała pokój dla mnie, zmieniła cokolwiek urządzenie i cały przystroiła kwiatami. Poczciwa, kochana Mary, niech jej Bóg nagrodzi uprzejmość, okazaną samotnej wędrowniczce!

Zanim się spać położyłam, odczytałam je-

szcze całą pakę listów, które mi przyjaciele z Honolulu w ostatniej chwili jeszcze na statku przysłali, żebym w drodze miała co czytać. Byłam jednak zanadto chora na morzu przez cały czas, żeby mózdz czytać, ale teraz przejęło mię uczucie wdzięczności i jakiejś, jakby rodzinnej serdeczności, tak miłe i życzliwe były odezwy moich przyjaciół. Gdyby setna część zawartych w nich życzeń się spełniła, rajem stałaby się dla mnie ta obca ziemia, a wszyscy piszący byli to Amerykanie rodem. Jakże mogłoby mi źle być w ich ojczyźnie?

Dziś zrobiłam pierwsze kroki o znalezienie sobie zajęcia: zameldowałam się w dwóch biurach nauczycielskich, a biura tutejsze cieszą się o wiele lepszą opinią niż inne w innych krajach; najlepsze zakłady, uniwersytety nawet, przez biura zamawiają nauczycieli, niektóre zaś z tych agencji, np. »The Fisk Teachers Agency«, mająca filie we wszystkich główniejszych miastach Ameryki posyła nauczycieli do wszystkich krajów, gdzie mówią angielskim językiem. Obecnie miejsc tu niema, szkoły kalifornijskie bowiem, zaczynają rok szkolny w lipcu, oddawna więc pozamawiały sobie nauczycieli. Do Bożego Narodzenia niema się co spodziewać posady przy szkole i nie mogłam w gorszą porę przybyć, powiedziano mi w biurze. Niezbyt zachęcające na początek, nieprawdaż? A je-

dnak nie gryzę się zbytecznie; jestem dziś daleko bogatsza, niż kiedy przybyłam do Sydney i w ostateczności do Świąt poczekać mogę. O lekcye prywatne lub miejsce guwernantki, trudniej tu niż w innych krajach, bo najbogatsi ludzie posyłają dzieci swe do szkół publicznych. Zresztą w najgorszym razie można znaleźć dobrze płatne miejsce pokojowej, więc odwagi nie tracę, a czuję, że towarzyszące mi stale duchy opiekuńcze nie opuściły mię i teraz.

54 list. San Francisco w Kalifornii, 12 lipca 1898 r.



yobraż sobie, Elżuniu, że mimo niestosownej pory, dostałam posadę w szkole. Znów szczęście na mnie spadło samo, jak mawiasz. Wczoraj wieczór, za powrotem z wycieczki na górę Tamalpais, kalifornijskie Rigi, zastałam jedną z pań z Agencji Fisk czekającą na mnie. Powiedziała mi ona, że właśnie dziś zjawiała się w Biurze przełożona jednej ze szkół, uskarżając się, że nauczycielka Francuzka, którą była zamówiła w Paryżu, zatelegrafowała, że z powodu choroby przybyć nie może. Zmartwiło ją to niezmiernie, w przyszłym tygodniu bowiem, lekcyę się zaczynają. Panie w biurze przyrzekły jej dziś jeszcze przysłać osobę sto-

sowną. Tą osobą ja być miałam i pomimo, że wróciła zakurzona, głodna i zmęczona, agentka zmusiła mnie wsiąść do tramwaju, jak stałam i zaprezentować się nieszczęsnej przełożonej. Grube buciki, krótka suknia, żakiet przypruszony pyłem wielu ziem rozmaitych; do tego nieładny marynarski kapelusik — oto mój górski kostyum i w tym musiałam się przedstawić surowej pannie H. Nie wyglądałam imponująco nawet w najbardziej eleganckim ubraniu, a cóż dopiero w tym podróznym stroju! Czułam też, że się nie podobam Miss H. i nie dziwiłam się jej zapytaniu: »Czy Pani sądzi, że będzie mogła uczyć dorosłe dziewczęta, prawie już panny?« »Amerykańskie panienki musiałyby być chyba inne zupełnie niż u innych narodowości, żebym sobie nie potrafiła z nimi poradzić«, odrzekłam. Była jeszcze w pokoju druga dama, jeszcze gorzej usposobiona niż Miss H., widząc bowiem, że tamta zdaje się skłaniać ku mnie, przystąpiła z miną, wyrażającą silne powątpiewanie i wyrzekła: »Kochana Pani, czy też Pani naprawdę podejmie się nauczania w wyższych klasach zakładu naszego?« Tu już opuściła mnie cierpliwość i tonem niezbyt pokornym ani też uprzejmym odpowiedziałam: »Pani, gdybym nie czuła się zdolną do podjęcia tego zadania, nie przedstawiałabym się Paniom wcale«.

Ostatecznie, chociaż niechętnie, zawarły ze mną umowę. A teraz, jeśli mi zdrowie posłuży postaram się te panie przekonać, że nie zrobiły złego interesu, zatrzymując mię u siebie.

Ponieważ szkoła w przyszłym dopiero tygodniu się zaczyna, zostaję tymczasem w hotelu i zwiedzam miasto. Może sobie wyobrażasz, jak tyle innych ludzi, że San Francisco jest hiszpańskiem miastem, ponieważ hiszpańskie nosi miano; że tu po hiszpańsku tylko mówią? Że dumni a leniwi Caballeros i piękni czarnoocy Torreadorzy po ulicach się snują, a wieczorami na gitarach swoim Inamoratom przygrywają? Otóż wcale tak nie jest. San Francisco jest prawie tak angielskie, jak Londyn, tj.: po angielsku tu wszyscy mówią — mężczyźni są po większej części blondyni, barczyści, wysokiego wzrostu i z gorączkowym pośpiechem biegnący przez ulice; słowem, wszystko jest w anglosaskim duchu. Ale kalifornijski anglo-saksończyk jest wytwornym przedstawicielem swojej rasy; o wiele grzeczniejszy i lepiej wychowany niż jego rodacy w Australji np. Mogę o tem sądzić; kto bowiem tak dużo i samotnie podróżuje jak ja, musi zwracać uwagę na obejście ludzi, z którymi się spotyka. Kiedy w Melbourne lub Sydney zapytałam mężczyznę jakiegoś o co na ulicy, rzadko kiedy otrzymałam uprzejmą odpowiedź; tu przeciwnie, nietylko

najgrzeczniej udzielają wyjaśnień, ale często zbaczają z drogi, żeby coś wskazać lub wytłómaczyć. Tem dziwniejsza, że się oni zawsze spieszą, jak gdyby pędzili na statek lub na pociąg mający odejść. Dzieci nawet mają pośpiech na twarzy wypisany. Otóż co do dzieci! Jakże nie dziecinnem stworzeniem jest dziecko amerykańskie! W hotelu naszym mieszka kilka rodzin z dziećmi, które mię w podziw wprawiają, zwłaszcza przy stole. Jak tylko mogą się utrzymać na zwykłym krześle, już przychodzą do wielkiego stołu i jadają razem ze wszystkimi; mam więc sposobność studyowania młodych latorośli postępowej Ameryki. Przy stole, sąsiadującym z moim, zasiada rodzina z dwojgiem dzieci: miluchną pięcioletnią dziewczynką i chłopczkiem o dwa lata może od niej starszym. Do śniadania przychodzą dzieci zwykle same, bo ojciec interesami zajęty wstaje raniej, matka zaś bawi jeszcze przy tualetcie. Pięcioletnia dameczka wchodzi przed bratem we drzwi z powagą i godnością królewską, pozdrawia uśmiechem i skinieniem głowy po drodze znajomych swych, zupełnie jak mama i spokojnie pozwala się posadzić na krześle kelnerce. Młodzi państwo zaczynają swoje śniadanie. Najprzód przychodzą owoce, których biorą, ile chcą. Po owocach podaje się zwykle u Anglosaksów »porridge«, rodzaj kleiku, do którego dzieci same

mleka i cukru sobie dodają, nie szcędząc zwłaszcza tego ostatniego obficie, tak, że o ile pamiętam ja w wieku dziewczynki przez miesiąc nie skonsumowałam tyle cukru, ile ona przy jednym śniadaniu. Podczas gdy zajądają klejek, kelnerka czyta im »menu«, z którego obstalowują sobie potrawy mięsne lub rybne i jaja, a dopóki nie podadzą tego, zabawiają się spożywaniem gorących bułeczek i popijaniem ich lodowatą wodą! Obiadujemy zazwyczaj między siódmą a dziewiątą wieczór; otóż dameczka siedzi zawsze przy stole, je tyle, co mama lub papa, a mówi daleko więcej! Cemuż się dziwić, że przy takim wychowaniu Amerykanka wszędzie występuje swobodnie i samoistnie. Szczęśliwa istota nie znająca przykrości, które wynikają z nieśmiałości i obawy!

55 list.

San Francisco, 20 lipca 1898 r.



Wracam ze wsi z wycieczki, którą urządziłam sobie głównie dlatego, by się zagrzać. W San Francisco mamy wprawdzie lato, ale tu nigdy nie jest gorąco i mieszkańcy zmuszeni są w lecie szukać ciepła na wsi, tak jak gdzieś indziej szuka się na wsi ochłody. Spojrzawszy

na mapę, zobaczysz, że miasto leży na samym cyplu wąskiego paska ziemi wysuwającego się w Ocean Spokojny, gdzie jest wystawione na chłodny prąd wody i wichry, wiejące od Alaski. Dopóki się idzie po słonecznej stronie ulicy, ciepło jest, ale ledwie wejść na cieniastą stronę, uczuwa się lodowatą atmosferę, a wiatr wieje ciągle; dla reumatycznych więc klimat San Francisco nie byłby właściwym. Zato w zimie nie jest chłodniejszy niż teraz, i tak, jak w całej Kalifornji wieczne panuje lato, tak w stolicy kraju stale półzimowa jest temperatura.

Codziennie, ma się rozumieć, odbywam wędrówki po tem pięknem, pagórkowatym mieście, i wszędzie mogę trafić, nigdzie bowiem nie jest tak łatwo się oryentować, jak tutaj. Miasto dzieli się na »bloki« czyli czworoboki z domów, a każdy bok liczy 100 numerów. Numery rozpoczynają się od głównej ulicy — Market-street ciągnącej się od portu aż do końca miasta. Z planem w rękę można się kierować najłatwiej w świecie; wystarczy bowiem policzyć bloki zaczynając od Market-street, aby wiedzieć w jakim kierunku należy szukać jakiego numeru; np. Nr. 2560 musi leżeć w 26 bloku. Ulice są niezmiernie długie i znalazłszy tę, której się szuka, można być o parę mil (ang.) od miejsca przeznaczenia, jak mi się to zda-

rzyło nazajutrz po przyjeździe. Chciałam właśnie udać się pod Nr. 3210 na ulicy Waszyngtona i od razu ulicę znalazłam, ale numeru były 25, 27 itp. O sto kroków zamną było morze, przedemną zaś strome wzgórze, tak, że musiałam zapytać przechodzącego pana, czy może są dwie ulice Waszyngtońskie. »Nie, jedna tylko. A dokąd pani chce się dostać?« »Pod numer 3210«. »Ach, to bardzo daleko« — odrzekł uśmiechając się pod nosem: »ja panią podprowadzę do kolei miejskiej i powiem konduktorowi, gdzie Pani ma wysiąść«. I miał słuszną, że się uśmiechał, bo parę mil jechać musiałam.

Szczerściem świetny jest system tramwajowy w San Francisco, a ceny tak umiarkowane, że się wielkie odległości nie dają we znaki. Za 25 centymów można gdzie się chce dojechać w obrębie miasta i do każdego prawie domu najwygodniej się dostać. Zato fiakry niezmiernie kosztowne: trzy dolary tj. 15 franków za najmniejszy kurs. Prawda, że wzgórze tutejsze nieznośne są dla koni; dlatego też mało ekwipaży prywatnych, a milionerzy, zarówno jak robotnicy, korzystają z tramwajów.



Wysłiz może, że mię wichry unio-
 sły i zatopiły w oceanie, ale
 do tego nie doszło i tylko brak
 czasu był milczenia mego przy-
 czyną. Początek roku szkol-
 nego zawsze jest ciężki, a zwła-
 szcza gdy wchodzić trzeba w nowe warunki.
 Sądząc po szkole »Hamlin«, do której weszłam,
 amerykańskie szkoły prywatne różnią się od
 wszelkich znanych mi dotąd zakładów prywat-
 nych. Wszystko jest prowadzone w większym
 i wytworniejszym stylu, niż u nas lub w Anglji,
 a nauczycielki i uczennice większej używają
 swobody. Od nauczycielki nie wymagają, by
 w wszelkich możebnych sztukach i umiejętno-
 ściach kształciła, ale każda ma swoją specjalność
 i dobrze jest opłacana. 400 do 600 dolarów
 prócz utrzymania dostaje stała nauczycielka;
 700 do 900 przychodzi, utrzymująca się wła-
 snym kosztem. Od pensyonarek wymaga się,
 by się stawiły na dzwonek zwołujący do je-
 dzenia lub do klasy, by lekcye swoje umiały
 i zachowywały się przyzwoicie; zresztą nie
 śledzi się ich krok za krokiem, jak w naszych
 pensyonatach. Co do nauki, ta stoi znacznie
 wyżej niż w angielskich szkołach i może się
 mierzyć z najlepszemi szwajcarskimi szkołami

wyższemi dla panien. Mniej czasu poświęcają nowożytnym językom i literaturze niż u nas, zato matematyka i łacina wysoko stoi. Miss Hamlin nasza przełożona jest najuczeńszą z kobiet, jakie poznałam w ciągu swych podróży: doktor filozofii, autorka, prelegentka itd. itd. Przygniotłaby nas zwykłe śmiertelniczki swą uczonością, gdyby nie była zarazem najrozsądniejszą, najmilszą i najszlachetniejszą z kobiet.

Słówko jeszcze o naszym dobrobycie materialnym: każda z nas nauczycielek i uczennic ma osobny pokój; jedzenie zaś takie, jak w dobrym hotelu, nie da się porównać z utrzymaniem w pensyonacie europejskim lub australijskim. Co piątek jest dzień przyjęć i każda z nas może ugaszczać swych przyjaciół i przyjaciółki, przyczem także niczego nam nie żałują. Obecnie najwięcej żołnierzy przesuwa się przez nasze salony; San Francisco bowiem jest głównym portem na Zachodzie Ameryki i stąd co tygodnia tysiące ochotników wyrusza na Filipiny. Wogóle Amerykanka nie podziela z Europejką uwielbienia dla munduru, ale obecnie opanował je szal bohaterochwalstwa, nawet z krzywdą rozsądku. O niczem się nie myśli, tylko o żołnierzach, fetują ich wszędzie jak półbożków, gdy zaś w dzień odjazdu maszerują do portu, wylega cały świat kobiety na ulicę, aby ich żegnać i owacye urządzać. Widziałam panie,

nie kucharki ani przekupki, lecz wytwornie ubrane damy, które wysypywały całe kosze kwiatów na żołnierzy, klaskały, krzyczały, skakały, miotając się jak szalone w przystępie wojskowego entuzjazmu. Gdyby przynajmniej ci wojacy wracali ze zwycięskiej kampanii, to rozumiem; ależ to są po większej części chłopaki, którzy nic jeszcze dla nieśmiertelności nie uczynili i więcej może z awanturniczości i ciekawości niż z patriotyzmu na wojnę się wybrali; tak, że cała ta komedia nieco bezmyślną mi się wydaje.

57 list.

San Francisco, 3 października 1898 r.



dzisiaj znowu muszę list zacząć od banalnego tematu pogody, muszę ci bowiem oznajmić, że dzisiaj zaledwie, po 3 miesięcznym tu pobycie, widzę po raz pierwszy amerykański deszcz.

Od maja do października nie widać tu ani kropli deszczu i burze również nieznanne. Co za wyborny kraj na wycieczki i majówki! »Ale jak wszystko musi wędznąć i wysychać« — powiesz. Wcale nie! Kalifornja w lecie nawet jest kwitnącym świeżo ogrodem, a w porze suchej osiada w nocy tak obfita rosa, że ulice

wyglądają z rana, jak po deszczu. Kalifornia jest też owocowym i warzywnym ogrodem Ameryki, a produkcja owoców głównym przemysłem kraju tego, odkąd się wyczerpały kopalnie złota; szczególnie ogromne, słodziuchne pomarańcze używają wszechświatowej sławy. ○○

○ Wczoraj dopiero odkryłam przypadkowo, że ogromne wspaniałe San Francisco jest drewnianym miastem; zobaczyłam mianowicie, ku wielkiemu swemu zdumieniu, jak przesuwano wzdłuż ulicy Jackson, prawdziwy, duży dom. Miss Hamlin, której przyszłam to opowiedzieć w wielkim podnieceniu, odezwała się z uśmiechem: »U nas to nic nadzwyczajnego; często przenosimy się razem z domem, gdy nam nie dogadza jego położenie. I ja z miasta aż tu na górę się przesunęłam«.

○ »Jako? z tym ogromnym trzypiętrowym domem? To być nie może! wykrzyknęłam. »To nie kamień, lecz drzewo i daje się rozbierać wybornie; my się tu staramy o domy drewniane, które znacznie lepiej się opierają trzęsieniu ziemi, niż kamienne« — odparła p. Hamlin.

○ »A te piękne domy w Jackson-street, a te pałace wspaniałe na Van Ness Avenue, czy także są drewniane?« spytałam z niedowierzaniem. »Wszystkie są z drzewa« odrzekła. I któżby sobie wyobraził coś podobnego! San Franciskańczycy każą malować domy swoje

tak, że wyglądają jakby zbudowane z wielkich płyt kamiennych, a niktby się nie domyślił, patrząc, że to farba i drzewo. Czemuż teraz ufać, jeśli własnym oczom wierzyć nie można?

Czy wiesz, że się w końcu dowiedziałam, co jest teozofia. Jedna z głównych siedzib stowarzyszenia tu się znajduje i chodzę tam często słuchać wykładu, zwłaszcza, że mają dobrych bardzo mowców. Im więcej się przysłuchuję, tem trudniej mi pojąć, co jest do zarzucenia tej nauce z punktu chrześcijańskiego. Nie jest to ateizm, jak sądziłam, bo wierzą w Boga i w Chrystusa; utrzymują tylko, że my już odbyliśmy wiele egzystencyi i wiele ich jeszcze przeżyjemy, zanim dojdziemy do czystości i doskonałości naszego Odkupiciela, aby stanąć wreszcie przed obliczem Boga. Im czystsze i mniej samolubne jest życie nasze, tem bliżej celu. Czystość i miłość bliźniego uważane za najgłówniejsze cnoty. Wierzą także, iż człowiek za każdy czyn, który spełnił w poprzednim życiu, za każdą myśl dawną otrzymuje karę lub nagrodę w późniejszym, ale nie bywa karany za grzechy ojców swoich. W ten sposób tłumaczą nierówność losów ludzkich. »Gdyby każdy człowiek po raz pierwszy na świat przychodził — mówią oni — i jeden był wyposażony wszelkimi darami natury, podczas gdy drugi byłby kaleką lub idyotą, — gdzieżby się

podziała sprawiedliwość Boża? Ani też sprawiedliwym byłoby karać dzieci za winy rodziców. Nie, człowiek cierpi tylko za własne winy. Ten, który na świat przychodzi w dobrych warunkach, z pięknymi przymiotami i zdolnościami wrodzonymi, zasłużył na to sobie czystością i szlachetnością poprzedniego życia. Gdyby w obecnym życiu obrócił zdolności na krzywdę ludzkości, powinien w następnym za to odpokutować i przyjść na świat w ciężkich warunkach«. Prawo to nazywają oni »Karma«. Wiele z tego, co oni mówią, może się wydać niemądrzem, ale złego nic jeszcze nie dojrzałam, przeciwnie, wiele rzeczy pięknych i uszlachetniających. Szczególnie mi się podoba ta wiara w odradzanie się człowieka; mogę bowiem mieć nadzieję, że za jakie lat paręset znów odbędę piękną podróż naokoło świata. Ale jak ją odbędę? Czy elektrycznością, balonem, czy w jaki inny, dotąd nawet nie przeczuwany sposób?



święto mamy, bo dziś wybory, do których Amerykanie ogromną wagę przywiązują. Ale nie idzie tu o wybór prezydenta, lecz o przełożonych Stanów i gmin. Mimo to ruch niesłychany i emocja w tym kraju swobody, gdzie każdy bierze udział w rządzie i gospodarstwie społecznym, z wyjątkiem przestępców, idyotów, Chińczyków, dzieci i... kobiet. Tak więc w całym naszym zakładzie prawo wyborcze posiada tylko Henry, nasz służący Irlandczyk, który zaledwie podpisać się umie, a na polityce zna się tyle, co ślepy na kolorach. Dla niego wybory to święto, dzień, w którym może zrobić dobry interes, sprzedając głos swój temu, co da więcej, albo upić się za zdrowie rozmaitych ludzi, o których przedtem nie słyszał nawet. Zastanowiwszy się dobrze, widzi się, jaka to wielka niedorzeczność, że np. osoba rozumna i wykształcona, jak Miss Hamlin, posiadająca znaczny majątek i płacąca duże podatki rządowi, nie ma jednak głosu przy wyborze ludzi sprawujących rządy kraju, a jej służący, który nic nie wie, nic nie ma i niczem nie jest, zabiera jednak głos w tak ważnych okolicznościach, dlatego tylko, że jest rodzaju męskiego. Otóż

dotąd nie wydawało mi się to taką niesprawiedliwością i nawet cieszyłam się, że nie potrzebuję mieć do czynienia z polityką, nienawidzę bowiem intryg i sporów. Zresztą w Szwajcarii wiem, że mężczyźni tylko mają prawo głosu, a są dość oświeceni, żeby wiedzieć o co idzie, za czym lub za kim wotować; gdybym zaś była Amerykanką, czuję, że z oburzeniem patrzyłabym na tych zwyrodniałych murzynów lub obcych, nieokrzesanych i ciemnych górników, decydujących o rządach państwa i kraju, który ich nic a nic nie obchodzi. Tutaj gotowabym była walczyć za »prawa kobiet«.

59 list.

El Verano. Sonora County w Kalifornji,
3 stycznia 1899 r.



iem, że masz zwyczaj czytać listy moje z otwartym przed sobą atlasem, żeby odrazu wyszukiwać miejscowości, o których ci wspominam. Tym razem nie wieleby ci pomogła mapa, wątpię bowiem, byś na niej El Verano znalazła, ja sama daremnie tego na atlasie szukałam; osoby zaś, którym tu w San Francisco mówiłam, że jadę na Nowy rok do El Verano, zapytywały: »El Verano? a gdzież to?« W jaki sposób odkryłam tę miejscowość? spytasz. Otóż

zupełnie przypadkowo. Kiedyś w towarzystwie zagadnęłam pewnego Szwajcara, czy dużo jest rodaków naszych w Kalifornji? »O tak — odpowiedział — przy El Verano w Sonora County, jest cała osada szwajcarska«. Dotąd mało niezmiernie Szwajcarów spotykałam w swojej podróży naokoło świata, a chciałam wiedzieć, jak im się powodzi w obczyźnie; postanowiłam więc odwiedzić tę osadę. To, że mnie nikt bliżej objaśnić nie mógł, gdzie się znajduje El Verano, nie niepokoiło mnie wcale; przeciwnie, lubię puszczać się na odkrycia, robić sobie niespodzianki i poznawać zakątki nie wydeptane jeszcze przez turystów.

Pierwsza niespodzianka spotkała mię w kasie kolejowej, gdzie zażądawszy biletu, dowiedziałam się, że El Verano nie jest wcale stacją kolei, że wypadnie wziąć bilet do Agna Rica, i zalecić konduktorowi, by mię zatrzymał na stacyi Kings. Wydało mi się to nieco kłopotliwym, ale nie zepsuło humoru ani ochoty i dawno nie miałam takiej przyjemności, jak teraz, jadąc godzinami koleją poprzez gaje cytrynowe i pomarańczowe. W kilka minut po opuszczeniu Sonory, stolicy okręgu, zatrzymał się pociąg w czystem polu. Myślałam naturalnie, że coś się stało z lokomotywą, gdy nadszedł konduktor i oznajmił mi, że przybyliśmy na stację Kings. Gorączkowo zebrałam

manatki, z pomocą konduktora wyskoczyłam z wagonu i zaledwie ziemi dotknęłam stopą, już mój pociąg spieszył dalej, jak to jest zwyczajem w tym kraju pospiechu. I tak znalazłam się z pakuneczkami mojemu sama w polu, przy krzyżujących się drogach, nie mając najlżejszego pojęcia, w jaką stronę mam zwrócić kroki. Wiedziałam wprawdzie z daleka domy, ale w rozmaitych kierunkach i nigdzie nie było tablicy, wskazującej drewnianym palcem drogę do El Verano. Manatków nie mogłam wlec z sobą, ani też zostawić na drodze, podczas gdy pójdę na zwiady; nie pozostawało mi więc nic innego, jak usiąść na swoich ruchomościach i cierpliwie czekać na jakieś zrządzenie losu. Szczęściem deszcz nie padał, stacya Kings bowiem, a Bóg wie czemu się stacyą nazywa, nie ma nawet daszku chroniącego od skwaru słonecznego lub gwałtownej ulewy. Siedziałam już może godzinę, gdy nadjechał człowiek jakiś z parokonnym wozem, na którym leżały worki. Prosiłam go, by mi wskazał drogę do El Verano, ale odpowiedział bardzo łamaną angielszczyzną; gdy jednak powtórzyłam moje pytanie po francusku, twarz mu się rozjaśniła i zawracając z wozem, zaproponował, że mię dowiezie do El Verano. Siedząc na worze ziemniaków, obok woźnicy bez surduta, ale robiącego mi honory okolicy z całą gadatliwością

właściwą Francuzom, odbyłam wjazd swój do tajemniczego El Verano. Opiekun mój niespodziany był Belgiem i zawiózł mię do jednej ze swych rodaczek, trzymających latem pensyonarzy; teraz jednak miała dom próżny i tym razem przynajmniej, nie miałam trudności z pomieszczeniem się.

Tutaj możnaby mniemać, że się jest w Europie raczej, niż w Ameryce: nie słychać ani słowa po angielsku, tylko francuskie; osadnicy bowiem są to Belgowie lub francuscy Szwajcarzy. Zajmują się po większej części uprawą wina lub owoców i zdają się prowadzić życie nader spokojne i szczęśliwe, tak, że nie wzdychają do powrotu do ojczyzny, chyba na krótkie odwiedziny. Kilku starszych Szwajcarów powiedziało mi, że wróciliby chętnie do ojczyzny, gdyby mieli dostateczny kapitał na utrzymanie, ale kto potrzebuje zapracować, dla tego Ameryka, a zwłaszcza Kalifornia jest najlepszym krajem; tu bowiem niema zimy i rok cały można zarabiać. Co się tyczy młodych kolonistów, ci upewniają skwapliwie, że są Amerykanami, nie Europejczykami. Ameryka ze swoją swobodą, niezmiernymi przestrzeniami i ogromnem polem przygód i działania, dogadza młodym umysłom i siłom — nie chcą innej ojczyzny.



anim ujmę znowu swój kij wędrowny, chcę ci przesłać jeszcze pozdrowienie z pięknej Kalifornji. Zakończenie roku szkolnego miałyśmy 23-go maja i tegoż dnia mogłabym była na Zachód uciekać, ale pewna dama z Napa zaprosiła mię serdecznie, by u niej choć dni kilka wypocząć i wzmocnić się przed dalszą podróżą w nieznanne kraje. Rzeczywiście nigdy bardziej nie potrzebowałam pokrzepienia, jak teraz; klimat bowiem w San Francisco nie służył mi wcale: nigdy w życiu tyle się nie nacierpiałam na katary, ból zębów, ból gardła i wszelkie inne bóle, co tu w ostatnich miesiącach. Szczęściem nie byłam ani razu chora obłożnie tak, żeby nie módz wypełniać swych obowiązków, ale ciągłe niezdrowie utrudnia życie. Muszę ci się jednak pochwalić, że wyjście moje z tutejszego pola pracy było nader zaszczytne, a koniec roku szkolnego prawdziwym dniem tryumfu dla twej przyjaciółki. Miss Hamlin połączyła w tym roku zakład swój z uniwersytetem Kalifornijskim, tak, żeby uczennice bez dodatkowych egzaminów wprost z ostatniego kursu na uniwersytet zapisywać się mogły. Z tego powodu w ostatnich czasach

zjawiali się w szkole naszej ustawicznie profesorowie, kontrolując wykłady i wizytując klasy. Profesor francuskiego przyszedł ostatniego dnia na moją godzinę i to właśnie do najlepszej mojej klasy. Gdybyś uczyła kiedy w większym zakładzie, wiedziałabyś, że są klasy, w których wszyscy uczniowie lub uczennice są tępe i pozbawione poczucia obowiązku, jak gdyby dotknięci jakąś epidemią; a znów inne, w których wszyscy są inteligentni i wzorowi. Otóż z tych ostatnich złożoną klasę miałam, gdy się zjawił niespodzianie profesor Howard. Naturalnie poszło wszystko doskonale tym dziewczętom: ani jedno pytanie profesora nie zostało bez odpowiedzi; odpowiadały zaś bez wahania i jankania, jak to bywa w podobnych okolicznościach, ale krótko, jasno i spokojnie. Przyjemność było słuchać. Profesor nie rzekł wprawdzie ani słowa, ale gdy się oddalił, po chwili weszła do nas promieniejąca Miss Hamlin — i oznajmiła nam, że profesor oświadczył, iż mu się nie zdarzyło spotkać tak dobrze uczonej i tak rozwiniętej klasy. Czy byłam zadowolona? Możesz sobie wyobrazić. Sposób, w jaki dziękowały mi później wszystkie uczennice, wynagrodziłby mi nie tylko za trudy w ostatnich poniesione miesiącach, ale za pracę całego życia mego. Muszę jednak wyznać, że i tu przyczyniło się moje szczęście — zrządzenie

losu, że tak powiem; przecież profesor mógł tak samo trafić na jedną z moich głupich klas, a wtedy sąd jego wypadłby inaczej. Dziwna, jak mi często los sprzyja! Nie możnaby bowiem znaleźć lepszego sposobu przekonania panny Hamlin, że mała, nieznacząca osóbka, którą tak niechętnie umówiła w przeszłym roku, potrafiła jednak zadanie swe spełnić.

Ale dość już o moich szkolnych tryumfach; mam ci coś równie, a może bardziej interesującego do opowiedzenia. Otóż na raucie, który onegdaj wydała nasza przełożona, poznałam pewną panią z Nefszatelu, koleżankę twojej ciotki Margerity. W ciągu wieczoru zbliżyła się do mnie jedna z pań i zapytała: »Zdaje mi się, że to Pani jest osobą, o której czytałam artykuł w gazecie; tylko nazwiska nie zapamiętałam; czy tak?« »Być może; pojawił się w piśmie »Coll« bardzo poetyczny artykuł o mojej prozaicznej osobie; ale nie wiem, czy to właśnie Pani przeczytała«. I tak stopniowo się rozgadawszy, przekonaliśmy się, że dama ta pochodzi z Nefszatelu, gdzie ja nauki kończyłam, kolegując i przyjaźniąc się z tobą, tak jak ona niegdyś z twoją ciotką. Wynałazłyśmy jeszcze wiele innych wspólnych znajomych i gawędzie nie było końca.

Jutro niestety, muszę pożegnać swoich tujejszych przyjaciół i cichą dolinę Napa, a jeśli

wszystko dobrze pójdzie, otrzymasz następny list ze świętej krainy Mormonów.

61 list.

Salt-lake-City w Stanie Utah
4 czerwca 1899 r.



Przybyłam tu dziś raniutko i jestem tak zmęczona i słaba, jak gdybym się tłukła tydzień cały na oceanie Spokojnym. Słyszałaś przecie o sypialnych wagonach amerykańskich, jak są wygodne i przyjemne; otóż ostatnie dwie noce przepędziłam w takim »sleeping'u« i upewniam cię, że nikt mnie odtąd nie ujrzy w pulmanowskim sypialniku; ze wszystkich bowiem niewygodnych sposobów podróżowania, ten jest najniewygodniejszy. Drogie to jest wielce, więc zbyt kosztowne, ale zresztą niewiadomo, na czem ów zbytek polega. Jeżeli sobie można pozwolić na osobny wagon lub na przedział salonowy, gdzie jest się samym, wierzę, iż to najdogodniejszy sposób podróżowania, ale być zamkniętą w wagonie sypialnym razem z wielu osobami płci obojga, mieć tyle tylko miejsca, że można leżeć nie ruszając się prawie, a stanąć ani usiąść niema gdzie; w dodatku braknie powietrza do oddychania — czyż to »wygodą« nazwać można? Dotąd nie podróżowałam w slee-

pingach i nie wiedziałam, jak wyglądają; dopiero przy kupnie biletu u Cooka w S. Francisco, gdy mię zapytano, czy chcę mieć miejsce na górze czy na dole, pojęłam, że to ma być coś w rodzaju kajut okrętowych. Jakież było moje zdziwienie, gdy mię wprowadzono do wytwornego wprawdzie, ale zwyczajnego długiego wagonu, już zapełnionego kobietami i mężczyznami. Żadnych oddzielnych »coupés«, tylko po każdej stronie od przejścia dziesięć podwójnych miękkich kanapek, jak w zwykłych wagonach. Gdzie tu urządził łożka, nie pojmo wałam i dziwiłam się, że tymczasem wpuszczono mężczyzn do damskiego przedziału, a i tak dość było nieprzyjemnie dzielić sypialnię z dwudziestu damami. Przecież niepodobna, aby w kraju cywilizowanym mieszczono razem mężczyzn i kobiety jak śledzie w beczce, myślałam sobie, jednak niepokój mój wzrastał, zwłaszcza gdy posługacz wniósł elegancką męską walizkę i ustawił naprzeciw mnie w moim małym przedziałku, niebawem zaś wszedł równie elegancki pan i usiadł przy walizce. »Nie przeszkadzam Pani?« — spytał grzecznie, kłaniając się. »Wcale nie« — odrzekłam równie grzecznie, z cicha łyżę połykając, ale gdy tylko mój vis à vis zniknął w sąsiednim wagonie dla palących, pobiegłam szukać konduktora, aby go zapytać, czy niema jakiej omyłki z moim nu-

merem. »Numer 5 — to łóżko na dole — dobrze, a pan ten ma łóżko na górze — »all right«, niech Pani będzie spokojna«. Mnie jednak wcale się to nie wydawało »all right«, i przyznam ci się, że przez pierwsze dwie godziny podróży, byłam w kompletnej desperacji. Około dziewiątej, gdyśmy minęli Sacramento, stolicę Kalifornji, weszli posługacze kolejowi i zaczęli łóżka rozkładać. Dwa siedzenia każdego przedziałku łączyli w jedno, układali materac i resztę pościeli, zaciągali firankę i łóżko gotowe; potem jednak wyciągali rodzaj szufłady u góry i tam budowali drugie łóżko. Ostatecznie więc każdy ma swój kącik, ale jakże niewygodny! Za firanką, ściśle do łóżka przylegającą, niema gdzie stanąć: trzeba się ubierać i rozbierać siedzący, a górne łóżko tak nisko zawieszone, że nawet ja, malutka, siedząc, nie mogłam włosów upiąć. Na końcu wagonu jest wprawdzie maleńka ubieralnia z umywalnią, ale tam zaledwie jedna osoba zmieścić się może i w dodatku spotyka się ciągle panów po drodze. Nie, ten system sypialni nie przynosi zaszczytu amerykańskiej pomysłowości, a co najgorsza, cierpi się na zupełny brak powietrza, gdy nie można otworzyć okna, co właśnie tutaj, w przejeździe przez ogromną piaszczystą pustynię Środkowej Ameryki miało miejsce. Dla ochrony od pyłu, zasunięto jeszcze okna

podwójne, a firanki przy łózkach tak są grube, że ich żaden powiew nie przeniknie. Niekiedy próbowałam uchylić trochę swojej kotary, za którą dusiłam się z gorąca, ale za każdym razem posługacz, spacerujący noc całą wzdłuż przejścia, starannie ją zasuwiał. Około drugiej w nocy wstałam, ogarnęłam się i wyszedłszy na platformę usiadłam na tabureciku i przypatrywałam się aż do rana jednostajności pustyni, gdzie na przemiany piaski bezbrzeżne i suche trawy stepowe ciągnęły się, jak okiem zajrzeć; przytem zaprzysięgłam sobie w cichości nigdy odtąd nie jeździć sleepingiem amerykańskim.

O Salt-lake-City nic ci dziś nie powiem, prócz tego, że mi się wydaje rajem ziemskim; ale każdemu, kto spędził kilkadziesiąt godzin w pustyni, każda łączka zielona wydałaby się rajem, więc sąd mój musi być stronniczym. A zatem na drugi raz!

62 list.

Salt-lake-City w Utah, 23 czerwca 1899 r.



Pierwsze moje wrażenie w Salt-lake-City było prawdziwe; im dłużej tu jestem, tem bardziej podoba mi się. Najprzód jest to najspokojniejsze i najczystsze z miast, jakie znam; powtóre, ślicznie jest położone u stóp wspa-

niałych, śniegiem u szczytu ubielonych gór Skalistych, a chociaż otoczone pustynią, ma tyle zieloności i świeżości, że już więcej pragnąć nie można. Szerokie ulice miasta wysadzone po obu stronach pięknymi drzewami; na każdej jest kilka studni, a wodociągami płynie czysta, źródłana woda. Gdy się pomyśli, że tu przed półwiekiem była jeszcze pustynia, że wodę z daleka sprowadzać musiano, że to wspaniałe miasto, ten ogród kwitnący utworzyła garstka znudzonych wędrowców w czasach, gdy jeszcze nie było połączenia z resztą świata, a najbliższe miasto leżało o 1000 mil angielskich (3 mile ang. = około 5 kilometrów), — to trzeba podziwiać i czcić odwagę, pracowitość i wytrwałość tych ludzi. Gdyby Mormoni mieli wszelkie wady i błędy ludzkie, już za to, co stworzyć potrafili, odmówić im niepodobna szacunku i uznania.

Przeszłego roku w Kalifornji dużo się naczytałam o Mormonach i nasłuchiłam od ludzi, którzy na osadę ich rzucili okiem z wagonu w przejeździe do Colorado i uważali się za wybornie poinformowanych, ale najgorszych tylko rzeczy o nich się dowiadywałam. Nawet dyabła tak czarnymi nie malują barwami, jak Mormonów w Ameryce. Że się mimo to ośmieliłam na zwiedzenie tej osady, należy przypisać memu uporowi, bo niektórzy znajomi odstra-

szali mię niebezpieczeństwa, na jakie się narażam. Wydawało mi się, że mam misję do spełnienia i całymi miesiącami gotowałam się do tego, co uważałam za obowiązek sumienia; powiedziano mi bowiem, że się tu znajduje wiele Szwajczerek, zwabionych kłamliwymi obietnicami, obecnie zaś wiodących nędzne i haniebne życie w poligamii. Otóż postanowiłam sobie rzecz zbadać na miejscu i w razie potrzeby przesałać do gazet szwajcarskich korespondencye, któreby zwróciły uwagę rządu i przeszkodziły emigracyi dziewcząt ze Szwajcarji do Stanu Utah. Przejęta swoją rolą bohaterską, spieszyłam do Mormońskiej osady, ale zaledwie trzy tygodnie tu jestem, a już widzę, że moje bohaterstwo w proch się rozsypało; wszystko to na widok zadowolonych twarzy moich rodaczek i zacisznych siedzib domowych, w jakich one żyją. Nie jestem stworzona do nawracania, widzę teraz — brak mi fanatyzmu. Jak tylko zacznę studyować ludzi z zamiarem naprowadzenia ich na lepszą drogę, wynajduję w nich tyle dobrych przymiotów, że się wstydzę, iż kiedykolwiek miałam się za lepszą od nich i wszelkie apostołskie zamiary pierzchają. Tak i tu się stało.

Mówiono mi, że nie znajdę sposobności zbadania życia rodzinnego Mormonów, drzwi ich bowiem zamknięte są przed obcymi; ale i tu

los mi sprzyjał. Właściciel hotelu, w którym zamieszkałam, jest to Niemiec, od dwudziestu lat tu mieszkający i znający wielu Mormonów, ale powierzchownie, żaden Mormon bowiem, nie wchodzi do restauracyi ani kawiarni. Okazało się jednak, że zegarmistrzem jego jest Mormon Szwajcar, piastujący zarazem godność prezydenta niemieckiego kościoła. Pod pozorem zrewidowania mego zegarka, poszliśmy do rodaka mego i wkrótce nawiązała się ożywiona rozmowa o dalekiej ojczyźnie; gdy zaś Mormon nasz wykrył, że ja nie jestem żadną reporterką gazeciarską, tylko podróżuję o własnych siłach i na własny rachunek, a prócz tego wykazało się, że czwarta żona jego jest z Berna, zaprosił mię do jej mieszkania, z czego skwapliwie skorzystałam. Za pośrednictwem pani R. Nr. 4, zapoznałam się z innymi numerami tegoż nazwiska, oraz z żonami innych Mormonów, podczas gdy znów pan R. przedstawiał mi rozmaitych mężów, tak, że ostatnie dwa tygodnie przeżyłam w towarzystwie samych prawie Mormonów i mniej znalazłam nędzy i zepsucia, niż gdzieindziej na świecie. Zbytku tu także nie widać, a ludzie, których poznałam, wiodą życie pracowite i skromne. Muszą wiele pracować, mając tak liczne rodziny; przytem składają dziesięcinę dochodu swego na kościół; kościół zaś, który na każ-

dym kroku i w każdym zakątku ma swoich wysłańców i nadzorców, wymaga pracowitości i wstrzeźliwości od członków swoich. Nie wolno im ani palić, ani używać napojów wyskokowych, ani też robić wydatków nadmiernych. Gdy kto nie ma roboty, dostarcza mu jej zarząd kościelny; gdy nie jest zdolny do pracy, wspiera go kościół, ale próżnować nie wolno nikomu. Co się tyczy ich wielożeństwa, różni się ono od życia na Wschodzie: tu każda żona ma swoje własne mieszkanie i kierunek wychowania swych dzieci; ojciec zaś po kolei spędza tydzień w każdej rodzinie. Ma się, rozumieć, że takie urządzenie nieznośnem byłoby dla kobiety wykształconej, szukającej w życiu czegoś więcej niż bytu materyalnego, ale z kobiet, które tu poznałam, żadna nie ma wyższych poglądów — ani dążeń. Moja rodaczka, podobnie jak Niemki i Skandynawki tu osiadłe, pochodzą z niższych klas wyrobniczych, walczących ciężko o kawałek chleba; dla nich więc porządne mieszkanie i dostatnie jedzenie, równoznacznem być musi ze szczęściem. Czują się tu one szczęśliwsze, niż byłyby w domu swym dawnym, bo mniej pracując, większą mają wygodę, a mężowie ich, trzymani w rygorze przez kościół Mormoński, muszą dbać o utrzymanie rodzin swych, nie waląc całego brzemienia na ramiona żony, jak to bywa w naszym społec-

czeństwie, gdy mąż zarobek przepija, a matkę swych dzieci bije i krzywdzi.

Czy zazdrość ich nie trapi? Zapytasz, czy nie swarzą się i nie kłócą między sobą? Otóż o ile widziałam — nie; żyją ze sobą jak siostry i siostrami się zowią, a pani R. Nr. 4 opowiadała mi, że uprzednie trzy żony jej męża przystroiły jej mieszkanie i stół, gdy wstępowała w progi swe po raz pierwszy, jako nowo-poślubiona. Rozmawiałam z rozmaitemi Mormonkami na temat tej zazdrości, a wszystkie odpowiadały: »Wielożeństwo, to nakaz Boży; trzeba słuchać woli boskiej«. Możeby i wolały, żeby to Bóg inaczej rozporządził, ale godzą się ze swoim losem. Zresztą pytają mię ze swej strony, czy ja sądzę, że u nas mąż przez całe życie jest wiernym jednej kobiecie; gdy zaś odpowiadam, że mojem zdaniem są wierni mężowie tak samo, jak i wierne żony — śmieją się i mówią: »Znać, że Pani mężczyzn nie zna«. Z doświadczeń moich wyciągam przekonanie, że: w porównaniu z naszymi szczęśliwymi małżeństwami, mormońskie jest marnem urządzeniem, ale w porównaniu do złych małżeństw, stoi o wiele wyżej.

Jeżeli mi trudno mieć ostatnie słowo w dyskusyi z kobietami mormońskimi, to gorzej jeszcze, gdy mówię o wielożeństwie z mężczyznami tej sekty. »Dlaczegoż Bóg o tyle

więcej kobiet niż mężczyzn na świat zsyła? Na to właśnie, by każdy poślubił kilka żon — powiadają mi zawsze. Według ich wiary żaden człowiek nie zaślubiony, mężczyzna czy kobieta, nie może być zbawiony, a ponieważ kobiet jest więcej na świecie, mężczyźni muszą dbać o ich zbawienie i stąd poligamia jest zatwierdzona przepisami wyznaniowymi.

W r. 1892 wyszło w Stanach Zjednoczonych prawo, zabraniające wielożeństwa, ale Mormoni starają się je obchodzić wszelkimi sposobami, ci zaś, którzy się przed wyjściem prawa pożenili, nie mogli nawet żon swych odprawić.

Co się tyczy wyznania Mormonów w innym względzie, nie widzę wielkiej różnicy między nimi a innymi sektami protestanckimi, np. sztyndystów. Chodzę co niedziela i w dni powszednie na ich nabożeństwa, ale nie dostrzegam nic takiego, czegobym już pierwej nie widziała i nie słyszała. Pastorów stałych nie mają oni wcale, mówią bowiem, że nie potrzeba wcale do tego nauki, by zostać sługą bożym, a każdy człowiek — szewc, krawiec czy inny pracownik, jeśli tylko przyjął chrzest mormoński i życie nieskazitelne prowadzi, może spełniać obowiązki kapłańskie. Na każdym nabożeństwie wielu z nich mówi kazanie; przeciąga się też to długo bardzo, czasem trzy

i cztery godziny. Czytanie Biblii także wiele czasu zajmuje; prócz tego rozdziały z księgi Mormonów, które prorok ich Józef Smith w cudowny sposób znalazł w r. 1820 i z bożą pomocą, jak mówi, na angielskie przełożył. Mowa tu o historii pierwotnych mieszkańców Ameryki, jednego z pokoleń biblijnych, którzy się stali przodkami białymi wyrodzonych później czerwonoskórych krajowców. Mormoni pilnie nawiedzają kościoły swe: »Tabernakulum« obejmujące około 10 tysięcy ludzi jest zawsze prawie napełnione. Tabernakulum to słynna swą akustycznością, równie jak wspaniała świątynia (Temple) i inne znaczne budowle wznosił następca Smitha Brigham Young, który lud swój tu przyprowadził i zmarł w 1877 r.

Odnaczają się jeszcze w mieście mormońskim łaźienki nad jeziorem słonem, jeden z najpiękniejszych gmachów w tym rodzaju na świecie całym. Popołudniu zawsze wre tam życie: muzyka gra a pociągi kolejowe co pół godziny wyrzucają tłumy gości kąpielowych z miasta. Pawilon łaźienkowy zdaje się być jedynym miejscem, gdzie Mormoni z nie-mormonami swobodnie się komunikują. Sama kąpiel w jeziorze jest już nadzwyczaj przyjemna: woda ma miłą temperaturę i ja nie doznaję tu nigdy osłabienia, jakie zwykłam doświadczać po słonych kąpielach; przeciwnie jest się odświeżo-

nym, odmłodzonym, rzeźwym. Pływać jednak niepodobna w tem jeziorze, tak gęstą jest woda — trzy razy cięższa niż morska: usiąść na niej można jeśli się zna sposób ułożenia nóg, ale dna dotknąć ani sposób, gdy się oddali choć trochę od brzegu; ja też trzymam się zawsze liny rozpiętej ponad wodą, chodzić bowiem po wodzie jeszcze się nie nauczyła. Nie można się tu zanurzyć ani utopić, ale oślepnąć lub udusić się łatwo, gdyby napłynęło za wiele tej tak słonej wody do oczu, ust lub nosa. Żadna żywa istota egzystować w tej wodzie nie może: jest to właściwie jezioro Martwe, a także Jordan doń wpada; zdala zaś błyszczą w słońcu zachodzącym mury świątyni i dachy wspaniałych budowli — to »Nowe Jeruzalem« święty gród Mormonów, którzy się chlubią, że są »wybranym ludem Pana«.

63 list.

Denver (Colorado), 27 czerwca 1899 r.



roku 1859 Denver było osadą — jak czytam w historii Stanu Colorado — składającą się z dwudziestu chat drewnianych; dziś jest to miasto o 160.000 mieszkańców. Tak to wyrastają w tej młodej, czerstwej

Ameryce miasta, jak grzyby po deszczu. Denver, które mieszkańcy jego nazywają »Królową równin«, leży wśród żyznej równiny, otoczone tłustymi folwarkami i ogromnymi pastwiskami (»cattle ranches«), gdzie się hodują niezliczone stada bydła; niedaleko też od obfitych kopalni u stóp gór Skalistych. Dlatego w dni świąteczne gromadzą się tu na hulankę »cowboye« i górnicy, sypiąc hojnie zarobionem złotem, nic dziwnego więc, że się miasto szybko bogaci. Dla turysty, a zwłaszcza dla turystki nie troszczącej się o kopalnie ani o hodowlę bydła, Denver mało przedstawia interesu, nie odznacza się bowiem ani pięknem położeniem, ani wspaniałymi budowlami, i mieszkańcy nie wydają mi się sympatyczni, wcale niepodobni do Amerykanów, jakich znałam dotychczas, bo są nieokrzesani i szorstcy w obejściu. Spodziewam się przecież, że ludzie po tej stronie gór Skalistych nie okażą się zupełnie różnymi od swoich rodaków z za gór, inaczej byłoby to dla mnie wielkie rozczarowanie.



nów jestem o kilkaset mil dalej ku Wschodowi, to znaczy — bliżej ojczyzny mojej. Wyobrażam sobie, że się uczuję blisko domu, gdy ujrzę ocean Atlantycki; wtenczas bowiem

będę mogła powiedzieć sobie: te same wody oblewają wybrzeża pocziwej starej Europy.

Omaha, stolica Prerji leży nad wspaniałą rzeką Missouri a pociąg z Denveru dotąd pędzi mil kilkaset poprzez prerje czyli stepy olbrzymie. Nie wyobrażałam sobie, aby taka okolica mogła być piękna, a jednak stepy mają właściwy sobie, melancholijny urok. Te bezbrzeżne łąny zboża lub kukurydzy ciągnące się gdzieś aż na krańce widnokągu, o zachodzie słońca zwłaszcza, dają wrażenie spokoju i ciszy. Pojmuję teraz to, co mi powiedziała kiedyś młoda dziewczynka ze stepu, że nie mogłaby żyć w Szwajcarji, bo zdawałoby się jej, że góry otaczające wszystko zgniotą ją i zduszą. Nie dziwię się, że człowiek wychowany w bezbrzeżnym stepie źle się czuje między górami, i żałuję, że większą część drogi od Denver do Omaha przejechałam nocą, nie mogąc się dość nasycić tym niezwykłym widokiem. Wokolicy miasta już się nie widzi takiego obszaru.

Uwierzysz łatwo, że tym razem unikałam już »sleepingu« i nocę między Salt-lake, Denver i Omaha spędziłam w zwykłym wagonie, gdzie mi było dobrze zupełnie. Nocą wagony te są prawie puste, Amerykanin bowiem uważałby to za oznakę wielkiego ubóstwa, gdyby kto sobie nie zafundował sleepinga, a że dla niego niema większego wstydu, jak uchodzić za uboższego, woli za drogie pieniądze narazić się na niewygodę i zaduch nieznośny. Dzięki temu, skromniejsi podróżni mogą się nocą wygodnie roztasować, stać lub siedzieć w obszernych wagonach i swobodnie oddychać. Przedostatniej nocy udało mi się oddać przysługę jednej z towarzyszek podróży, czego bym nie mogła uczynić w pulmanowskim wagonie. Otóż około dziesiątej wieczór wsiadła do mego przedziału pani z trojgiem dzieci i zajęła ławkę, po obu stronach której ulokowało się dwoje starszych nieco dzieci i spało wybornie, podczas gdy biedna matka z niemowlęciem na rękę siedziała pośrodku kiwając się w prawo i w lewo a walcząc ze snem, żeby maleństwa nie upuścić a większych dzieci nie przygnieść. Żal było patrzeć, jak się biedactwo mocowało ze znużeniem nieprzepartem, starając się wyprostować i utrzymać w równowadze. Boję się dotykać małych dzieci, żeby ich nie zwichnąć czy nie złamać, ale taka mię litość wzięła nad wy-

męczoną kobietą, że poszłam jej zaproponować by mi powierzyła swoją małą rodzinę a sama zasnęła na mojej ławce, gdzie jej zostawiłam szal i poduszkę. Przyjęła z radością moją propozycję i w momencie zasnęła, a ja siedziałam wyprostowana z jednym dzieckiem na rękach a dwojgiem przytulonych po bokach, — przez całe trzy godziny bojąc się ruszyć i odechnąć mocniej. Z początku wszystko szło dobrze, a dzieci spały jak świstaki; ale po jakiej godzinie zapragnęłam zmienić choć trochę pozycję; gdy zaś matka nie dawała znaku życia, ogarnęła mię straszna trwoga, czy też ona czasem nie wysiadła, zostawiając mi swoje potomstwo. Poręcze były tak wysokie, że nie mogłam zajrzeć, co się tam dzieje, a nieraz przecież słyszałam o podobnych wypadkach. Przed samym wyjazdem moim z Austrii zdarzyło się tak, że pewna pani w wagonie poprosiła sąsiadkę swoją, by zechciała uważać na jej dziecko, podczas gdy ona pójdzie napić się kawy w bufecie: poszła i... nie wróciła wcale. Szczęściem mimowolna opiekunka dziecka była mężatką majątną i bezdzietną, przybrała więc podrzutka za swoje i była zadowolona. Ale na Boga! cóżbym ja zrobiła z trojgiem dzieci? Konduktor widział mię przy nich kilkakrotnie, więc świadczyby za mną nie mógł. W wagonie siedział przedtem jeden tylko

człowiek i ten wysiadł oddawna; przytem zachowanie się jego było tak szczególne, że wątpię, bym go mogła jako świadka zawezwać; mianowicie, gdy się pociąg na jakiejś stacyi zatrzymał, zbliżył się on do mnie z kapeluszem w ręku i powiedział z najpoważniejszą w świecie miną: »Pani, muszę tu wysiąść, proszę mi pozwolić swoją rączkę uścisnąć«. Gdy zaś podałam mu rękę, wyrzekł wzruszony: »Proszę mi wierzyć, że jestem szczęśliwy, że Panią spotkał« — skłonił się raz jeszcze i wyszedł. Osobliwy człowiek! Nie wyglądał na pijanego, ani na waryata, raczej na poczciwego lekarza wiejskiego, a jednak musiał być chyba nieprzytomny, żeby w taki sposób przemawiał do osoby zupełnie nieznamojej. A może wszyscy mieszkańcy Prerji będą tacy i każdy zechce mi rękę uścisnąć? W każdym razie markotno mi się zrobiło, że zniknął jedyny świadek, na którego powołałbym się mogła. Teraz nie pozostało mi nic innego, jak pogodzić się z losem i przygotować na wszelkie ewentualności. Jeżeli nikt nie przyjdzie upomnieć się o dzieci, moim będzie obowiązkiem zająć się nimi i zaopiekować: naturalnie, w takim razie wypadnie mi zupełnie tryb życia zmienić; o podróżach już ani myśleć, trzeba raczej ognisko domowe urządzić i pracować od rana do nocy, żeby tę małą rodzinę utrzy-

mać. Już w myśli widziałam siebie biegającą z domu do domu po lekcjach, a wieczorami jakże byłoby przyjemnie zasiąść przy lampie z moją trójką i odrabiać z niemi zadania szkolne, albo wynajdywać im rozmaite zabawy. Jakże chętnie wyrzekłabym się rozrywek, podróży, ładnego ubrania, byle tylko moją dziatwę dobrze wychować. Dwoje z nich, to muszą być chłopcy — bo koniecznie chcę wychować jednego lekarza i jednego inżyniera. Najmłodsza powinna być dziewczynka: z tej wyraźnie poczciwa, miła, praktyczna kobieta, bez żadnej specjalności, ale gotowa iść wszędzie z pomocą, pociechą, dobrą wolą. I tak sobie marzyłam coraz dalej: już widziałam siebie jako starzejącą się mateczkę dwóch rozumnych i uczciwych chłopców i dorosłej, wdzięku pełnej córki, gdy nagle tuż nademną zabrzmiały słowa: »Dziękuję Pani serdecznie, wypoczęłam i przychodzę po moje dzieci«... i... pierzchły moje marzenia, znikł domek rodzinny, w którym tak się czułam szczęśliwą, znów byłam sama! Gdyby się ta pani była obudziła o godzinę wcześniej, ileżby mi oszczędziła niepokoju i troski! Ale teraz kiedy już postanowiła dzieci zatrzymać, kiedy je wychowałam, pożeniłam już prawie, i dobiegłam do kresu pięknego, użytecznego żywota, teraz mi je odbierać — było okrucieństwem. Jakże zimno i pusto się zro-

biło nagle! Już dwa dni upłynęło od tej chwili, kiedy tyle posiadałam i tyle utraciłam, i podobna mi się tu w Amaha, a jednak czuję się niewypowiedzianie smutną. A może to step szeroki, bezbrzeżny tak nastraja córę Alp szwajcarskich?...

65 list.

Chicago w Illinois, 30 lipca 1899 r.



Miesiąc ten, który przeżyłam w wielkich domach wśród milionerów, przeszedł tak szybko, że mi się nie spostrzegła, a jednak doznałam więcej wrażeń i więcej doświadczyłam potrażeń, niż zwykle przez rok cały. Zdawało mi się, że mi się w San Francisco przyzwyczaiła do amerykańskiego pośpiechu i zaferowania; teraz widzę, że poczciwi Kalifornijczycy, to spokojny ludź w porównaniu z ich współbraćmi ze Wschodu. Ruch w Chicago jest wprost odurzający; mam uczucie, jak gdybym przez cały tydzień kręciła się w karuzelu. Dzieje się zemną, jak z tymi Persami Montesquieu'go w Paryżu; przytem obita jestem na wszystkie strony łokciami silnych, wiecznie śpieszących Amerykanów, którzy mnie, jak frygę w prawo lub lewo obracają; w tramwajach zaś grozi mi śmierć

co chwila, bo tu nie wysiada się i nie wsiada, jak w innych miastach, ale trzeba wskakiwać lub wyskakiwać znagła, bo wóz nigdy porządnie nie stanie. Jak tu sobie radzą starzy i niedołążni ludzie jadąc tramwajem, nie pojmują: zresztą w Chicago mało jest starych, bo któżby dożył podeszłego wieku wśród tej ciągłej gonitwy i pędzenia?

Chociaż Chicago jest amerykańskim miastem »par excellence«, jednak więcej tu się widzi cudzoziemców, niż w Paryżu lub Londynie; w niektórych cyrkułach nawet możnaby mniemać, że się jest w jakimś kraju orientalnym lub europejskim; mniej bowiem słyszy się angielskiego, niż w Niemczech lub Szwajcarii. Chicago ma cyrkuły cudzoziemskie tak duże, jak całe miasta europejskie: polska dzielnica np. zawiera 100.000 mieszkańców; włoska i chińska tylu prawie. Co się tyczy Niemców, ci nie mają osobnego cyrkułu, ale spotyka się ich wszędzie: największe domy handlowe, bankowe itp. noszą najczęściej firmy niemieckie i w plutokracji wielu jest twych rodaków. Wszystkie główne narody świata mają tu swoje osobne dzielnice, większa część tych cudzoziemców szuka rozrywek i załatwia interesa w prawdziwym amerykańskim Chicago, co mu też właściwy nadaje charakter. Na głównych ulicach, jak State-Street słyszeć wszelkie mo-

żebne języki i widać najrozmaitsze stroje narodowe, a co więcej, dwie różne połowy ludzkości, tj. bogaci i ubodzy, albo inteligencya i ciemne masy dzielą między siebie ulice; i tak: po jednej stronie znajdują się wspaniałe domy, pałace, biura itp. i tam się przesuwają eleganckie towarzystwo; po drugiej zaś stronie tej samej ulicy, leżą nędzne garkuchnie, tanie kramy i budy jarmarczne, gdzie się gromadzi uboga i nędzna ludność.

Nie można powiedzieć, żeby Chicago było pięknem lub czystem bardzo miastem: niektóre części, jak cyrkuł Swift albo Armour, czy też miejscowości w pobliżu rzeki są tak woniące, że bez flakonu wody kolońskiej trudno przejść tamtędy. Pewna przełożona ogródka dziecinnego opowiadała mi, że kiedy się starała dzieciom wyobrazić przyjemności życia wiejskiego, opisując drzewa, kwiaty, strumyki, rzeki — jedna z dziewczynek zawołała: »Ach pani, już jabym nie chciała mieszkać na wsi, jeśli tam są rzeki: one tak śmierdzą!« Biedactwo nie znało innej rzeki, jak ta, co w Chicago płynie; nie można więc się jej dziwić. Nad rzeką tą stoi mnóstwo fabryk i zamieniają ją w jakąś gęstawą brunatną polewkę; tu także mieszczą się olbrzymie rzeźnie ze Swift i Armour, zasilające konserwami mięsnymi wszyst-

kie części świata, ale też zatruwające okropną wonią swoje najbliższe sąsiedztwo.

Są także piękne cyrkuły, a przedmieścia zamieszkałe przez bogatych — to prawdziwe ogrody. O tej porze roku piękne części miasta są opróżnione, bo milionerowie wyjeżdżają na wieś. Szczęściem ja także mieszkam na pięknym przedmieściu, ale do środka miasta to cała podróż, to przecież Chicago, to dwumilionowe miasto. W wieczór mego tu przybycia miałam nader nieprzyjemną chwilę z powodu tego oddalenia, mianowicie: zawczasu już obstałowałam sobie pokój w prywatnym pensjonacie, bojąc się zajeżdżać do hotelu w tak osławionem mieście, jak Chicago. Była już jedenaście wieczór, gdy przybył pociąg, a ja, nie wiedząc dokładnie, gdzie leży Madison Avenue, musiałam z dworca wziąć fiakra. Gdybym była wprost z Europy przybyła, sama cena, jaką mi postawił fiakier, byłaby mię naprowadziła na wyobrażenie wielkiej odległości, ale w San Francisco trzy dolary, to zwykła cena kursu dorożki. Zapłaciłam, nie protestując i jadę. Z początku jechaliśmy długo niezmiernie przez część miasta, bardzo ożywioną nawet o tej późnej godzinie, później przez ulice, gdzie mieściły się biura i domy handlowe, zamieszkałe w dzień tylko; tu spotykaliśmy tylko stróżów nocnych i zrzadka kogoś idącego pieszo. Po

chwili zrobiło się jeszcze puściej i ciemniej — jechaliśmy przez jakiś park, potem przez puste zupełnie ulice i zaczynało mi się robić nie-miło; przypominały się rozmaite opowiadania o morderstwach, rabunkach itp. w Chicago; zwłaszcza to, co mi mówiła staruszka z Maitlandu o fiakrach zbrodniczych. Trwoga moja wzmagąta się z każdą chwilą, tem bardziej, że stangret, nie zważając na moje pukanie i wołanie, jechał coraz prędzej. Postanowiłam wreszcie na pierwszym rogu ulicy, gdzie zobaczę policyanta, wyskoczyć i wołać o pomoc; zanim jednak to się stało, zatrzymał się fiakier i stangret mój zaczął rozmowę z jakimś po-cywilnemu ubranym człowiekiem, który wyszedł z sąsiedniego domu i odpowiadał: »Musicie jeszcze przejechać całą długość 74 ulicy, a przed samym końcem zobaczycie Madison-Avenue«. Wszystko więc było w porządku, a stangret dlatego tak szalenie pędził, że myślał, iż dzisiaj nie dojedzie. Długo po północy zatrzymaliśmy się przed drzwiami »Asham-Hall«, a biedny człowiek mruknął ze złością: »Tanio się pani udało; gdybym był wiedział, gdzie to jest, nie wziąłbym z pewnością marnych trzech dolarów (tj. 15 franków)!« Mścił się też na swoim koniu, popędzając go co sił, ale wydało mi się, że on miał słuszność, a przytem winnam mu była pewne zadośćuczynienie

za swoje krzywdzące przypuszczenia, dodałam więc z ochotą jeszcze dolara. Nie zapomnę jednak nigdy przeżytej wtenczas trwogi i nigdy już nie pojedę, zanim się nie dowiem dokładnie, jak to daleko.

66 list.

Boston w Massachusetts, 21 sierpnia 1899 r.



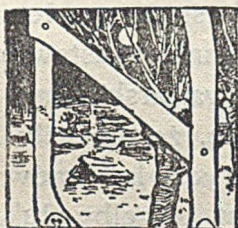
Od wielu lat już sama nie wiem, czemu pragnęłam niezmiernie poznać Boston, i jestem wreszcie u celu mych życzeń. Rzadko się trafia, by rzeczywistość odpowiedziała marzeniom, ale tym razem skarżyć się nie mogę, gdyż Boston nie sprawił mi rozczarowania. Od razu wjeżdżając do Stanu Massachusetts, uczułam się jak w domu: lasy, pola uprawne, siedziby włościńskie ukryte wśród sadów, wszystko przypomina mi ojczyznę, a Boston ze swemi starymi domami, z wązkiemi, krzywymi ulicami, jest zupełnie jak miasto europejskie. Dla mnie to prawdziwa, dziecinna przyjemność gubić się w krętych uliczkach i przy każdym zawrocie odkrywać coś, czego się już nie dojrzało kwadrans przedtem z daleka. Gdy się patrzyło przez siedm lat na nowe kraje, miasta od wczoraj ledwie istniejące, a ulice milowej długości, prawdziwym odpoczynkiem

staje się ta staroświecka niesymetryczność, jakaś swojska, zaciszna. Czuję podziw dla zdobywczej energii pionierów cywilizacji w nowych światach, dla tej kultury, postępującej olbrzymimi krokami na najodleglejszych wyspach kuli ziemskiej, ale na miejsce stałego zamieszkania wybrałabym tylko kraj, mający historię, otoczenie, w którym miałabym czas pomyśleć, zastanowić się, podumać czasami. Pod tym względem Boston dogodnym nie jest: tu także o powolności i spokoju mowy niema, a chociaż pośpiech nie tak gorączkowy jak w Chicago — czuje się jednak, że się jest w Ameryce. W każdym razie ta część nowego świata ma swoją historię i to zajmującą, piękną; nie tylko bowiem rozstawiła się czynami wojennymi, ale wzniosłością ducha i cnotą obywatelską; przecież stan Massachusetts jest ojczyzną najznakomitszych myślicieli i poetów: Emerson, Hawthorn, Longfellow, Whittier tu żyli i działali. Boston też uważany jest za centrum inteligencji amerykańskiej, podczas gdy New York się pyszni swą plutokracją giełdy, a Washington uchodzi za siedzibę towarzystwa »dobrze urodzonych«. Krąży anegdota, że w Bostonie, otwierając komuś drzwi, pytają: »Co umiesz?« w New Yorku: »Co masz?« w Waszyngtonie zaś: »Kto jesteś?« Ogół Amerykanów zarzuca Bostończykom, że są zarozumiali i uważają się za uczonych i wy-

kształconych wielce. W każdym razie różnią się znacznie od mieszkańców zachodniej Ameryki: są poważniejsi, mniej demonstratywni i wytworniejsi w obejściu. Zwłaszcza u kobiet da się to zauważyć: nie ubierają się krzyżąco, nie noszą swych klejnotów po ulicy, mówią i śmieją się ciszej, niż rodaczki ich ze świeższego zachodnie Zachodu. Wyznaję, że chętnie osiedliła bym się między nimi, ale biuro »Fisk Agency« już we dwa dni po moim przyjeździe ofiarowało mi miejsce w szkole pod Filadelfją, a że warunki były dogodne, przyjąłam. Dopiero z końcem września mam objąć swoją nową posiadłość, a tymczasem pozostaję w kraju myślicieli i Purytanów.

67 list.

Concord, Massachusetts, 14 września 1899 r.



trafiłam wreszcie na kawałek
ziemi pozaeuropejskiej,
gdzie zgodziłabym się do koń-
ca życia pozostać; jest to Con-
cord, kolebka swobody ame-
rykańskiej, ojczyzna takich lu-
dzi jak Emerson i Thoreau, oraz ulubienicy
młodych czytelników angielskich, Luizy Alcott,
śliczna wioseczka, cała otulona drzewami, za-
ciszna i spokojna, a tak bliska Bostonu, że w go-
dzinę niespełna dojechać tam można, pociąg

zaś wychodzi co godzina. Żyje się tu na ustro-
niu, a jednak w każdej chwili, w najwygodniej-
szy sposób dostać się można na szerszy świat.
Od lat wielu nie pędziłam tak przyjemnego
życia, jak tu. Zaraz po śniadaniu biorę książkę
i udaję się do któregoś z rozkosznych zaką-
tów, w które obfituje Concord. Na pobojo-
wisku, gdzie w r. 1775 19-go kwietnia padł
pierwszy strzał w wojnie o niepodległość Sta-
nów Zjednoczonych, odczytywałam raz jeszcze
historię tej wojny. Prosta kolumna z kamienia
wskazuje miejsce, gdzie poległ pierwszy An-
glik, opodal zaś stoi piękny posąg, przedsta-
wiający wieśniaka amerykańskiego, który w jed-
nej ręce broń trzyma, drugą oparł na pługu.
Ile razy okiem rzucę na ten pomnik, przejmuję
mię uczucie patryotyczne, bo przecież wojna
o niepodległość Ameryki tak żywo przypo-
mina nasze walki z przemocą Austrii, a chłop
ten szlachetnie stojący na kamiennej podstawie
swojej, tak jest podobnym do szwajcarskich bo-
haterów naszej walki o swobodę, że możnaby
go ustawić w jednym ze starych kantonów
szwajcarskich. Dać mu zamiast strzelby łuk
w rękę, a wyda się, że to Walter Fürst, Melch-
tal, czy Stauffacher.

Drugi zakątek, w którym przesiadywać lu-
bię, to lasek tuż za domem, gdzie dzieciństwo
i młodość spędziła Luiza Alcott i napisała

pierwszy swój utwór »Little Women« (»Małe kobiety«), przedmiot zachwyty dla tysięcy serduszek dziewczęcych. Widownią tej ślicznej powiastki, jest właśnie Concord, i wszystko tam jeszcze się zachowało według jej opisu; widać nawet drzewo, które służyło Józce i Laurie'mu za skrzynkę pocztową; osoby zaś tam występujące, to autorka sama, rodzeństwo jej i sąsiedzi. Józka (Joe) to Luiza Alcott, Amy, artystka, niedawno umarła w Szwajcarii, dokąd za mąż wyszła, a Mag najstarsza, żyje tu jeszcze, jako pani Pratt. Spotkałam ją niedawno na ulicy i chciałam się do niej zbliżyć, ale nieśmiałość mi przeszkodziła, niestety. W lasku obok szopy, w której dzieci z książki przedstawiały utwory teatralne Józki, odczytałam raz jeszcze »Little Women« i wyznam ci, że się nimi zachwycała prawie tak samo, jak za czasów naszego dzieciństwa. Zdawało mi się, że słyszę wesołe głosy dziecięce z szopy, a kiedy chłopaczek jakiś wyjrzał na mnie przez płot, o mało nie zawołałam: »Laurie!« Mówię ci, że to rozkosz prawdziwa choć w złudzeniu tak odmłodnieć i odświeżyć się.

Trzeci jeszcze mam tu ulubiony kącik — to »Walden Pond«, urocze, ciche jezioro w lesie, tak od świata usunięte, że czasem dniami całymi siedziałam nad brzegiem jego, nie spotykając żywej duszy. Tam przemieszkiwał przy-

rodnik i filozof Thoreau jako pustelnik i pisał książeczkę swą p. t. »Walden«. Na wybrzeżu jeziora blisko miejsca, gdzie kiedyś stała chatka pustelnika, lubię leżeć w trawie i marzyć, i czuję się zupełnie szczęśliwą wtedy. Czyż może być co miłszego, niż spoczawszy na miękkiej trawie słuchać szmeru wody cichej, śledzić wzrokiem przesuające się nademną białe obłoczki, dać się do snu kołysać ptasim szczebiotom i nawet z daleka nie słyszeć głosu ludzkiego, któryby przywołał do twardej rzeczywistości. Ach, jak rzadko my, dzieci tego, gorączkowo, w ciągłym pośpiechu żyjącego stulecia — mamy czas marzyć! Ja przynajmniej, od lat dziecinnych nie mogłam sobie na tę przyjemność pozwolić; to też czuję się silniejszą, szczęśliwszą i dzielniejszą, przemarzywszy dni te słodkie w ustronnem miluchnem Concord.

68 list.

Ogoutz-School w Pensylwanji
20 września 1899 r.



d wczoraj wieczór zaliczam się do domowników szkoły w Ogoutz, ale takie miałam trudności z wyszukaniem miejscowości tej, że dotąd muszę się szczypać w rękę, aby uwierzyć, że jestem tu rzeczywiście, a nie marzę.

Ogoutz nie znajduje się na zwykłej mapie, ale wiedząc, że leży blisko Filadelfii, byłam spokojna i wczoraj rano wyjechałam z Bostonu w najlepszym humorze, nie przeczuwając, co mnie czeka w dniu tym jeszcze. Najprzód straszliwa ulewa zatrzymała nas kilkakrotnie w drodze, bo tor był uszkodzony, i zamiast o piątej, przybyliśmy do Filadelfii dopiero po ósmej wieczór. Powtórę pociąg nasz pospieszny — co się w Ameryce nigdy prawie nie zdarza, nie posiadał wagonu restauracyjnego, a żeśmy się nie zatrzymywali inaczej jak w czystym polu, domyślisz się łatwo, że się jeść chciało porządnie. Pokazuje się, że nie ja tylko liczyłam na wagon restauracyjny, po południu bowiem niepokój i niezadowolenie objawiło się w całym naszym pociągu. Panowie chodzili wściekli tam i napowrót, klnąc kompanię Dróg Żelaznych, która sobie pozwala w taki sposób traktować wolnych obywateli amerykańskich; panie siedziały blade i smutne po kątach. Ja także byłam już bliską omdlenia, bo śniadanie spożyłam przed szóstą rano, a niestety nie należę do tych istot eterycznych, co się bez jedzenia obchodzą. Oczekiwałam też Filadelfji z utęsknieniem, postanowiwszy przede wszystkim o kolacyi pomyśleć, jak tylko przyjedziemy. Wysiadając zapytałam konduktora gdzie stoją pociągi do Ogoutz. »Z tego dworca

nie można wcale jechać do Ogoutz, musi Pani przejechać na dworzec »Reading«. Wsiadłam do fiakra i kazałam się wieźć na stację Reading w nadziei, że tam spokojniej zjem kolację. Przyjeżdżam na stację, widzę tuż przed sobą bufet, ale wchodząc pytam portyera, kiedy odchodzi pociąg do Ogoutz. »O 9'17; ma Pani jeszcze dwie minuty czasu, proszę się spieszyć!« Znowu jeść niema czasu, bo tak jest późno, że boję się ominąć ten pociąg; zresztą pocieszam się nadzieją, że wkrótce stanę u celu podróży, gdzie mię czeka zapewne smaczna kolacja. W pół godziny rzeczywiście przyjechaliśmy na małą stację, gdzie ja tylko jedna wsiadłam; stacya źle była oświetlona, a po odejściu pociągu zapanowała martwa cisza. Ani tragarza, ani fiakra, ani żywej duszy nie widać było. Po długiem szukaniu wynalazłam jakiegoś młodzieńca, który zdawał się być naczelnikiem stacyi i tego spytałam jak stąd daleko do Ogoutz-School. »Dobre dwadzieścia minut« — odpowiedział.

»Gdzie mogę znaleźć dorożkę, żeby tam dojechać?« — »Od siódmej wieczór niema tu dorożek« — mruknął. »To może mi Pan zechce wskazać hotel, gdziebym noc przepędzić mogła«. »Musi Pani wrócić do Filadelfji, bo tu hoteli niema«. »Jeżeli tak, to muszę chyba noc przepędzić w poczekalni«. »O nie, tu się

nie nocuje, bo my wszystko na noc zamykamy» — odpowiedział spokojnie młody barbarzyńca. Tym razem musiałam uczynić »nadkobiecy« wysiłek, żeby się nie rozplakać. Tak nędznie, tak nieuprzejmie, jak w tem mieście »Braterskiej miłości« nigdzie mnie nie przyjęto. Nie wiem, co by się dalej stało, gdyby nie pojawienie się jakiegoś, może czternastoletniego chłopaka, którego zdołałam namówić, by mię do szkoły odprowadził. Wyruszyliśmy więc w ciemną, dżdżystą noc, ale jeszcze mię podtrzymywała nadzieja kolacyi. Stanęliśmy przed wspaniałem wejściem do parku i tu oświadczył mój mały przewodnik, że kroku dalej nie pójdzie, bo stróż nocny zastrzeli każdego, kto o tej godzinie przekroczy bramę parku szkolnego. Staralam się mu wyperswadować, że to bajka wymyślona ku odstraszeniu chłopców rabujących owoce i używałam całej swojej elokwencji, by go nakłonić, żeby mnie tu nie opuszczał, zwłaszcza, że nie mogłam udźwignąć swoich tłumoczków; wszystko napróżno, dopóki wreszcie nie obiecałam dolara całego, co go skłoniło natychmiast do narażenia życia. Niebawem stanęliśmy przed pięknym, białym gmachem, który jednak zdawał się zamarły: ani jedno światełko nie błyskało w jego ogromnych oknach, najmniejszego szmeru nie było słychać, jak w pałacu Zakłętej Królowny. Zbliżyłam się

jednak do drzwi głównych, by pociągnąć za dzwonek, ale nim to zdołałam uczynić, wyskoczył na mnie olbrzymi pies. Szczęściem był na łańcuchu, więc gonić mię nie mógł, ale o zbliżeniu się do dzwonka mowy nie było. Co tu robić? Nikt się nie pokazywał, nawet o strasznym stróżu nocnym nie było słychać. Spytałam mego chłopaczka, czy umie gwizdać, a dowiedziawszy się, że talent ten posiada, wyruszyłam z nim na drugą stronę domu, gdzie zapewne były sypialnie, i usiłowaliśmy gwizdaniem obudzić zakłętą królownę. Nagle surowy głos ozwał się za mną: »Co to ma znaczyć?« i ujrzałam stróża, który wysłuchawszy moich wyjaśnień, wprowadził mię uprzejmie do domu i zbudził jedną z pań miejscowych. Zjawiała się narzuciwszy szlafroczek, zaprowadziwszy mię do mego pokoju i objaśniła, że wcale mnie już dziś nie oczekiwano i dlatego drugi raz powozu na kolej nie posyłano. Kolacyi nie proponowano mi wcale, myśląc zapewne, że jadłam w pociągu, albo w Filadelfji; ja zaś nie śmiałam o nic prosić i ginąc z głodu, położyłam się do łóżka. Nie mogę powiedzieć, żebym dobrze spała mimo niesłychanego znużenia, i zdaje mi się, że zmora nocna niczem jest w porównaniu z cierpieniem, jakie sprawia głodny żołądek.

No, jakże ci się podoba mój wjazd do

Ogoutz? Gdybym była osobą przesadną, pożegnałabym się zaraz zrana i odjechałabym z powrotem; ale nie, zrobiłam przeciwnie, i rozpakowawszy swoje kufry, postanowiłam na wszystko się optymistycznie zapatrywać. Zresztą dziś po dobrym śniadaniu, rzeczy inaczej się przedstawiają; cerber wczorajszy przy świetle dziennem wcale straszno nie wygląda.

Szkoła otwiera się dopiero za tydzień; mam więc czas zapomnieć o mojem rozczarowaniu, a gdy się raz do pracy zabiorę, to i nieprzyjemność wszelką łątwiej się zniesie.

69 list.

Ogoutz-School, 22 grudnia 1899 r.



est to pierwszy dzień feryi naszych: ostatnia uczennica odjechała przed godziną, a zakład jest prawie tak cichy, jak w wieczór mojego przyjazdu. Jestem jedyną nauczycielką, która została na święta; ja tylko jedna bowiem nie mam w tych stronach ani krewnych, ani znajomych; jechać zaś dalej nie mogę w tej porze, bo przez lat siedm odwykły od śniegu, stałam się bardzo drażliwą na zimno. Zostałam więc tutaj i przepędzam czas na pisaniu listów.

Przyjemnie mi powiedzieć, że od tego fatalnego wieczora nie doznałam już więcej rozczarowań, ale raczej miłe niespodzianki. Szkoła nasza ślicznie położona w rozległym na 40 juchartów parku. Gmach, jest to pałac urządzony z wszelkim nowożytnym komfortem i największą elegancją: elektryczne oświetlenie, centralne ogrzewanie, ogród zimowy, teatr prywatny, słowem wszystko, co w zbytkownym domu wymarzyć można, a stół odpowiada reszcie. Gdyby nie brzdąkanie na fortepianach i rzępolenie na skrzypcach dające się słyszeć z różnych kątów domu, niktby nie odgadł, że wchodzi do szkoły, zwłaszcza gdy dziewczęta siedzą zajęte w klasach. Nie spotyka się tu zwykłej na naszych pensjach oszczędności i drobiazgowości. Że ceny są wyższe niż u nas, uwierzyć łatwo: 10.000 franków płaci się za ośm miesięcy, gdyż od początku czerwca do października mamy wakacje. Dziewczęta mogące tyle płacić, są już od dzieciństwa przyzwyczajone do zbytku i takiego wymagają; a że Amerykanka od kolebki prawie rządzi się swoją wolą, więc i tu z dziewczętami lat 14 do 20 nie można postępować, jak z dziećmi szkolnymi. Uczennica taka w szesnastym roku życia ubiera się w suknię z trenem i zachowuje się w towarzystwie z taką śmiałością i swobodą, jak czterdziestoletnia dama. Ma na

wszystko własne poglądy, które wyraża bez ogródki wobec starszych pań i siwowłosych senatorów, tak jak i wobec swych koleżanek. Nie zna ona przed niczem obawy ani nieśmiałości i wszędzie potrafi sobie poradzić. Przy nauce jest zdolną, pilną i, co dziwniejsza, posłuszną; tylko nie można z nią despotycznie postępować. Biada nauczycielce, któraby się poważyła karać bez powodu, albo własny swój zły humor spędzać na uczennice! Gdy jednak ja wytłómaczę jasno jednej z moich dziewczeczek, że ją zmuszona jestem ukarać, to się podda uczciwie i dobrowolnie, a w dodatku lubić mnie będzie. Tak więc amerykańskie dziewczęta mimo swej niepodległości są najmilszemi i najlepszemi uczennicami.

Nauka jest tu porządnie traktowana, chociaż mniej gruntownie, niż w Hamlin, gdzie się dziewczęta do uniwersytetu sposobily, a co mi się podoba w Ogontz, to równowaga między kształceniem ciała i umysłu. Po drugiem śniadaniu (luncheon) całe popołudnie poświęcone jest ćwiczeniom ciała: gimnastyka, gry rozmaite, musztra, na którą przyjeżdża dwa razy w tygodniu kierujący oficer z Filadelfji, i wszystkie dziewczynki zmuszone są należeć do »batalionu ogontzkiego«. Jest i fechtunek, ale nie obowiązkowy; mają także zorganizować straż ogniową, niedawno bowiem w oko-

licach Filadelfji wybuchł pożar, który ugasiły ochotniczki z pobliskiej szkoły na długo przed przybyciem prawdziwej straży ogniowej z miasta.

Co się tyczy przełożonej naszej, Miss Bennett, to jest zupełnie wyjątkowa osoba i mam dla niej najgłębsze uwielbienie. Czyż potrzebuję dodawać, że mi tu dobrze?

Jeszcze słówko o moich koleżankach: jest nas piętnaście nauczycielek miejscowych i doskonale żyjemy z sobą. Ja się najwięcej zaprzyjaźniłam z Niemką, panną Klock; trzymamy się razem i ciągle rozmawiamy o naszych stronach ojczystych.

70 list.

Washington Distrikt Columbia,
16 kwietnia 1900 r.



Warto napisać ci słów kilka z pięknej stolicy Ameryki; tu bowiem spędziłam rekreacye wielkanocne i zachwycona jestem wszystkim, co widzę. Według mnie Washington jest najpiękniejszym z miast w Stanach Zjednoczonych; przytem czyste i spokojne. Fabryk tu niema, więc kominy dymiące i sadzą okryte budowle nie szpecą miasta. Nie widzi się także tego szalonego pośpiechu i niepokoju tak męczącego w innych miastach, Washington bo-

wiem zamieszkały głównie przez urzędników państwowych otrzymujących stałą pensję i stałe mających zajęcia. Konsulaty państw zagranicznych także tu mają swoją siedzibę i dlatego Washington stał się środowiskiem wytwornego życia towarzyskiego. Wszyscy prawie milionerzy amerykańscy posiadają tu pałace, w których spędzają zimą kilka miesięcy, a córki ich zaślubiają posłów lub młodych dyplomatów zagranicznych. Jak to się wszystko wspaniale i zbyt kownie przedstawia, możesz sobie wyobrazić. Washington jest miastem pałaców, prócz tego gmachy rządowe, jak Kapitol, Biblioteka miejska i wiele innych okazałe się przedstawiają. Amerykanie nie oszczędzają kosztów, gdy idzie o przyozdobienie ich stolicy. A propos stolicy! zwróć uwagę na to, że Amerykanie nigdy nie wybierają na stolicę największego miasta w Stanie; i tak: nie San Francisco ogromne i bogate jest nią w Kalifornji, ale kilkotysięczne miasteczko Sacramento; w Stanie New York stolica to Albany, nieznaczną miejscina nad Hudsonem. I Washington liczący 3 do 4 kroć stu tysięcy mieszkańców mniejszy jest od wielu znacznych miast w Stanach Zjednoczonych. To wybieranie małych miejscowości na siedzibę rządu ma powody polityczne, których ci wytłumaczyć nie potrafię. W ogóle nie mam zdolności do polityki; amerykańska zaś jest bardziej

jeszcze zawikłana niż w innych krajach. Wiem tylko o dwóch głównych partyach: republikańskiej i demokratycznej, gdy jedna jest u steru rządów, druga zwykle robi, co może, aby ją obalić. I tak Mac Kinley przedstawia stronnictwo republikańskie, podczas gdy Cleveland, poprzednik jego był demokratą.

Co cztery lata zmienia się naczelnik rządu w Stanach Zjednoczonych, a z nim razem wszyscy urzędnicy wybierani nie według kwalifikacji, jakie posiadają, ale stosownie do systemu protekcyi; np. na pocztmistrzów mianuje partya rządząca stronników swoich zupełnie nie przygotowanych do tych obowiązków. Otóż mówiąc o pocztowych sprawach, opowiem Ci ciekawą bytność moją onegdaj w biurze pocztowym tutejszem. Siedziałam tam godzin kilka przyglądając się otwieraniu listów i paczek, które nie doszły do miejsca przeznaczenia swego z powodu błędnego lub niedokładnego adresu. Wierzyć nie można, ile jest roztargnionych ludzi na świecie; gdy bowiem spytałam urzędnika objaśniającego mi wszystko, czy się często zdarza list bez adresu, pokazał mi raport pocztowy, w którym stało czarno na białem, że corocznie około 30.000 listów i pakietów nie adresowanych zwraca się do biura centralnego, nie mówiąc już o tych co są niewyraźnie adresowane. W tych ostatnich całe

grono specjalistów odcyfrowuje nieczytelne pisma, a w ostateczności odsyła je do długiego stołu, przy którym znów siedzący urzędnicy cały dzień nic nie robią, tylko otwierają listy. Jeżeli wewnątrz znajdzie się jaki adres, list odsyłają stosownie do tego, ale mój Cicerone powiedział z uśmiechem, że roztargnieni ludzie i to najczęściej zaniedbują. A niektóre koperty zawierają pieniądze lub czeki bankowe, tak, że w ten sposób około miliona dolarów rocznie rządowi się dostaje. Znajduje się także cały magazyn rzeczy wyjętych z paczek i wystawionych do rozpoznania. Między innymi przedmiotami zauważyłam czaszkę ludzką i uzębienie w złoto oprawne; prócz tego mnóstwo pierścieni, bransolet, medalionów itp. Ileż to żalu sprawiło po świecie niedojście tych pięknych rzeczy!

W przeszłym tygodniu zwiedzałam Mount Vernon, mieszkanie wielkiego Waszyngtona. Dom skromny, ale wygodnie urządzone z przeszlicznym widokiem na rzekę Potomak. Urządzenie zostało takie, jak za życia bohatera wolności. W przedsionku wisi jeszcze klucz od Bastylji po zdobyciu tejże 14 lipca 1789 roku przesłany przez Lafayette'a w podarku przyjacielowi jego Jerzemu Waszyngtonowi »ojcu swobody«.

W poniedziałek wielkanocny widziałam przyjęcie w Białym Domu (White house) siedzibie

Prezydenta i miałam sposobność przypatrzeć się z bliska Mac Kinleyowi. Twarz jego miła niezmiernie i pełna dobroci, obejście zaś tak proste i ojcowskie zarazem, że się nie dziwię iż tak jest czczonym ogólnie a każdy czuje się swobodnym w jego obecności *).

Jutro odjeżdżam z powrotem do Ogontz i wielki czas po temu, jeśli nie chcę z głodu umrzeć. Podają tu dosyć jedzenia wprawdzie, ale cóż, kiedy sługami w hotelach i restauracjach są murzyni, ja zaś w żaden sposób przyzwyczaić się do nich nie mogę. Choćbym była nie wiem jak głodna, gdy tylko zobaczę czarną rękę podającą mi talerz lub tacę, już po apetycie!

71 list.

Ogontz School, 8 czerwca 1900 r.



znowu ferye! Gotowaś pomyśleć, że u nas ciągle wakacje, i rzeczywiście, Ameryka daje szkołom swoim więcej rekreacyi niż gdziekolwiekbądź na świecie; te, które się teraz zaczynają, potrważą blisko cztery miesiące. Zamknięcie roku szkolnego miałyśmy w uprzedni wtorek, a że to się dzieje zupełnie inaczej niż

*) Mac Kinley zamordowany został w 1901 r. przez Czołgosza.

w naszych szkołach prywatnych, muszę ci wszystko opisać. Najprzód cały nasz pałac przystrojony był kwiatami, a w parku były wszystkie wodotryski; pogoda była cudowna. Około 10-tej pojazdy i samochody przywiozły setki gości: panie w strojach, któreby wystąpić mogły u dworu książęcego. O samej dziesiątej zaczęły się popisy szkolne. Nie sądzę jednak, żeby goście nasi narażeni byli na męczarnie słuchania godzinami brzdąkań na fortepianie i recytowanie wierszy przez początkujące dzieci, zresztą wobec liczby stu uczennic w zakładzie naszym, byłoby to niepodobieństwem; nie, występowały tylko panny kończące w tym roku, liczące ponad 18 lat i odznaczające się w muzyce lub śpiewie. Uroczystość cała miała cechę raczej dworską niż szkolną a urządzenie wspaniałe i dla oka przyjemne. Na pięknej estradzie zasiadła przełożona, Miss Bennett, a na dany znak weszły uczennice najwyższej klasy w liczbie siedemnastu, w białych powłóczystych sukniach i złożywszy każda z kolei niski ukłon przed panią przełożoną, posiadały po obu stronach estrady. Gdy ukończyły popis swój, ozwała się wyborna kapela z Filadelfji sprowadzona i zastawiono w kilku salach na werandach i altanach ogrodowych sute śniadanie (lunch) dla kilkuset osób, a popołudniu rozpoczęto w parku bal. Ku wieczorowi pa-

nienki rozjechały się z rodzicami lub krewnymi. Większa część nauczycielek także już opuściła szkołę i ja byłabym to od dawna uczyniła, gdyby nie to, że przyrzekłam swój udział jako kabalarki w urządzanym przez jedną bankierową z Filadelfji, nader miłą znajomą, festynie dobroczynnym. Ku memu upokorzeniu przyznać muszę, że w tym charakterze osiągnęłam większe daleko powodzenie niż w czemkolwiek bądź w ciągu życia mojego; zaledwie bowiem przez dwie godziny wróżąc z kart finansowym potentatom kwakerskiego miasta (przyczem zauważyłam, że panowie są o wiele przesądniejsi od pań), mogłam odnieść z górą tysiąc franków do Kasy dobroczynnej. Zapewne nigdy mi się nie uda tyle zarobić pieniędzy w tak krótkim czasie.

72 list.

New York, 1 lipca 1900 r.



zaledwie trzy tygodnie spędziłam w tem olbrzymim mieście, a już tak jestem znużona, że się życie przykrzy. Wydaje mi się, że jestem Ahaswerrusem, którego niewypowiedzianie zmęczyło wielusetletnie tułanie się po świecie, a jeszcze wieki całe podobnego istnie-

nia nań czekają. Nic przykrzejszego nad życie w wielkiem mieście, gdzie się nie ma żadnego użytecznego zajęcia i żadnej życzliwej osoby. Samotność na wsi to zupełnie co innego: ma się wokoło siebie naturę i ta zdaje się dzielić nasze smutki i radości, sympatyzować z nami, ale samą być w mieście milionowem, widzieć miliony istot ludzkich, z których żadna cię nie przywita, nie spojrzy życzliwie; nie móżdź zamysłwszy się przejść przez ulicę, bo można być rozjechaną co chwila, nie móżdź zaśpiewać ani przemówić półgłosem, żeby nie być wziętą za waryatkę; nawet w domu, gdzie się mieszka, nie mieć do kogo słowa przemówić, poskarżyć się lub poradzić, to dopiero samotność, mogąca do rozpaczki doprowadzić. Mam nadzieję, że nigdy nie będę zmuszoną osiedlić się w bardzo wielkiem mieście, bo potrzeba mi do szczęścia dużo świeżego powietrza, kwiatów, drzew, ptaków i niezbyt ciasnego widnokręgu.

Dla Amerykanów New York jest czemś tak pociągającym, jak Paryż dla Francuzów, oni utrzymują, że tu wszystkiego dostać można, czego się zapragnie. Rzeczywiście tu się znajdzie co najnowsze i najlepsze w Ameryce w dziedzinie muzyki, teatru, mody, dla kobiet zaś przepadających za »sprawunkami« jest tu raj prawdziwy, bo nigdzie nie znajdą takiego doboru zbytkownych towarów, nie droższych

zresztą, niż w Europie, takich wspaniałych wystaw i magazynów. Jeżeli Amerykanka przywozi sobie z Paryża suknie i kapelusze, to nie dlatego, żeby były tańsze i piękniejsze, ale poto, by o niej w gazetach pisano, że ma paryskie toalety. Co do szyku i elegancyi nie potrzebuje się Amerykanka uczyć od Paryżanki; nigdzie się tak dobrze nie ubierają jak tu, i sztuka ta rozpowszechnioną jest we wszystkich sferach społecznych, nie tak, jak we Francji, gdzie jedna tylko klasa stawia to sobie za główne życia zadanie. Amerykanka z jakiegokolwiek bądź sfery ma dar ubrania się po prostu a zręcznie: zgrabnie włożony kołnierzyk, ładnie zawiązana wstążka lub krawatka nadaje pewien szyk skromnemu ubraniu, w którem Europejka jakoś negliżowo wygląda. Może i mężczyźni do tego się przyczyniają, Amerykanin bowiem czy milioner, czy prosty robotnik lubi żonę swoją czy córki ładnie ubrane w domu. Chętnie przyczyni sobie pracy lub odmówi sobie czego, byle módz łożyć na ubranie pań swoich.

Ale dość już o modzie i tualetach. W ostatnich czasach chodziłam często do Castle-Garden przypatrywać się przybywającym tu statkom z emigrantami i smutne robiłam uwagi nad stanem naszej cywilizowanej Europy. Jakież to tłumy ludzi przybywają co tydzień i jacy to ludzie! Gdy się widzi setki włoskich i sło-

wackich wieśniaków wynędzniałych, z brudnymi zawiniątkami, dziwić się nie można, że Amerykanie częstokroć odmawiają nam tej wyższości, którą się w obec nich szczycimy. Wczoraj wylądowało 700 Włochów, samych nędzarzy, a od marca 35.000 ich tu przybyło. Ciężkie dla Ameryki zadanie cywilizować te tłumy ciemne i nieszczęśliwe, a nic dziwnego, że uczuwają taką dumę narodową, porównywując siebie do innych. Gdybym nie była Szwajcarką, chciałabym Amerykanką być!

73 list.

Wodospad Niagara, 22 lipca 1900 r.



zytamy nieraz o ludziach, których Niagara w śmierć zwała, a niektórzy znajomi moi opowiadali, że wpatrując się przez dłuższy czas w białą, pieniającą się przepaść, uczuwali gwałtowną chęć rzucenia się w nurty. Otóż ja muszę być inaczej uorganizowana, bo nigdy dalej odemnie nie była myśl o samobójstwie niż tu, w obec jednego z najpiękniejszych cudów natury. Mnie ona nie wabi w szalony wir swój, ale raczej przykuwa mię na miejscu. Mogę siedzieć godzinami wpatrując się w te wody i tak się przy tem czuję szczęśliwą, że

gdyby jakaś wróżka dobroczynna przedemną stanęła i ofiarowała mi spełnienie życzeń, odpowiedziałabym tylko jak Djogenes Aleksandrowi: »Odsuń się, nie zasłaniaj!« Widziałas, ma się rozumieć, obrazki Niagary, ale te słabe wyobrażenia rzeczywistości dać mogą, bo wspaniałość wodospadu nie polega na głębokości, wynoszącej zaledwie 160 stóp, ale na olbrzymiej masie wód i cudnej grze barw, odbijających się w rozpylonej pianie; także wspaniały jest huk jakby grzmotu potężnego. Nic dziwnego że Indianie nazwali Niagara, tj. »Grzmiący« ów wodospad, a raczej wodospady; jest ich bowiem dwa: większy po stronie kanadyjskiej, i mniejszy po amerykańskiej. Wody tu nie zbraknie, bo rzeka Niagara toczy swe wody z ogromnego jeziora Erie (Iri) o kilka mil od spadu, tak, że właściwie całe jezioro rzuca się ze skały 160 stóp wysokiej, do drugiego jeziora — Ontario. Wyobrażam sobie, jakby to przepięknie wyglądało w otoczeniu takim, jak wodospady Gór Błękitnych w Australji; wtedy Niagara byłaby bez zaprzeczenia najwspanialszym w świecie widokiem. Niestety, otoczenie nie jest wspaniałem, ani nawet naturalnem: po obu stronach wypielęgowane ogrody, karuzele, budy jarmarczne, sklepy, ateliery fotograficzne, hotele i restauracye — oto banalne ramy do tego precudnego obrazu.

Jeszcze Anglicy po stronie kanadyjskiej więcej okazują dobrego smaku, ale Amerykanie, zaślepieni na wszelkie poczucie estetyczne, ośmielili się u stóp wodogrzmotu pobudować fabryki i w ten sposób śnieżnobiałe, pieniące się wody zanieczyścić. Taką profanacyę należałoby karać jak obrazę Majestatu.

Za kilka dni zakończy się moja wędrówka, przyjęłam bowiem miejsce na resztę lata, bojąc się, że czteromiesięczne błąkanie się po świecie pochłonie więcej, niż mój całoroczny dochód. Zresztą chciałabym poznać nieco życie familijne w Ameryce; prawie wszyscy Amerykanie, których dotąd znałam, żyją w hotelach i pensyonatach, twierdząc, że tak daleko taniej i przyjemniej, czemu ja wcale wierzyć nie mogę. Teraz pojedę do małego miasteczka, gdzie przynajmniej ludzie mają swoje ognisko rodzinne.

74 list.

Naples, 18 września 1900 r.



adziwisz się, widząc pieczętkę pocztową na moim liście, i gotowaś pomyśleć, żem już wróciła do kochanej, starej Europy. Nie, tak nie jest, niestety; a Neapol, w którym się obecnie znajduję, nie jest ten, który widzieć

trzeba przed śmiercią, stosownie do przysłowia, ale inne, także »dolce Napoli«, miłuchne miasteczko w jednej z najżyźniejszych dolin bogatego Stanu New York, w sąsiedztwie pięknego jeziora Canandaigua, otoczone obfitymi winnicami, a w dodatku zamieszkałe przez sympatyczny, pracowity, wesoły ludek, wcale niepodobny do mieszkańców jego starego imienika we Włoszech. Wypadek — miejsce to bowiem dostałam przez anons w dzienniku — zaprowadził mię do miłej rodziny pastora, którego jedynemu synowi w wieku lat czter-nastu udzielam codziennie godzinę niemieckiego, a że młodzieniec pilnuje, żebyśmy nie przekroczyli ani o minutę tych 60, które ma trwać lekcyja, więc nie jestem zapracowaną. Przytem prowadzę nader przyjemne życie towarzyskie, gdyż pani P. jako żona pastora, zna całe miasto i mnie, jako swego »gościa« wszędzie wprowadza. Ja zaś oddycham tu pełną piersią, gdyż po jednostajności życia szkolnego i wędrownej egzystencyi, jaką zwykle prowadzę, orzeźwia-jącym jest niezmiernie przestawanie z towarzy-stwem stale osiedlonem. Szczęściem Neapolitańczycy mieszkają we własnych domach, mam więc sposobność poznania Amerykanina zu-pełnie »chez lui«, a jeśli dawniej podziwiałam panie tutejsze, jako nauczycielki i damy świa-towe, niemniei imponują mi teraz jako gospo-

dynie domu. Dziwię się nieraz, jakim sposobem one potrafią tyle dokonać i być przytem w najlepszym humorze. Kwestya sług jest tu równie, jak, a może i więcej utrudniona niż w Australji, tak, że na wsi i w małych miasteczkach niepodobna prawie dostać służących. Zamożne panie, które w Europie trzymałyby dwie lub trzy sługi, zmuszone są tutaj spełniać roboty służebne, co jest tem trudniejsze, że tu zwykle rodzina cały dom zajmuje. Znam w Naples mnóstwo pań, które bez żadnej obcej pomocy dom swój we wzorowym porządku utrzymują, a przytem znajdują czas na uprawianie stosunków towarzyskich. Ma się rozumieć, że wizyty oddają tu dopiero popołudniu, ale i wtedy my europejskie niewiasty, napracowawszy się cały ranek, nie miałybyśmy humoru do wizytowania lub przyjmowania gości. Wprawdzie umieją matki amerykańskie przyzwyczajając swe dzieci do użytecznych zajęć, nie czyniąc w tem różnicy między chłopcami a dziewczętami. Chłopcy tak samo, jak ich siostry, muszą przed wyjściem do szkoły lub uniwersytetu uprzątnąć swój pokój; odzienie zaś i obuwie czyszczą sami, nawet gdy jest służąca, ta bowiem nie poniżyłaby się do takich usług, a wymagać podobnej rzeczy od sióstr lub matki, nie poważyłby się żaden szanujący się Amerykanin. Tak wychowani synowie stają się na-

turalnie wyrozumiałymi, uprzejmymi mężami. Mąż tutaj wstydziłby się dawać się obsługiwać dogadzającej mu we wszystkim żonie, gdyby ona nawet była dość nierozsądną, by się z tem ofiarować; nie klnie i nie łaje, gdy mu braknie guzika w odzieniu, ale sam sobie przyszywa, nie rozsiada się w fotelu, gdy wie, że coś pomódz może. Mam tu młodą znajomą, która sama będąc doktorem filozofii, poślubiła dość zamożnego lekarza, ale mieszkając w małym miasteczku, nie mogą mieć służących i młoda uczona pani wszystkim się w domu zajmuje. Nieraz natrafiłam na chwilę, kiedy ona zmywała naczynie, a mąż doktor z zakasanemi rękawami, zasłonięty fartuchem, wycierał starannie talerze; oboje zaś byli przytem weseli i rozmowni, jak dzieci. Takich mężczyzn nie spotykałam w innych krajach, a tu jest ich bez liku.

Dość o przymiotach mężczyzn tutejszych! Nie powiedziałam ci jeszcze, że w okolicach Naples wielu jest naszych rodaków i wszyscy prawie uprawiacze wina to Niemcy i Szwajcarzy. Przemysł ten nie jest tu tak korzystny jak u nas, bo Amerykanie znacznie mniej piją. Bywając dużo w towarzystwach amerykańskich, zwłaszcza w Kalifornji, zauważyłam, że wino podają na stół tylko u przybyszów z Europy. Na balach nawet braknie napojów alkoholicz-

nych, co nie przeszkadza ożywieniu i szczerzej wesołości w gronach amerykańskich. Pewien handlarz win, Szwajcar, mówił mi niedawno: »W Szwajcarji winnica moja byłaby kopalnią złota, ale tutaj mało przynosi, bo ci przekłęci Amerykanie wcale »pić« nie chcą; wina moje rozchodzą się dopiero w New Yorku lub Buffalo i to między Europejczykami. W domach prywatnych nie piją ani tu, ani w Australji, gdzie jednak pijaństwo się szerzy po szynkach. Przez te lat ośm, od kiedy wyjechałam z Europy, wypiałam jedną tylko szklankę piwa i to w San Francisco po teatrze w restauracyi, w towarzystwie Szwajcarów. Wina razem wzięwszy jednej butelki nie spełniłam, a jednak żyję i zdrowa jestem.

75 list.

Ogontz School, 29 maja 1901 r.



Wybacz, żem znów tak długą zrobiła przerwę w korespondencyi, ale przy jednostajności życia szkolnego, czas, niewiadomo jak, przechodzi; w ciągu zaś rekreacyi Świąt Bożego Narodzenia i W. Nocy składałam kilkodniowe odwiedziny u znajomych.

Pytałaś mię w ostatnim liście, w jaki sposób

bogata panna amerykańska przepędza swój czas pomiędzy ukończeniem nauk a zamążpójściem? Oto w sposób, na któryby się nie zgodziły staromodne, poczciwe gosposie, w Niemczech na przykład. Nie przepędza ona najpiękniejszych lat swej młodości na przygotowywaniu »wyprawy« i nie marzy lata całe o swem przyszłym szczęściu, haftując przytem ręczniki lub znacząc ściereczki, bo: po pierwsze, dziewczeczka amerykańska marzyć nie umie, nie mając w sobie ani atomu sentymentalności; powtóre, nie zawsze małżeństwo jest celem, do którego ona dąży; po trzecie, uważa, iż dość będzie czasu na wyprawę, gdy się znajdzie narzeczony. Szukać rozrywek, bawić się, to, zdaje mi się, główne zajęcie bogatych panien amerykańskich; są jednak i takie, które mają przytem i poważniejsze sprawy. Znam np. rozmaite instytucye dobroczynne utworzone i kierowane tylko przez młode dziewczęta. Między innemi szczególne uznanie moje pozyskał »Chicago-Ogontz-Klub« utworzony przez panny wychowane w Ogontz. Stowarzyszenie to nabyło ładny dom w najruchliwszej części miasta, urządziło go z komfortem i przygotowało tak, żeby w nim odpoczywać i wolne godziny w sposób pouczający i przyjemny spędzać mogły pracowniczki i panny sklepowe z tej dzielnicy. Można dostać i jedzenie za tanie pieniądze, ale to nie jest obowiązkowe;

można nie jedząc wypocząć w południe w lokalu klubowym albo spędzić wieczór w kółku towarzyskiem. Jest tam piękna biblioteka, czytelnie, sale muzyczne, nawet sala do tańca, ale także szkolne pokoje, gdzie się można uczyć bezpłatnie robót ręcznych, buchalteryi, stenografii, pisania na maszynie, języków obcych, a nawet śpiewu, malarstwa i muzyki. Zawsze jest kilka przewodniczek klubu tam obecnych, zajętych dziewczętami: jednym czytają głośno, grają innym lub zabawy im jakieś urządają. Szczególnie wieczorami bywa wesoło, żeby pracowniczki rozerwać po ciężkiej nieraz i jednostajnej całodzienniej pracy, a także uchronić je od mniej stosownych zabaw i zgromadzeń. Ile dobrego takie stowarzyszenie zrobić może w wielkiem mieście, gdzie tysiące dziewcząt żyje bez domu, mieszcząc się częstokroć w nędznych kątach, łatwo sobie wyobrazić. Że zaś klub jest prowadzony przez młode osoby, to go czyni o wiele przyjemniejszym i przystępniejszym dla dziewcząt, niż gdyby na czele stały poważne, surowe damy. Widzisz więc, że młoda amerykańska plutokratka, lubiąc się bawić sama, nie zapomina także o rozrywkach i korzyści innych, biedniejszych. Na to trzeba mieć dużo pieniędzy; otóż młode Amerykanki mają zwykle ojców nie tylko bogatych ale i hojnych. Nam trudno uwierzyć, ile taka panienska,

na pensyi jeszcze będąca dostaje »na szpilki«: 50 dolarów (250 franków) miesięcznie uważa się za bardzo mało. Niedawno jeździłam do Filadelfji z jedną z naszych najmłodszych panieli, która we dwie godziny wydała po sklepach przeszło 100 dolarów, tj. 500 franków. Gdyśmy powróciły, zapytałam przełożonej, czy my nauczycielki mamy prawo przeszkodzić takiemu marnotrawstwu. »Nie wiem, czy można na to poradzić«, odrzekła — jeśli im rodzice tyle dają pieniędzy w rękę. Napiszę jednak do ojca tej panieli, prosząc, by jej dochody trochę ograniczył«. W kilka dni później pokazała mi odpowiedź, w której hojny papa pisał między innymi: »Moja córka powinna dostać tyle pieniędzy, ile tylko jej się wydać podoba« — a ta córka, wyobraźcie sobie, nie ma jeszcze lat piętnastu! Nie powiem, żeby wszyscy ojcowie tutejsi byli tak nierozsądni, ale zdarza się to najczęściej. Zapytasz może, co robi taka panielka, jak zubożeje, co się tu także nie rzadko zdarza. Otóż co najdziwniejsza: z tym samym humorem i ożywieniem, z jakim wydawała pieniądze, zabierze się do zarabiania ich. Niema kobiet bardziej rezolutnych i praktyczniejszych niż Amerykanki: w jednej chwili każda z nich potrafi zużytkować swoje mniejsze i większe talenta, nie przybierając przytem pozy męczennicy, jak to się u nas zdarza. Otwiera sklep

modniarki, albo idzie sprzedawać w magazynie lub zostaje stenografką, buchalterką czy czemś podobnem i wcale nie uważa, by się zniżyła w ten sposób w sferze towarzyskiej. A co dziwniejsza, nie poniża się także w oczach swych znajomych. To jest właśnie piękne w kraju, gdzie praca zaszczyt przynosi, a tylko próżniactwo potępianem bywa.

76 list.

Rouses-Point, 7 czerwca 1901 r.



to już siedzę całe długie popołudnie w małym, nieładnym, niezajmującym gniazdku na pograniczu Stanów Zjednoczonych i Kanady, gdzie nic niema do czynienia, nic do widzenia i, jak się przekonałam, nic prawie do jedzenia, czekając niecierpliwie na pociąg, który mię ma zawieźć do Montreal. Ktoby uwierzył, że w postępowej Ameryce może się przytrafić coś równie staromodnego, jak długie czekanie na pociąg!

Pierwsza część mojej podróży była nadzwyczaj zajmująca, płynęłam bowiem parowcem po jednej z najpiękniejszych rzek w świecie, mianowicie po Hudsonie, który Ameryka swoim Renem nazywa, utrzymując zarazem, że ich Ren

piękniejszy jest od naszego. I zdaje mi się, że gdybym nie była Szwajcarką, więc przejętą patryotyzmem względem naszego Renu uczuciem, skłoniłabym się do przyznania, że Hudson jest wspanialszy może. Nigdzie nie jest on tak dzikim i rwącym, jak bywa Ren, braknie mu również tych starych grodów i zamczysk osnutych legendą i nadających Renowi urok poezyi, ale imponującym jest przez swą niezmierną szerokość, a zachwycającym przez śliczne wybrzeża. Zamków i pałaców nie brak tu także, bo wielu królów giełdy i handlu mają tu swe rezydencje wśród zieleni błyskające wieżyczkami i kopułami, ale wszystko to. nowe, świeże, pozbawione rzec można — duszy, jak to zarzucamy niejednej piękności. Dużo tu jest dla oka, ale mało dla myśli, bo Hudson nie ma tła historycznego, nie ma tradycyi ani poezyi ruin. Możliwość się zgodzić ze słowami dziewczynki w szkole, która na pytanie nauczycielki, czemu Ren jest bardziej zajmującym niż Hudson, odpowiedziała: »Bo starszy«.

Wczoraj popołudnie i noc spędziłam w Albany nieznanym i nie ciekawym miasteczku, o którym nie wspominaliby nawet, gdyby nie było stolicą najgłówniejszego ze Stanów Unii i nie leżało nad Hudsonem. Chciałam odbyć podróż swą z Albany poprzez słynne z piękności jeziora George i Champlain; ale niestety że-

gluga po jeziorach tych otwarta będzie dopiero w lipcu, tak, że musiałam poprzestać na kolei żelaznej, niezwykle, jak na Amerykę, marudnej i dziś siedzę w tej nudnej dziurze do wieczora, żeby potem, o północy dopiero przybyć do Montreal, dużego, zupełnie mi obcego miasta. Niezbyt to przyjemna perspektywa, i w takich razach zazdroszczę ludziom, którzy nie podróżują, lecz siedzą spokojnie i wygodnie w swoim rodzinnym zakątku.

77 list. Montreal w Kanadzie, 15 czerwca 1901 r.



koło jedenastej w nocy, po nudnym piątku, przed tygodniem właśnie, przybyłam wreszcie do Montreal, a ponieważ hoteli nie znam tu nawet z imienia, kazałam się zawieźć do chrześcijańskiej gospody dla kobiet, co w Ameryce jest najbezpieczniej, każde bowiem większe miasto ma taką gospodę, a jeśli tam pomieścić nie mogą, wskażą stosowne jakieś miejsce. Tak i mnie się zdarzyło: gospoda była pełna, ale zaprowadzono mię do pewnej angielskiej damy w sąsiedztwie, która utrzymuje stołowników i gdzie się wygodnie ulokowałam.

Zwiedzam Montreal w zwykły swój spo-

sób. Jak tylko przybędę do większego miasta, kupuję sobie przewodnik z dobrym planem i codziennie z jego pomocą studyję tak dokładnie jedną część miasta, że się oryentować mogę bez książki. Nie lubię być od razu wszędzie poznana jako turystka; dlatego nie noszę się z Guide'm, chyba z konieczności; zato plan miasta wrazam sobie tak dokładnie w pamięć, wyuczam się nazw ulic i połączeń tramwajowych tak starannie na pamięć, że nigdy prawie nie zbłądzę. Gdybym zaś zmyliła drogę, pozostaje mi pytanie otaczających, co nie jest trudnem, jeśli znam ich język. Tu w Montreal potrzebne są dwa języki, bo chociaż Kanada od 1763 roku jest posiadłością angielską, to jednak połowa mieszkańców mówi po francusku, nie znając ani słowa angielskiego. Nie mogę pojąć, jakim sposobem dwie rasy ludzi sto lat przeszło żyją obok siebie i nie rozumieją nawzajem swego języka; nie wierzyłabym nawet temu, gdybym się nie przekonała osobiście.

Francuska Kanada jest gorliwie katolicką, podczas gdy angielska, naturalnie, wyznaje protestantyzm. Z tego powodu wychowanie młodzieży jest podzielone: Anglicy, mianowicie, uczą się w szkołach państwowych, Francuzi zaś korzystają ze szkół duchownych. Księża czy to ze wstrętu do Anglików, czy z obawy ich wpływu wyznaniowego, nie pozwalają wy-

chowańcom swym uczyć się angielskiego języka, tak, że są całe cyrkuły miasta, gdzie nawet nie rozumieją po angielsku. Że tak jest przekonałam się we właściwy a dość zabawny sposób. Idę do cyrkułu francuskiego np. i wypytuję wszystkich młodszych i starszych, kobiety i mężczyzn o cokolwiekbądź, ale po angielsku. Wszyscy bez wyjątku odpowiadają: »J'sais pas anglais«, wruszając ramionami, ale jednak wzbudzam ciekawość lub sympatyę ludzi, którzy starają się odgadnąć, o co mi idzie, postępują za mną i wkrótce jestem otoczona całą gromadą. Kiedy widzę, że się ich tyle nzbierało, obracam się i zadaję moje pytanie po francusku. Warto zobaczyć, jak się nagle wszystkie twarze rozjaśniają, jak się cała gromada ożywia i języki w ruch wprawiają. Wszyscy naraz chcą mówić i wskazywać, i muszę dobrze uważać żeby cokolwiek zrozumieć, bo w dodatku używają nader ciekawej, staroświeckiej francuszczyzny. Jest to niezmieniona prawie mowa ich praojców, wieśniaków francuskich, którzy za czasów Ludwików XIII i XIV do Kanady wywędrowali.

Montreal jest bardzo ładnem miastem i ma około 300.000 m.; leży na północnem wybrzeżu wspaniałej rzeki Św. Wawrzyńca (San Lorenzo), u stóp pięknej góry, Mont Real, którą odkrył i nazwał dzielny żeglarz francuski Jacques

Cartier w 1534 roku, a która znów miano swe miastu nadała.

Nie domyślisz się nigdy, kogo ja poznałam wczoraj w kościele. Jest to rodak mój, o którym słyszeć musiałaś, gdyż on jest prezydentem »Związku chrześcijańskich mężczyzn«, p. Karol Femand z Genewy. Związek ten, który był pierwszym w swoim rodzaju na lądzie amerykańskim, obchodzi w tym tygodniu pięćdziesięciolecie swego istnienia, i na tę uroczystość właśnie przybył p. Femand. Przypadkowo trafiłam zeszłej niedzieli do kościoła w chwili, gdy on z kazalnicy wypowiadał wspaniałą mowę do swych współbraci amerykańskich, a mówił tak porywająco, że nawet Amerykanie, którzy wcale nie są entuzjastycznie usposobieni do cudzoziemców, zaczęli gwałtownie oklaskiwać, chociaż to było w kościele! Do mego serca przemówił on najmocniej w zakończeniu swej mowy; wspomniawszy bowiem, z uznaniem i podziwem o rozmaitych pięknych instytucjach tutejszych i korzyściach, jakie przynosi przynależność do wielkiego, wolnego narodu, dodał: »Nie sądźcie, jednak, przyjaciele moi, bym ja, wyrażając swe uwielbienie dla wszystkiego co piękne i wielkie w kraju waszym, pragnął być czem innym niż jestem, nie! dumnym się czuję, zem Szwajcar«. »I ja także« — dodałam w duchu.



merykańskim Gibraltarem« nazywają Kwebek, czemu się nie dziwię, porównywując obrazki Gibraltaru, jakie widziałam, z krajobrazem, który się nam przedstawił, gdyśmy statkiem do Kwebeku dopływali. Naga stroma skała z potężną, najwarowniejszą w Ameryce twierdzą u szczytu; u stóp zaś nad wodą nędzne lepianki i brzydkie składy towarów, oto co się przedstawia oczom przybywającego parowcem z Montreal podróżnika. Rozczarowanie to wielkie z początku, bo tyle się słyszało i czytało o pięknym niezmiernie położeniu Kwebeku, że oczekuje się wcale czego innego. Ale zawód ten długo nie trwa, statek bowiem okrąży skałę i nagle spostrzegamy piękny, malowniczy, po starowiecznemu wyglądający Kwebek. Na wyżynie stoi wspaniały zamek Frontenac teraz, niestety, zamieniony w hotel; miasto zaś uwiesiło się na stokach góry zamkowej. Miasta, któreby starzej wyglądało i czasy feudalne bardziej przypominało, nie widziałam nigdy w Europie, chociaż Kwebek właściwie tak starożytnym nie jest, założony w 1608 r. przez Samuela de Champlain, francuskiego oficera, zaprzyjaźnionego z królem Henrykiem IV.

Wrażenie to starożytności jest nie tylko powierzchowne; przeciwnie, wzmacnia się jeszcze przy zwiedzaniu miasta: starofrancuska architektura wielu domów, wąskie karkołomne uliczki, po których literalnie wdzierać się trzeba, a zwłaszcza staroświecka francuszczyzna mieszkańców — przenoszą człowieka nie tylko do starożytności, ale w dawne czasy. Najłatwiej tu wżyć się w epokę Ludwika XV, na każdej bowiem ulicy Starego Miasta stoją gmachy, które w owych czasach rolę odgrywały. Tu się wznoszą domy, gdzie intendenci i oficerowie lekkomyślnego króla, za jego przykładem zabawiali się wesoło i na hulankach życie trawili, podczas gdy piękna, bogata kolonia z wolna i niepostrzeżenie przesuwawała się w ręce skrzętnych Anglików. Gdy się opamiętali, było już za późno i Kanada została straconą dla Francuzów, przez własną ich winę.

Onegdaj zrobiłam wycieczkę na równinę Abraham, gdzie 13 września 1759 stoczono wielką bitwę decydującą o losach Kanady na korzyść Anglików i gdzie obaj wodzowie wojsk przeciwnych — polegli. Skromny pomnik stoi w ogrodzie gubernatora z nazwiskami: »Wolf« po jednej stronie, »Montcalm« — po drugiej, ani słowa więcej. Każde dziecko wie, co te imiona znaczą. Mnie się podoba ta myśl wzniesienia jednego pomnika dla dwóch znakomi-

tych przeciwników, którzy się nawzajem szanować musieli, chociaż obowiązkiem ich było walczyć z sobą.

Wszystkie moje oczekiwania co do piękności Kwebeku przewyższone zostały, gdym spojrzała na wspaniałą panoramę z wysokości zamku Frontenac. U stóp góry, po której pnie się miasto, wpada wielka rzeka Św. Karola (Saint Charles) do potężnych nurtów Św. Wawrzyńca, który odtąd staje się podobnym do ogromnego, płynącego jeziora, a w porcie roi się od statków, jak gdyby nad morzem. Po drugiej stronie ciągnie się długa i szeroka dolina Saint-Charles, a w niej rozsypane ciekawe wioski kanadyjskie. Sadyby włościańskie nie są tu rozrzucone, jak najczęściej u nas, ale domy pobudowano długimi rzędami po obu stronach drogi; z tyłu zaś za każdym domem ciągną się grunta doń należące, w prostej linii daleko hen, aż do rzeki lub góry, tak, że wieśniak musi całą podróż odbyć czasami, nim dojdzie do kresu swej posiadłości. Wysokie płoty dzielą te posiadłości od siebie, tak, że z ziemi nie widać żadnej wegetacji i nader pusto i smutnie to wygląda, zwłaszcza że drzew mało. Podobno budowano się w ten sposób, żeby się zabezpieczyć od srogiej zimy, a także dawniej od Indjan; ładniej jednak byłoby i weselej, gdyby

sąsiedzi tak gwałtownie się od siebie nie odgradzali.

Ta okolica Kanady jeszcze bardziej jest francuską, niż wokoło Montreal: po wsiach tu nie dodają napisów angielskich na szyldach, tablicach i ogłoszeniach; konduktorzy na kolejach lokalnych nie mówią po angielsku, tak, że Anglik we własnej swej posiadłości musi się czuć tak obcym, jak gdyby był we Francji. Wykłady w uniwersytecie kwebeckim odbywają się tylko we francuskim języku i panowie kraju tego muszą się uczyć po francusku, jeśli chcą z nich korzystać; a jednak już półtora wieku, jak Kanada do Anglików należy. Czyż to nie dowodzi, że Anglja jest najliberalniejszą i najbardziej tolerancką z państw kolonialnych. Mimo to francuscy koloniści nie lubią swych angielskich zwierzchników, co nie przeszkadza, że są dla nich grzeczniejsi niż dla swych rodaków i lepiej ich obsługują. Niedawno słyszałam, jak w magazynie kupujący coś Francuz mówił do kupca także Francuza: »Gdybym był Anglikiem, nie ośmieliłbyś się pan tak źle mię obsługiwać«. Zarzut ten zwrócił moją uwagę, dałby się bowiem zastosować i w różnych miejscowościach Europy: np. w naszych szwajcarskich hotelach przeważnie traktują Anglików i Amerykanów, niby głowy koronowane, podczas gdy innym śmiertelnikom nie szczególnie

się dzieje. Anglik mało gdzie jest lubiany, a jednak wszędzie otrzymuje co najlepsze, nawet nie dlatego, żeby najlepiej płacił. A dlaczego? Bo umie doskonale rolę pana odegrywać.

79 list.

Rochester N. J., 2 lipca 1901 r.



dobyś się znalazła przypadkiem przeszłej niedzieli około północy w okolicach dworca kolei w Rochester, mogłabyś przyjaciółkę twą ujrzeć w towarzystwie policyjanta. Cobyś wtedy pomyślała? Śmiech mię bierze, gdy sobie wyobrażę, jaką minę zrobiliby przyjaciele moi z różnych krajów, którzyby mię zobaczyli w takiej chwili, i, rzeczywiście, z pomiędzy niespodzianych mych przygód w podróży, ta może była najniespodziewańsza. Nigdy nie miałam zamiłowania do czytania kryminalnych romansów, tak, że agenci policyjni ani w mem życiu, ani w wyobraźni żadnej nie odgrywali roli; nie przypuściłabym też, iżby osobistość tego rodzaju prowadziła mię kiedykolwiek przez najruchliwsze ulice wielkiego miasta.

Otóż przybyłam, jak mi się to najczęściej zdarza niestety, nocą do wielkiego, obcego miasta. Chciałam i tu poszukać chrześcijańskiej

gospody dla kobiet (»home«), ale nie wiedząc, w której świata stronie ta się znajduje, a pomnąc trwogę, jakiej doświadczyłam w Chicago, postanowiłam się najprzód dowiedzieć, w jakiej odległości leży cel mojej wyprawy, i zwróciłam się do policyjanta stojącego na peronie. »Czy Pani sama?« — spytał mię surowo, zamiast odpowiedzieć. »Tak, sama jestem«. »W takim razie najlepiej będzie, gdy Panią odprowadzę; niedaleko to wprawdzie, ale o tej porze Przytulisko (home) już zamknięte i musiałaby Pani sama na ulicy czekać, nim kto otworzy«. To mówiąc, wyruszył od razu pieszo; ponieważ uznał, że nie warto brać fiakra na małą odległość, a ja podreptałam za moim wspaniałym przewodnikiem, ściągając na siebie ciekawe spojrzenia przechodniów. Opiekun mój był o tyle uprzejmym, że, jak tylko zauważył, że mi się bardzo przypatrują, rozpoczął rozmowę, na dowód, że nie prowadzi mię do aresztu. Miał zresztą słusność, bo Przytulisko tak mocno zamknięte zastaliśmy, żeśmy się ledwie mogli dodzwonić, i dopiero oceniłam dobroć mego strażnika. Co za szczęście, że na takiego właśnie trafiła, wątpię bowiem, żeby wszyscy policyjanci rochesterscy byli takimi gentlemanami.

Rochester jest pięknem, ale nowiutkiem, prosto z igły miastem, o kilka kilometrów na południe od jeziora Ontario, niedaleko Buffalo,

gdzie się obecnie odbywa wystawa, ściągająca tłumy Amerykanów. Dziwy opowiadają o tej wystawie, a jednak najmniejszej nie mam ochoty ją zwiedzić. Wielkim jestem tchórzem w tłumie i wtedy dopiero uczuвам potrzebę męskiej opieki, bez której nie chcę się na żadną wielką wystawę awanturować. Zresztą w ostatnich czasach tyle widziałam i tyle doświadczyłam wrażeń, żem zatęskniła za samotnością i możliwością zebrania myśli, przyjęłam więc zaproszenie na wieś do jednej z mych przyjaciółek. Nie chcę zacierać nowemi wrażeniami doznanych już świeżo. Podróż moja z Kwebeku parowcem po wspaniałej rzece Ś-go Wawrzyńca była przepiękna, a zwłaszcza żegluga około »Tysiąca Wysp«. Nie wiem doprawdy, dlaczego w Europie tak mało wiedzą o pięknościach przyrody tutejszej. Wina w tem Amerykanów, którzy takimi tłumami corocznie do nas przybywają, że wierzyć zaczynamy, iż oni nic ciekawego u siebie do widzenia nie mają; nawet sami Amerykanie nie wiedzą, co posiadają; znam np. pewną damę w New Yorku, która już cztery razy odwiedzała Europę, a dotąd własnej swojej Niagary nie zna. Z »Tysiącem Wysp« gorzej jeszcze, mało bowiem znam Amerykanów, którzyby zwiedzili ten czarodziejski zakątek na rzece Św. Wawrzyńca, a jednak warto odbyć największą podróż, byle to po-

znać. Wyspy — w liczbie tysiąc i cztery — znajdują się niedaleko jeziora Ontario, rozprószone na kilkumilowej przestrzeni po rzece. Niektóre z nich mogą pomieścić po trzy lub cztery domy, ale w ogólności każda zawiera jeden tylko domek z ogródkiem. Malutkie te wysepki zakupiwszy, bogacze wnoszą tutaj prawdziwe rajskie siedziby letnie. Rzadko mi się zdarza zazdrościć komu bogactw, ale posiadania tak ślicznej wysepki zazdrościć każdemu, kto sobie na ten zbytek pozwolić może. Legenda indyjska opowiada o cudnej bogini, która z pękiem róż unosiła się nad wodami i cały swój wonny ciężar rozsypała w rzekę, a z każdej róży zrobiła się wyspa. Należałoby dodać, że tu się osiedliła, każdy bowiem zakątek »Tysiąca Wysp« mógłby godnie bogów ugościć.

8o list.

Waterloo N. J., 19 września 1901 r.



dzisiaj jest dzień żałoby dla całego narodu amerykańskiego, o wpół do czwartej bowiem popołudniu odbył się pogrzeb ukochanego ich prezydenta Mac Kinleya. W chwili, gdy trumnę spuszczano do grobu, na dany znak stanęło wszystko w całym państwie: pociągi, tramwaje,

pojazdy prywatne, wozy, przechodnie nawet. Wszyscy się zatrzymali, stanęli ze spuszczonei głowami, mężczyźni zdjęli czapki — na pięć minut ustał ruch wszelki — naród cały stanął smutnie nad grobem swego prezydenta.

Przez czas trzyletniego mego w Ameryce pobytu, codziennie czytałam wiadomości polityczne w jednej przynajmniej gazecie i nieraz się oburzałam na sposób, w jaki przeciwnicy Mac Kinleya atakowali jego politykę; tem więcej podziwiam zachowanie się ich wobec tej katastrofy. Od dnia 6 września b. r., kiedy anarchista Czołgosz strzelił do prezydenta i ranił go śmiertelnie, do dziś niema w Ameryce republikanów ani demokratów — są tylko Amerykanie. Wszystkie różnice polityczne zatarły się w żalu za człowiekiem zacnym, jakim był Mac Kinley. Jako naczelnik rządu mógł zbłądzić w tem lub owem, ale czysty, szlachetny jego charakter uznać i uczcić musieli najgorsi przeciwnicy, bo — niech pesymiści co chcą mówią — ludzkość wynosi jeszcze nadewszystko zacność charakteru.

Szczyściem dla Ameryki znajdzie Mac Kinley godnego następcę w Roosevelcie. Innym człowiekiem jest wprawdzie nowy prezydent, może mniej mądry, a z pewnością mniej dobrotliwy, ale prawy, silny, prosty być musi mąż ten, którego przeszłość usposabiła na wodza

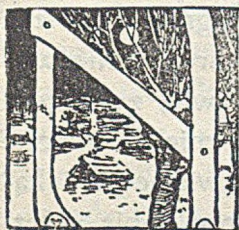
i przewodnika narodu. W Europie nie spotykałam nazwiska jego w gazetach, ale po bitwie pod San Juan pojawiało się wszędzie, a wkrótce potem został wybrany na gubernatora New Yorku. Przeszłego roku zwrócił na siebie znów uwagę dziełem »Życie Kromwela«, a niebawem obrano go wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych. Obecnie jest w pełni wieku męskiego, liczy bowiem 42 lata.

Skończywszy o wielkich ludziach, wspomnieć wypada o mojej małości, bo dziwisz się zapewne, skąd się wzięłam w amerykańskim Waterloo; i po co? Otóż przybyłam na zaproszenie przyjaciółki, a Waterloo nie odznacza się ani pięknościami przyrody, ani wspomnieniami historycznymi: jest to miła, spokojna wioska w północno-zachodniej części Stanu New York. Dlaczego się nazywa Waterloo? Dojść nie mogłam, bo ani z uwielbienia dla Wellingtona, ani z nienawiści ku Napoleonowi; może w braku innego pomysłu, Amerykanie bowiem, tak skłonni do wynalazków w innych dziedzinach, nie posiadają najmniejszego talentu w wynajdywaniu nazw dla swoich nowych miast i wiosek. Umieją tylko naśladować, a zwłaszcza w tej części Ameryki nie spotyka się oryginalnych nazw: mamy w pobliżu Genewę, niedaleko stąd Helwecję, Italję, Itakę, Syrakuzy — cała Europa i Azja dostarczyła

imion, tylko nie Ameryka. Czemu nie dają nazw indyjskich, albo nie zostawiają pierwotnych, pojąć nie mogę; z pewnością byłyby piękniej brzmiące. Prawda, że Anglosasom trudno jest uczyć się nowych i długich wyrazów, więc dbają o swoją wygodę.

Za kilka dni zamienię cygańską swoją egzystencję na spokojny i bardzo cywilizowany tryb życia w Ogontz, i muszę wyznać, że tęsknię za tem, za jarzmem roboczem — taki ze mnie szczególny człowiek się zrobił.

81 list. Salisbury. North Carolina, 1 stycznia 1902 r.



Nie wiem, czy jakakolwiek istota ludzka z większą radością pisze datę noworoczną, niż ja dzisiaj! Rok tysiąc dziewięćset drugi, to rok, za którym dziesięć długich lat tęskniłam, rok, w którym się zakończyć ma moje dobrowolne wygnanie z kochanej starej Europy. Co za szczęście!...

Jestem, jak widzisz, znów w innej części Stanów Zjednoczonych, tym razem na tak zwanem »słonecznym Południu«, które niestety, tego roku jest dżdżystem, chłodnym południem. Od dwóch tygodni mego tu pobytu, ani razu

słońca jeszcze nie widziałam, a jednak przy-
byłam po to jedynie, aby się w promieniach
jego ogrzać. Zamiast tego ziębnę, jak nigdy
w życiu, chociaż niejedną ciężką zimę w Szwaj-
carji i w Polsce przepędziłam. W przeszłym
tygodniu musiałam dzień cały w łóżku prze-
leżeć, aby nie zmarznąć, codziennie zaś w moim
pokoju przebijam lodową skorupę na wodzie,
żeby się mórdz umyć. Nie wyobrazisz sobie,
jakiej to trzeba odwagi, żeby w podobnych
okolicznościach dbać o czystość swojej skóry.
Taka zima jest czems niezwykłem w tej oko-
licy; toteż braknie wszelkich urządzeń zimo-
wych, a domy, zbudowane jak wille letnie,
prócz malutkich kominków, nie posiadają żad-
nych pieców w pokojach. Aż ciągnie człowieka
na Północ, tam bowiem mimo srogiej niezwy-
kle zimy, nie czuje się jej prawie, zwłaszcza
w Ogontz, gdzie mamy wybornie urządzone
centralne ogrzewanie, nie zostawiające ani ką-
cika chłodnego, tak, że chodzimy sobie w let-
nich sukniach po domu. Tu na Południu wo-
góle nie mają wyobrażenia o komforcie amery-
kańskim, a różnica między New Yorkiem i Sa-
lisbury np. jest tak wielką, jak u nas między Ber-
linem a Neapolem, dajmy na to. Gdyby się
nie słyszało wszędzie angielskiego języka, moż-
naby sądzić, że się wyjechało ze Stanów Zjed-
noczonych, tak inni są ludzie, inny kraj. Pół-

noc i Zachód St. Zjedn. to kraj, gdzie każdy sam sobie pomaga, kraj nieustraszonych a pracowitych pionierów, w którym każdy buduje sobie byt swój; dlatego panuje tam dostatek i ład; tu, przeciwnie, jest ojczyzna dawnych wielkich plantatorów, którzy trzymali sobie setki niewolników, używali i nie uczyli się być użytecznymi ludźmi. Gdy w 1863 zniesiono handel niewolnikami, Południowcy wraz z tem stracili całe swoje bogactwo; cóż im po ziemi, kiedy nie było komu jej uprawiać? Wielcy panowie stali się żebrakami, a utraciwszy w ciągu wieków wszelką dzielność i energię, nie mogli się samoistnie otrząsnąć z ubóstwa i próżniactwa. Wiele jeszcze upłynie czasu, zanim oni tyle zapomną i tyle się nauczą, by móżdż dorównać braciom swym z Północy i Zachodu. W towarzystwie Południowcy są nadzwyczaj mili i ujmujący; z galanteryi swej i salonowości przypominają mi Polaków, jak i w wielu innych względach: co do upadłej wielkości swej, obecnej nędzy ekonomicznej, a zwłaszcza nienawiści ku zwycięzcom. Nazwać tutaj człowieka Yankesem (z Północy), to obelga taka prawie, jak w Polsce — Niemiec lub Moskał, a jednak wtedy dopiero staną się Południowcy wielkim i potężnym narodem, gdy nabędą zalety i przymioty swych znieprawionych zwycięzców.

Co do murzynów, zadaję sobie nieraz pytanie, czy też oni tak wiele zyskali przez swoje oswobodzenie, jak to my sobie w Europie wyobrażamy? Czy są oni o wiele szczęśliwsi obecnie, niż dawniej pod opieką lepszych panów, wątpię. Jest jeszcze niemało starych murzynów, którzy z przywiązania zostali u dawnych panów swoich, a kiedy patrzę na tych poczciwych, wesołych starców i porównam ich z młodszą generacją bezradną, trochę podkształconą, rozpróżnowaną i niezadowoloną — powstają we mnie pewne wątpliwości*). Dawniej dostawali mieszkanie, żywność i ubranie, w starości i chorobie opiekę, o przyszłość lub wychowanie dzieci nie troszczyli się, a okrucieństwa nieludzkich panów były rzeczywiście wyjątkowe; dla własnego bowiem interesu nie chcieli zmniejszać wartości kapitału, jaki przedstawiał każdy niewolnik — 200—2000 dolarów. Dziś murzyni są wolni, ale cóż po takiej swobodzie, której używać nie umieją? Ludzie ci są, jak zresztą większość nieoświeconych ludzi, niechętni do roboty i leniwi, jeśli ich obca wola do pracy nie skłoni. Rozkazywać lubiłby każdy, ale podlegać i pracować nie chce im się

*) Trudno nam się zgodzić na zdanie autorki. Zdaniem naszym Ameryka za mało raczej, niż za wiele uczyniła dla murzynów, nie zabezpieczając dla nich przy wyzwoleniu oświaty i nie ułatwiając pracy.

{(Przyp. tłóm.)}

od kiedy są »wolni«. Pewien rozsądny Południowiec powiedział mi: »Szczerze mówiąc, wojna 1863-go większem była dobrodziejstwem dla nas, niż dla murzynów, bo nas od nich oswobodziła i zmusiła nas do samodzielności. My powoli dźwigniemy się z kłopotliwego położenia finansowego i będzie nam lepiej niż za czasów niewolnictwa, bo właściwie murzyn więcej kosztował niż korzyści przynosił«.

Niema obecnie już tych wielkich plantacyi bawełny, jakie dawniej tu istniały; murzyni bowiem nie chcą i za pieniądze pracować, a ziemię musiano podzielić na drobne udziały, które właściciele sami przeważnie uprawiają. Z czasem dojdzie się tym sposobem do dobrobytu, ale powoli i stopniowo. Trzeba jednak mieć nadzieję, że nie przeszkodzi temu bunt murzynów. Rasa czarna mnoży się nadzwyczaj szybko i teraz już w Stanach Południowych wypada stu czarnych na jednego białego. Coby się stało, gdyby ten nieokrzesany i zepsuty żywioł osiągnął przewagę?



utro o tej porze pożegnam już Amerykę i wszystkich moich przyjaciół tutejszych; o 3 bowiem popołudniu mam odpłynąć z Filadelfji parowcem »Belgenland«. Jakże często w ciągu tych lat dziesięciu myślałam z utęsknieniem o dniu, w którym rozpocznę podróż powrotną do swej ojczyzny, wyobrażałam sobie radość, jaką uczuję! Dziś dzień ten nadszedł a ja... płaczę zamiast się cieszyć. Radość ta jest, co prawda, ale tak gdzieś głęboko w sercu ukryta, tak przyćmiona bolesnemi pożegnaniem, że się jej prawie nie odczuwa. Tak, gdyby się nie przywiązywać do ludzi napotykanych w wędrówce życia, przyjemnieby było myśleć o zmianie miejsca i otoczenia; ale ja, niestety, za głupia jestem na to, by móżdź brać życie z chłodem i filozoficzną obojętnością.

Dziwiłaś się, że nie napisała ani słówka od Nowego roku. Nie miałam nic do powiedzenia, nie odbyłam bowiem żadnej wycieczki w tym czasie, a w szkole szło wszystko dawnym trybem. Jedyne większe wrażenie, jakiego doznać można było w ciągu zimy, to przyjazd księcia Henryka pruskiego i chrzciny jachtu cesarza Wilhelma nazwanego »Meteor«, któ-

rego matką chrzestną była Miss Alicja Roosevelt; ale o tem naczytałaś się zapewne w gazetach niemieckich. Nie wiem jednak, czy ci dały dostateczne wyobrażenie o entuzyazmie z jakim ten republikański naród witał obcego księcia. W każdym mieście, przez które przejeżdżał urządzono mu wspaniałe przyjęcie; w szkołach wiejskich dawano rekreacye a nauczyciele prowadzili swych uczniów by zobaczyli »prawdziwego księcia«. Ów syn cesarski a brat teraźniejszego cesarza Wilhelma znanego tak dobrze z gazet Amerykanom ma być, zresztą, pełen przymiotów i zalet. Ci, co mieli sposobność zetknąć się z nim osobiście, twierdzą, że księżę Henryk to »prawdziwy człowiek«, a to pochwała niemała w ustach Amerykanina. Dotąd widywali tu najczęściej książątka wyelegantowane, celujące przy kartach, hulance lub w salonie; słowem takich, którzy za pomocą tytułu swego porywają zwykle wielkie dziewcziczki amerykańskie. Dopiero w księciu Henryku pruskim dopatrzyli się męskiej dzielności i rozumu *).

*) I tu mielibyśmy coś więcej do powiedzenia. Dziwnym i śmiesznym jest u ludów republikańskich kult dla głów koronowanych i tej arystokracji, którą sami lekceważyłby powinni. Ublizającym jest poniekąd człowieka dzielnego, twórcy swego bytu i majątku ta cześć bałwochwalcza dla rodu i tytułu.



ruga to już niedziela nasza na morzu; widzisz więc, że »Belgenland« nie należy do najszybszych nowożytnych parowców; przeciwnie, jest to stara szkatuła urządzona, jak to bywało przed trzydziestu laty, a jednak żadna jeszcze żegluga tak mi nie dogadzała, jak terazniejsza. Jeżeli statkowi niejedno zarzucić można, to załoga nic nie przedstawia do życzenia: na kapitana dość spojrzeć by uczuć zaufanie, usługa jest doskonała, towarzystwo przyjemne a pogoda piękna. Podróżniku morski, czegoż chcesz więcej?

Zbliżamy się ku wybrzeżom Irlandji, ale serce mi nie bije na widok zielonych wzgórzy Hibernji, bo nie wydają mi się jeszcze europejskie. Dopiero na widok kontynentu poczuję, że jestem w mojej starej, ukochanej ojczyźnie! A pragnęłabym dojechać tak szybko, jak ten list, który jutro będzie w Queenstown, a za dwa lub trzy dni w twoich rękach; ja zaś zatrzymam się na dni kilka w Londynie u jednej z moich tasmańskich przyjaciółek. Gdyśmy się przed sześciu laty w Tasmanji żegnały, sądziłyśmy, że to na zawsze, a dziś ona pierwsza w Europie mię powita.



pełniło się! Zadanie, jakie sobie przed dziesięciu laty postawiłam, dokonane; obietnica, którą sobie sama wówczas dałam, dotrzymana i to najakuratniej; przyrzekałam sobie, bowiem, wyruszając w podróż dnia 12 lipca, stanąć z powrotem takiegoż dnia, i rzeczywiście, przeszłej soboty w dniu 12 lipca znalazłam się na dworcu krakowskim. Teraz już wierzę w pochwały moich przyjaciół, którzy dowodzili, że jestem jedną z najakuratniejszych osób, jakie znają.

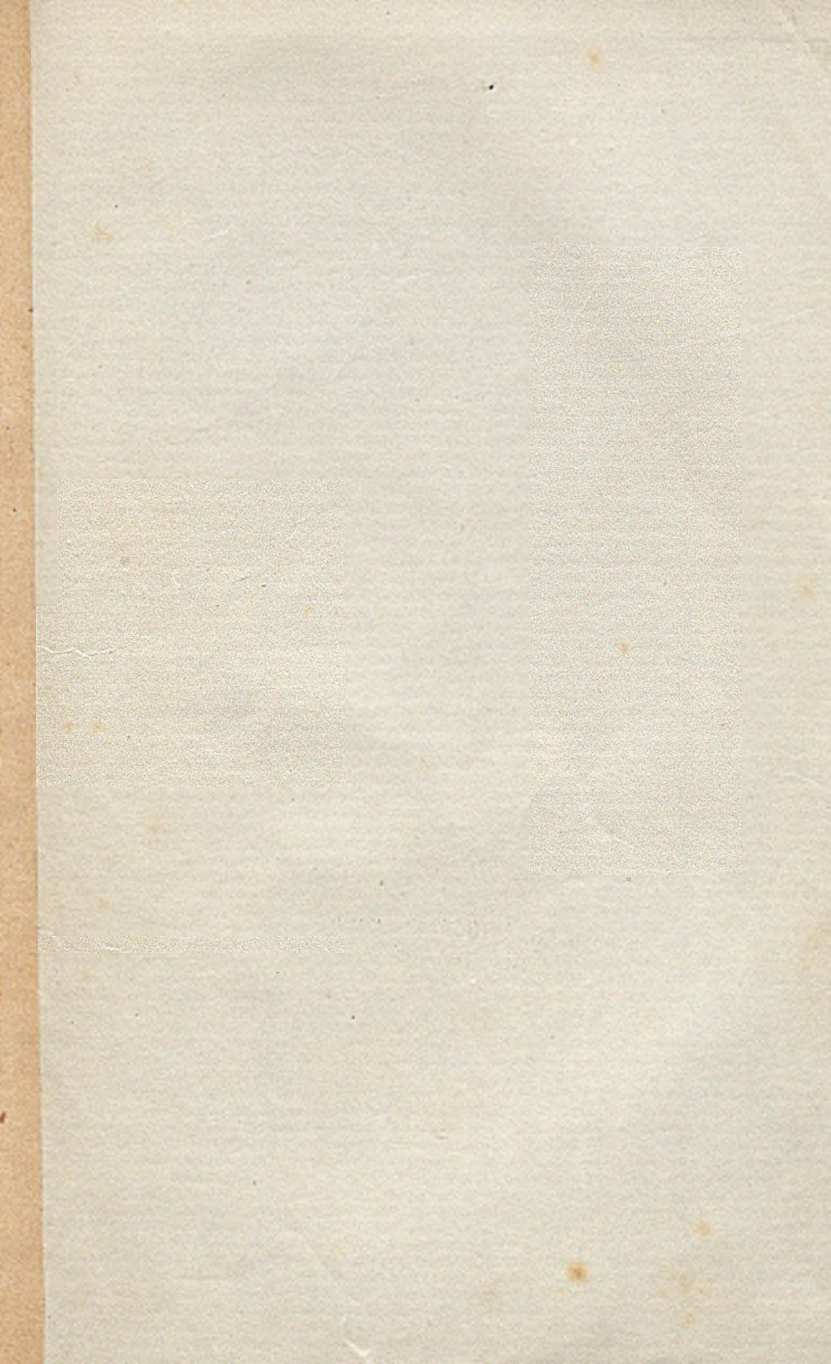
Teraz, gdy już powróciłam, wierzyć zaledwie mogę, że dziesięć lat byłam nieobecna w Europie, tak mało się zmieniły miejsca i ludzie. Nieraz zapytuję siebie: »Czy to naprawdę ja tak daleko byłam, tyle widziałam i przeżyłam, czym może to czytała tylko?« Inni także z trudnością uwierzyć mogą w moją podróż naokoło świata. Pewna staruszka, w obec której wspominałam Australję, przerwała mi mówiąc z lekką naganą: »Ależ, panno Boegli, nie wmawiaj nam, że byłaś w Australji; przecież taka jesteś biała jak i my«.

Więcej niż sto listów oczekiwało tu na mnie, wszystkie od przyjaciół zaeuropejskich, których

przed dziesięciu latu nie znałam, a którzy mi serdeczne przesyłają powinszowania dokonanego przedsięwzięcia. Tak, poszczęściło mi się! Nie tylko, że poznawałam tyle miłych i zacnych ludzi, ale nie miałam żadnego wypadku, nigdy się nie spóźniłam na pociąg ani na statek, nic nie zgubiłam, nic mi nie ukradziono, nikt mi nie ubliżył słowem ani spojrzeniem; przeciwnie doświadczałam względności i szacunku od ludzi najrozmaitszych narodów i ras. Tak to nademną Opatrzność wszędzie czuwała i powoli ale bezpiecznie prowadziła mnie »naprzód« i z powrotem. Dzięki Bogu za to wszystko!



~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. _____~~



STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

K 18738